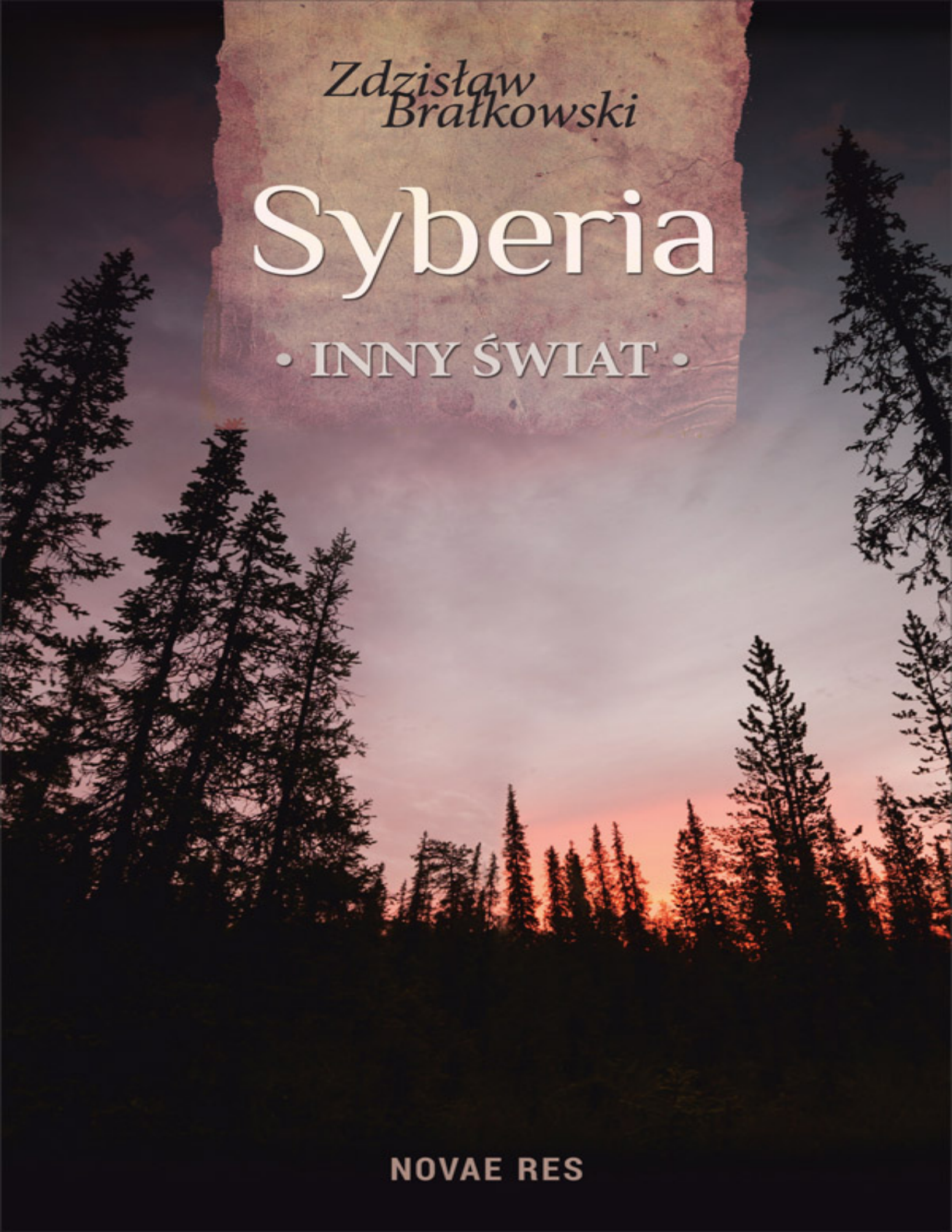
Zdzisław Brałkowski
Syberia
• INNY ŚWIAT •
NOVAE RES

Zdzisław Brałkowski

Syberia, inny świat

NOVAE RES

Spis treści

Wstęp

Rozdział 1. Propozycja

Rozdział 2. Wyjazd

Rozdział 3. Podróż

Rozdział 4. Pierwsze zaskoczenia

Rozdział 5. Pierwsza praca

Rozdział 6. Nie tylko pracą człowiek żyje

Rozdział 7. Nowosybirsk

Rozdział 8. Nieodłączny atrybut pobytu — wizyty

Rozdział 9. Mocna głowa

Rozdział 10. Cuda się zdarzają

Rozdział 11. Spokojne dni

Rozdział 12. Powrót na Ojczyzny łono

Epilog

Wstęp

Życie… cóż o nim wiemy? Chodzimy utartymi ścieżkami, funkcjonujemy w określonej przestrzeni i w konkretnym czasie. Otaczającą nas rzeczywistość dopóty uważamy za naturalną, dopóki… nie znajdziemy się nagle w innej.

Było to jeszcze w czasach uznawanych obecnie za „słusznie minione”. Jednak daty oraz miejsca urodzenia człowiek nie wybiera. Niezależnie od uwarunkowań wewnątrzkrajowych i zewnętrznych – aby żyć, trzeba pracować.

Już czuło się nadchodzące zmiany. Powiew „nowego” nadchodził od wschodu, wraz z „pierestrojką”. Zwykły człowiek bardziej był jednak zajęty codziennym wiązaniem końca z końcem. Założyło się rodzinę? Założyło. Trzeba więc było pracować, szukając przy okazji możliwości dodatkowego zarobku. *Pecunia non olet*.

Pracowałem już od kilku lat w państwowej organizacji – Ochotniczych Hufcach Pracy – zajmującej się specyficzną kategorią młodych ludzi. Organizacja ta istnieje do dzisiaj. W ciągu roku szkolnego jej kadra prostowała ścieżki życiowe trudniejszej młodzieży, nie zawsze sprawiającej

kłopoty czy powtarzającej rok szkolny z własnej winy, i umożliwiała jej zdobycie zawodu. W okresie wakacji moja instytucja kierowała natomiast swoją ofertę do zwykłej młodzieży ze szkół średnich. Organizowała im miesięczną pracę, połączoną z wypoczynkiem, przeważnie w firmach przetwórczych, w których byli potrzebni sezonowi pracownicy. Prace były nieskomplikowane, zakwaterowanie i wyżywienie darmowe; do tego można było kilka złotych na własne wakacje zarobić. Chętnej młodzieży nigdy więc nie brakowało, zwłaszcza do pracy za granicą, w ramach – jak to szumnie nazywano – „poznawania naszych sąsiadów i zawiązywania dozgonnych przyjaźni" w ojczystej Europie. Oczywiście w tej ówcześnie właściwej części kontynentu, w ramach demoludów.

Najbardziej oblegane były wyjazdy na Węgry, do Bułgarii i wschodnich Niemiec. Dla zwykłego człowieka tamte czasy w Polsce były trudne, pożądane dobra materialne trzeba było wystawać w kolejkach, do tego większość artykułów można było kupić tylko na kartki. Wyjazd do innych krajów, gdzie nie było takich problemów z zaopatrzeniem, był jak gwiazdka z nieba. Nie brakowało więc chętnych wśród młodzieży licealnej. Dla nas, kadry organizacji, taki wyjazd w roli opiekunów grup też był opłacalny. Pozwalał podreperować domowe finanse i przywieźć pożądane produkty.

Na taki wyjazd byłem chętny i ja. Propozycja, którą otrzymałem od swojego szefostwa, mogła jednak zaskoczyć każdego. Ktoś w moim, jednym z czterdziestu dziewięciu,

jeszcze pogierkowskim województwie toruńskim wpadł na iście „fantastyczny” pomysł. Pomysł, którym chciał zabłysnąć przed Warszawą. Faktycznie, wszystkich zadziwił, w żadnym innym województwie nikt na to nie wpadł – podpisał umowę o obustronnej miesięcznej wymianie młodzieży z obwodem nowosybirskim na Syberii. Kilka tysięcy kilometrów na wschód od nas, w centrum Azji.

Smak życia, z jego lepszymi i gorszymi stronami, dobrze już znałem, nie byłem młodziankiem. Jednak nadchodząca rzeczywistość zweryfikowała moje dotychczasowe doświadczenia i wyobrażenia. Kilka tysięcy kilometrów przeniosło mnie nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie. Trafiłem w miejsce, gdzie średniowiecze było przemieszane ze współczesnością. O tym dowiedziałem się jednak dopiero tam…

Rozdział 1.

Propozycja

Wiosna tego roku była piękna – tak przeważnie zaczynają się wspomnienia. W tym roku było to prawdą. Wypatrywałem już końca czerwca i nadejścia lata, marząc o urlopie nad wodą. Jeszcze niecałe dwa miesiące i odpocznę od codziennego użerania się z podopiecznymi. Nie wiedziałem, że wojewódzkie szefostwo miało w stosunku do mnie całkiem inne zamiary. Wszystko przygotowywali w najgłębszej tajemnicy.

Pewnego majowego dnia telefonicznie otrzymałem polecenie stawienia się w województwie. Zdziwiło mnie, że sekretarka szefa nie wiedziała, albo nie chciała powiedzieć, w jakiej sprawie mam przyjechać. Mój bezpośredni przełożony też nic nie wiedział. Lekko zdenerwowany, pojechałem następnego dnia. W myśli szukałem, o co może chodzić – coś źle wykonałem? Jakieś skargi ze strony młodzieży? Ki diabeł, taka tajemnica?!

Na miejscu czekała już na mnie cała szefowska trójka: komendant wojewódzki i jego dwóch zastępców. Ho, ho, to coś poważniejszego. Lekko się spociłem z wrażenia i niepewności. Nie dali mi jednak czasu na szukanie w myślach przyczyny. Przywitali się ze mną spokojnie. Szef od razu przystąpił do rzeczy:

– Jak dobrze wiecie, co roku organizujemy sezonową pracę dla młodzieży ze szkół średnich. Również wymianę zagraniczną. W tym roku udało nam się załatwić bardzo atrakcyjny wyjazd. Długo to trwało, wiecie, ile to jest zabiegów i papierków. Do tego potrzebna była jeszcze zgoda z Warszawy i z zagranicy, załatwienie zezwoleń i podpisanie porozumienia. Dlatego tak późno o tym wam mówimy.

– Przecież wiem, szefie. Co roku są wymiany, żadna mi sensacja.

– Tak, tylko to jest całkiem nowe porozumienie. Takiej wymiany nasze województwo jeszcze nie organizowało. Zresztą żadne województwo w kraju. Jesteśmy pierwsi. Może być atrakcyjne, ale nie znamy tamtych warunków. Potrzebny jest nam człowiek, który poradzi sobie w razie jakichś problemów.

– Czy mam rozumieć, że…

– Dobrze myślicie. Właśnie was wytypowaliśmy. Radzisz sobie z naszą trudną młodzieżą, to powinieneś spokojnie dać radę z uczniami ze szkół średnich. Chodzi jednak jeszcze o coś innego. Ta zagranica to naprawdę dla nas nieznane strony. Mogą być różne zdarzenia, z połączeniem

telefonicznym do nas mogą być kłopoty, trzeba umieć sobie samemu na miejscu radzić.

– Jakie nieznane? Z NRD, Bułgarią czy z Węgrami mamy przecież co roku wymianę. Nie są nieznane. Czyżby chodziło o Rumunię? Z rządzącym tam „Słońcem Karpat”? To faktycznie trudne państwo. Chyba nie z nimi została podpisana umowa?

– Nie, nie z Rumunią. Tam nawet sami nie chcemy i oni chyba też nie. Troszkę dalej.

– Dalej? Do jakiejś republiki radzieckiej? Mołdawia? Na Krym? Może Gruzja? To nie jest tak źle. Szefie, czy mam dalej zgadywać?

– Noo… jeszcze kawałek dalej.

– Jeszcze… jeszcze dalej?! Czyżby Azerbejdżan? Tam mogą być faktycznie problemy. To już islam, nie jestem z tym obeznany. Czy jednak jeszcze w Europie? Chyba nie chce szef mi zaproponować, abym jechał aż pod Ural? To byłoby już naprawdę zbyt daleko.

– Pod Ural nie. Za Ural. Pod Nowosybirsk.

Zatkało mnie z wrażenia. Pod Nowosybirsk! Środek Azji!

Zaskoczyli mnie. Inny kontynent, inne obyczaje, klimat, ogromne puste przestrzenie. Prawie wszystko inne. Westchnąłem głęboko:

– Szefie, a coś bliżej mógłbym wiedzieć? Gdzie będziemy pracowali? Co robili? Jakie warunki zakwaterowania? Ile zarobimy?

– To jeszcze za wczesne pytania. Robimy to po raz pierwszy, na odległość, więc załatwianie długo trwa. Nie wszystko jest jeszcze dograne. Na dzisiaj mogę powiedzieć tyle, że będziecie pracować w jakimś sowchozie pod Nowosybirskiem. Może też gdzieś indziej, w zakładach spożywczych lub rolnych. Tamci gospodarze mają nam dopiero odpowiedzieć, gdzie, co i jak. Dla ich syberyjskiej grupy mamy już przygotowane miejsce. Będą u nas pracowali w Zakładach Mięsnych w Chełmży, przy taśmie. No więc jak, zgadzacie się?

– Chwilę, szefie. Niech ochłonę. Sekundę. – Przetarłem dłonią spocone czoło.

Ale dostałem propozycję. Do tego trochę z tych nie do odrzucenia. Zagrali mi na ambicji, mnie wybrali. Z jednej strony obawa, jak tam będzie. Szefowie sami jeszcze wszystkiego nie wiedzą. Widać, że formalności są jeszcze w powijakach, robione na łapu-capu. Cholerne „jakoś to będzie”. Coś pójdzie nie tak, to ja będę na celowniku, jako pierwszy do odstrzału.

Z drugiej jednak strony, takiej okazji mogę już nie mieć w życiu. Przez myśl przeleciały mi sceny z książki *Tajemnicza wyprawa Tomka* Alfreda Szklarskiego. Te ogromne przestrzenie, surowa i jednocześnie piękna przyroda, dzikie zwierzęta, skrajne temperatury. Do tego twardzi, zahartowani przez przyrodę Sybiracy. Mogę te wszystkie podsuwane przez wyobraźnię obrazy zobaczyć na żywo, posmakować Syberii. Muszę się tylko zgodzić. Pojadę nie jako turysta, zapłacą za wszystko, nawet dodatkowo

zarobię. To był dla mnie jeszcze jeden mocny argument za wyjazdem – ze względu na sytuację rodzinną każdy dodatkowy zarobek był dla mnie bardzo cenny.

Nie zastanawiałem się już dłużej:

– Zgadzam się. Pojadę.

– To świetnie. Byliśmy pewni, że się zgodzicie.

– A młodzież, szefie? Jaką będę miał grupę i ile osób? W jaki sposób tam dojedziemy? No i kiedy będzie wyjazd?

– Szczegóły wyjazdu i pobytu dopiero dogrywamy. Grupa, jako hufiec zagraniczny, niedługo będzie tworzona. Ma liczyć trzydzieści osób. Żadnych tam wybranych, tylko uczniów ze zwykłych rodzin. Planujemy po połowie dziewczyn i chłopców. Do tego wy jako komendant oraz jedna osoba jako tłumacz, która będzie jednocześnie waszym zastępcą. Wyjazd planujemy na cały lipiec. Tyle na dzisiaj. Mamy jeszcze prawie dwa miesiące, więc wszystko się dogra.

Nie dopytywałem się więcej. Nie lubiłem improwizacji, która często przynosiła niemiłe niespodzianki, ale już się zgodziłem. Jakoś to będzie, nie pierwszy i nie ostatni raz. Syberia – to jest coś!

Jak przewidywałem, maj i czerwiec były okresem wielkiej improwizacji. Wyjazd organizowano w ogromnym pośpiechu, wszystko było „na wczoraj”. Ludzie w komendzie wojewódzkiej oraz ja wpadliśmy w kierat uzgodnień, zgłoszeń o paszporty, załatwiania biletów na przejazdy i przeloty. Jedyne, czego byłem pewny, to to, że moja grupa będzie liczyła piętnaście dziewczyn i piętnastu

chłopców, w wieku od szesnastu do osiemnastu lat. Wszystko pozostałe było wielką niewiadomą.

Czasu było coraz mniej. Kiedy wreszcie załatwiłem paszport i otrzymałem wizę wjazdową do państwa zwanego w ich hymnie „nienaruszalnym związkiem bratnich narodów”, okazało się, że część młodzieży nie zdąży otrzymać na czas swoich paszportów. Znowu nastąpiło nerwowe szukanie wyjścia z sytuacji i uzgodnienia telefoniczne. Udało się prawie w ostatnim momencie, znaleziono rozwiązanie – otrzymałem paszport zbiorowy, wystawiony na moje nazwisko, z przyklejoną listą trzydziestu nazwisk i ich danymi osobowymi. Każdy z uczestników miał mieć także dowód osobisty lub tymczasowy.

Nerwówka końca roku szkolnego w pracy nakładała się na niezałatwione jeszcze sprawy związane z wyjazdem. Tydzień przed planowanym początkiem podróży zostałem znów zaskoczony niemiłą wiadomością, przekazaną mi telefonicznie z województwa. Mają już dla nas bilety na samolot Moskwa – Nowosybirsk, ale jeszcze nie załatwili na przelot z Warszawy do Moskwy. Nie ma wolnych miejsc na tak dużą grupę w zaplanowanym terminie. Jest tylko możliwość otrzymania biletów na dwa oddzielne loty. Pytają mnie, co robić. To ja mam wiedzieć, co robić?! Miałem mieć wszystko załatwione, dostać dokumenty, bilety i tylko jechać. Grupa nie może się rozdzielić na dwie części, mam przecież paszport zbiorowy. Możemy tylko jechać jak papużki nierozłączki. Albo wszyscy, albo nikt.

Kilka kolejnych dni to był jeden ciąg nerwowych godzin i rozgrzewających się do czerwoności telefonów. Co godzinę–dwie miałem inną informację. Już są bilety! Za chwilę – niestety, tylko dla trzydziestu osób. O dwa bilety za mało. W naszym przypadku nie da rady złamać zasady muszkieterów – jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Paszport zbiorowy nie daje najmniejszego pola manewru.

Dwa dni przed wyjazdem dalej nie wiedziałem, czy wyjedziemy. Bilety na samolot nie były załatwione. Ciągle tylko obiecywania, zapewnienia, że jeszcze się uda. Dwie doby przed wyjazdem niezałatwione?! Do tego wojewódzka komenda nie zorganizowała mi nawet spotkania z młodzieżą, z którą miałem jechać. Jedynie wiedziałem, że nabór w szkołach przeprowadzano w całym województwie. Jak mam jechać kilka tysięcy kilometrów od Polski, w środek Syberii, z całkowicie mi nieznanymi ludźmi? Jak za nich odpowiadać?

Nie czekałem dłużej. Ktoś musiał podjąć decyzję. Chwyciłem za telefon i przedzwoniłem do województwa. Poprosiłem telefonistkę o połączenie z pracownikami odpowiedzialnymi za organizację wyjazdu:

– Mam tylko dwa pytania. Są wreszcie te cholerne bilety na samolot czy nie? Jeżeli nie, to czy kończymy tę wyprawę, nim ją rozpoczęliśmy? Siedzimy na szpilkach zamiast na walizkach. Decyzja musi być podjęta teraz. Nie ma już czasu na gdybania.

– Biletów jeszcze nie mamy, ale próbujemy…

– To włóżmy załatwienie biletów między bajki. Nie załatwiliście dotąd, to nikt nie podstawi nam dodatkowego samolotu. Nie jesteśmy aż tak ważni. To co z wyjazdem? Kończymy?

– W żadnym razie! To nie wchodzi w ogóle w grę! Komendant powiedział, że mamy na rzęsach stanąć, a wyjazd musi być! Wyobrażasz sobie, że po tych wszystkich ochach i achach, jakie usłyszał dwa miesiące temu w Warszawie, miałby zameldować, że wyjazd został odwołany przez głupie bilety?!

– To co? Z pustego nalejemy? Znaleźliście jakieś wyjście?

– Jeszcze myślimy…

– Jeszcze?! Dwa dni przed terminem wyjazdu?

– Noo…

– To znaczy nie znaleźliście. Nie ma co się zastanawiać. Zróbcie coś innego. Spróbujcie załatwić bilety na międzynarodowy pociąg jadący z Berlina do Moskwy. Dojedziemy naszym PKP do Kutna i tam wskoczymy w ten międzynarodowy. Jakoś się w pociągu pomieścimy. Byle zdążyć na samolot z Moskwy do Nowosybirska.

– To jest jakiś pomysł! Bilety na lot z Moskwy macie przecież załatwione. Będziemy próbować z tym pociągiem. Czekaj na telefon.

Przedzwonili pod koniec dnia:

– Jest! Mamy bilety na pociąg.

– Uff, no wreszcie. W ostatnim momencie.

– Tyle że…

– Co jeszcze? To są te bilety czy nie?!

– Są, ale dostaliśmy bilety z Kutna tylko do Brześcia nad Bugiem. To ich pierwsze miasto za granicą. Do samej Moskwy nie udało się. U nich są tylko miejscówki i nie ma szansy, aby kogoś wpuścili do pociągu dodatkowo.

– Jasny gwint! Wiem, gdzie leży Brześć. I co? Resztę drogi mamy przejść pieszo czy taksówkami do Moskwy dojedziemy?!

– Nie denerwuj się. Zbieraj się do wyjazdu. Jedziecie. My będziemy w tym czasie załatwiać bilety z Brześcia do Moskwy. Jeżeli nie uda nam się jutro przed wyjazdem załatwić, to bilety będą na was czekały w Brześciu.

– A jak nie będą czekały? Zostanę sam za granicą, z całym majdanem na głowie.

– Załatwimy. Musimy. Zbieraj się, więcej optymizmu.

Więcej optymizmu? Łatwo tak mówić zza biurka. Już czułem, w jaką kabałę się pakuję. Jeżeli nie załatwią biletów, to lepiej nie myśleć, co będzie. To nie jest prywatna wycieczka. Sam bym sobie poradził, bilet skombinował nawet w Brześciu. Będę miał jednak na głowie trzydziestu młodych, całkiem mi obcych ludzi. Na szczęście będzie tłumacz jako mój zastępca. Przynajmniej jeden chłop do pomocy w razie czego.

Rozdział 2.

Wyjazd

Niestety, ostatni dzień przed wyjazdem nie dał mi promyka nadziei. Jedyne, co województwo mi oferowało w odpowiedzi na moje telefony, to żebym czekał cierpliwie. Cały czas próbowali załatwić te cholerne bilety. Dzień zszedł mi na nerwowym siedzeniu przy telefonie. Nie miałem zresztą nic więcej do roboty; byłem już dawno spakowany. Wieczorem otrzymałem hiobową wieść – jeszcze nie dostali biletów. Nic się jednak nie zmieniło, decyzja pozostała w mocy – mam jechać. Zapewniali, że na pewno zdążą je załatwić, nim dojedziemy do Brześcia.

Nie miałem już wyjścia, starałem się więc tylko wyrzucić z myśli nachodzące mnie obrazy. Co będzie, jeżeli jednak nie załatwią biletów? Samolot do Nowosybirska odleci bez nas. I wtedy co? Powrót do domu? Czy też jazda koleją transsyberyjską? To co najmniej tydzień podróży. Do tego trzeba będzie dostać nie jedną czy dwie miejscówki,

ale trzydzieści dwie. Jak długo to potrwa, na który pociąg dostaniemy bilety?

Nie było co rozważać, i tak wszystko miało okazać się w Brześciu.

„Nadejszła wiekopomna chwila”. Nocnym pociągiem dojechałem do wojewódzkiego miasta. Na dworcu było wyznaczone miejsce zbiórki, na godzinę piątą rano. Spojrzałem na zegarek – dopiero czwarta. Miałem więc jeszcze całą godzinę w zapasie. Część młodzieży też już przyjechała z innych miejscowości, niektórych odprowadzali rodzice. Króciutko się z nimi przywitałem i poznałem. Na dłuższe powitanie będzie czas, kiedy zbierze się cała grupa. Teraz interesowało mnie co innego – lista z nazwiskami i danymi osobowymi. Do tej pory jej nie otrzymałem. Chyba na liście nic nie poprawiali w ostatniej chwili? Przecież wiedzieli, że dopiero co dostałem paszport zbiorowy i nie było już mowy o jakichkolwiek zmianach.

Na szczęście odpowiedzialny pracownik z dokumentami już czekał na mnie. Siadłem na ławce i od razu zagłębiłem się w listę, porównując z moim paszportem. Nazwiska? Zgadzają się, jest w porządku. Skąd są? Z jakich szkół? Też w porządku – uczniowie liceów i techników. Szesnaście lat, siedemnaście, osiemnaście. Przynajmniej tu nie ma żadnej nieprzyjemnej niespodzianki. Kim są ich rodzice, gdzie pracują?

Spojrzałem na kolumnę w spisie, z danymi o rodzicach. Przeleciałem ją pobieżnie i… nagle cała krew odpłynęła mi z twarzy. Zacząłem ponownie czytać, tym razem uważniej.

O matko! Kogo oni nabrali na wyjazd?! Przecież miały być normalne dzieciaki, z żadnych maminsykowatych domów! A tu – córeczka dyrektora, synek prezesa, córka jakiegoś ważnego sekretarza, syn przewodniczącego rady. Przeliczyłem – dużą część listy zajmowali synowie i córki ważnych person, sądząc po zajmowanych przez nich stołkach i miejscach pracy. Pozostali byli dziećmi zwykłych pracowników, a nie lokalnych szych. Ale mnie wkopali!

Poczułem, jak strużka potu spływa mi po kręgosłupie, mimo chłodnego jeszcze początku dnia. Jak oni mogli? Jak mogli wybrać taką młodzież? Przecież obiecywali, że to będą normalne dzieciaki, a nie wychowywane w cieplarnianych warunkach. Mamy przecież jechać do pracy, i to pracy fizycznej, daleko w nieznane. Nie wiemy, co nas tam czeka. I nagle organizują mi taką grupę? To było tak bezpieczne i przewidywalne w skutkach jak wycieczka w wysokie góry z paniusiami w szpilkach i sukienkach oraz panami w lakierkach i garniturach.

Wziąłem na bok „odpowiedzialnego z województwa” i, z dala od młodzieży, zduszonym głosem zapytałem:

– Czyście zwariowali? Widziałeś listę? Widziałeś, kim są rodzice?

– Widziałem i czytałem. Nie miej pretensji do mnie. Na ten wyjazd to nie nasz dział organizował nabór. Wszystko załatwiano wyżej. Tę listę z wszystkimi danymi otrzymałem gotową dopiero wczoraj. Miałem ci ją tylko przywieźć i życzyć spokojnej podróży.

– Jasny gwint! Dziękuję za takie życzenia. Nie dość, że w miarę spokojną podróż mam tylko do Brześcia… Przez was, bo biletów do Moskwy nie załatwiliście! To jeszcze taki nabór. Czy te dzieciaki wiedzą, że na Syberii będą pracować fizycznie, a nie balować?

– Nie martw się, dzisiaj na pewno załatwimy ten pociąg. Jesteśmy na dobrej drodze. Przejedziesz granicę, to bilety już będą czekały. A młodzież? Nie wszyscy muszą być od razu ciepłymi kluchami tylko dlatego, że są z lepszych domów. Zresztą wszyscy wiedzieli, jaka tam będzie praca. Jeżeli się zapisali, to nie będą marudzili.

Przetarłem twarz dłonią. Nic już nie da się zrobić, postawili mnie pod ścianą. Domyśliłem się, dlaczego zebrała się taka wyselekcjonowana grupa. Do pracy wakacyjnej w kraju dostawała się zwykła młodzież. Z załatwieniem miejsc w zakładach potrzebujących rąk do prostej pracy sezonowej nie było przeważnie problemów. Dostać się na dotychczasowe, bliskie wyjazdy zagraniczne było już trudniej. Czasem załatwiano miejsce po znajomości, ale nie było to częste zjawisko. Aż tu nagle pocztą pantoflową rozchodzi się po województwie wieść – jest atrakcyjny wyjazd. Aż na Syberię! Za darmo pojechać taki kawał drogi, zobaczyć inny świat, do tego zarobić, trochę pohandlować też można. Oczywiście poczta działała tylko na wyższych szczeblach towarzyskich, niedostępna dla zwykłych zjadaczy chleba. Zawsze są równi i równiejsi. Dowiedział się o wyjeździe taki tatuś dyrektor czy inna szycha: „Synku, jest w wakacje organizowany taki fajny

wyjazd. Daleko, aż na Syberię. Nie chcesz pojechać? Wiesz, troszkę popracujecie, pobawicie się, poznacie tam swoich rówieśników. Jeszcze pieniążki zarobisz i może coś przywieziesz przy okazji. To co? – Dobra, tato. Tam jeszcze nie byłem. Będzie co opowiadać kumplom po wakacjach. Gały wybałuszą z zazdrości”.

Pewnie tak było, inaczej nie miałbym aż takiej listy nazwisk, jaką otrzymałem. Mnie natomiast szefostwo mówiło co innego, uspokajało. Dlatego do końca nie otrzymałem od nich wykazu z danymi o rodzicach uczestników. Zresztą, co by to zmieniło? Zgodziłem się przecież na ten wyjazd, na komendanta hufca zagranicznego. Listę układał kto inny. Możliwe, że i wojewódzki szef nie mógł odmówić jednemu czy drugiemu ojczulkowi latorośli, albo wprost dostał polecenie z góry. Samo życie.

Raz kozie śmierć! I tak już nie miałem żadnego wyboru.

Rozejrzałem się wokół:

– A gdzie tłumacz?

– O, już nadchodzi – odezwał się pracownik.

– Który to?

– Nie który, a która. To tamta kobieta.

– Kobieta? Nie mówiliście, że to kobieta. Myślałem, że będę miał chłopa jako zastępcę.

– Nie pytałeś przecież. Zresztą, co za różnica?

– Nie pytałem. Tylko tak myślałem.

Tłumaczka podeszła, przywitaliśmy się i przedstawiliśmy. Nie była z naszej instytucji. W średnim

wieku, chyba kilka lat starsza ode mnie, dość szczupła. Widocznie nie stosowała starej, niepisanej zasady naszych babć – co rok Bozia dodaje nie sto gramów, a kilogram. Prawdopodobnie była kolejną osobą, która pomyślała, że załapała się na fajną, egzotyczną wycieczkę. Tylko dlaczego tłumaczkę znaleźli poza naszą firmą? Jaka będzie z niej zastępczyni? Przecież nie pracowała z młodzieżą. Czy będzie pomocna w razie potrzeby? Jak nie wiesz, na kogo liczyć, to licz na siebie. No nic, nie będę sugerował się wyglądem ani wiekiem, pozory mogą mylić.

Podszedłem ponownie do młodzieży:

– Dzień dobry wszystkim. Jestem waszym komendantem, nazywam się Zdzisław Brałkowski. Ustawcie się w dwuszeregu, sprawdzę listę uczestników. Omówię też kilka podstawowych spraw przed naszym wyjazdem.

Chwilę trwało, nim w miarę porządnie stanęli. Nie poganiałem ich. Czasu było jeszcze aż nadto, do tego pierwszy raz wszyscy się widzieli. Odczekawszy, aż się ustawili, przedstawiłem siebie oraz tłumaczkę jako moją zastępczynię. Jednocześnie wzrokiem przeliczyłem szybko stojące przede mną pary. Czternaście i pół! Nie było jednej osoby. Ponowne, już dokładne przeliczenie, wyniku nie zmieniło. Stało tylko dwudziestu dziewięciu uczestników. Ktoś jeszcze nie dotarł. Na szczęście była jeszcze godzina do odjazdu pociągu do Kutna, pewnie to „dopełnienie do piętnastki” za chwilę się pojawi.

Wyjąłem listę i zacząłem po kolei odczytywać imiona i nazwiska. Nie śpieszyłem się, wpatrywałem się długo

w każdą dziewczynę i chłopaka, odkrzykujących: „Jestem!”.

Pierwszy raz w życiu ich widziałem, ani jednej znajomej twarzy. Będę miał cały miesiąc na poznanie każdego z nich, ale przynajmniej na początek muszę twarze zapamiętać.

Wyczytałem kolejne nazwisko. Cisza. Ponownie wyraźnie odczytałem. Dalej nic. Jeszcze raz, tym razem głośniej. Zero odzewu. A więc odnalazł się nieobecny, na razie tylko na liście. Odczytałem pozostałe nazwiska, dochodząc do końca listy. Nie miałem zamiaru marnować czasu do chwili przybycia spóźnialskiego, zacząłem więc omawiać regulamin hufca – jakie są zasady oraz jak się zachować w razie czegoś nieprzewidzianego, co robić, gdyby ktoś się zagubił w czasie podróży. Zwróciłem uwagę, abyśmy trzymali się w grupie, by każdy zapamiętał przynajmniej jedną osobę, aby nie oddalać się bez pozwolenia i pojedynczo. Dodałem:

– Nie znamy się jeszcze, mamy przed sobą długą jazdę z przesiadkami. Oby nie, ale nie można wykluczyć, że będą jakieś problemy. – Nie chciałem ich przedwcześnie denerwować. Nie wiedzą, że nie mamy jeszcze zapewnionego pociągu do Moskwy. Może wszystko zakończy się pomyślnie, może chociaż raz szefostwo stanie na wysokości zadania i na czas załatwi bilety. – Dlatego, abyśmy się nie pogubili i rozpoznawali w tłumie, ubierzmy teraz nasze mundurki.

„Mundurki” to zbyt szumne słowo. Była to zwykła jasnoniebieska koszula z ciemnogranatowymi wypustkami i wykończeniami. Rękawy można było podwijać i zapinać na

guzik. Na lewym ramieniu koszuli było przyszyte godło Polski. Całość prezentowała się nawet całkiem dobrze.

Odpowiedziałem jeszcze na kilka pytań. Wreszcie pozwoliłem wszystkim rozejść się i usiąść na ławkach peronu. Mieli tylko pozostawać w jednym miejscu. Zaczynałem powoli się denerwować z powodu spóźnialskiego. Godzina zbiórki dawno minęła, do odjazdu pociągu pozostawało już tylko trzydzieści minut. Nie miałem numeru telefonu do jego domu, w wojewódzkiej komendzie o tak wczesnej porze też jeszcze nikogo nie było. Nie mogłem przecież pojechać bez jednego uczestnika. Paszport zbiorowy to jak relikwia i kajdany w jednym – mogą jechać wszyscy albo nikt. W tę i w powrotną stronę, trzydzieści osób dołączonych do paszportu, wystawionego na moje nazwisko. Ani mniej, ani więcej; tak sobie zażyczyli w „bratnim kraju”. Jedynie tłumaczka mogłaby oddzielnie pojechać, miała własny paszport. Tylko co by tam sama robiła?

Powoli denerwować się zaczęła również młodzież i obecni rodzice:

– Panie komendancie, pojedziemy bez tego jednego, jak nie zdąży?

– Spokojnie, zaraz powinien być.

Sam jednak wewnątrz już się gotowałem. Ukradkiem spoglądnąłem na zegarek – został ledwie kwadrans. Po chwili przez megafony zapowiedzieli pociąg do Kutna. Starałem się mówić spokojnym głosem:

– Chodźcie, idziemy na peron.

Na peronie zostawiłem grupę pod opieką świeżo poznanego drugiego członka kadry, mojej tłumaczki-zastępczyni. Starałem się nie zauważać jej nagle niespokojnie rozbieganych oczu i otwieranych bezgłośnie ust. Nie czekając na jej spodziewane wynurzenia, rzuciłem w pośpiechu:

– Proszę się nie niepokoić. Wrócę tylko na miejsce zbiórki, aby spóźnialski nas nie szukał – i szybkim krokiem wyszedłem przed dworzec. Tylko z tej strony mógł nadejść. Rzuciłem wzrokiem na zegarek; zostało dziesięć minut do odjazdu. Osłoniłem dłonią oczy przed wschodzącym, nisko świecącym słońcem, spojrzałem przez siebie – w oddali dostrzegłem biegnącą sylwetkę. Mój ci on czy nie? Oby tylko to był mój spóźnialski.

Wreszcie biegnący zbliżył się. Widać było, że wykrzesywał z siebie ostatnie siły. Ciężko dyszał, dźwigając w rękach dwie ogromne torby. Młody chłopak! Drągal, wyższy ode mnie o pół głowy, dobre dwa metry wzrostu. Nie czekałem, aż dobiegnie:

– Na Syberię?!

– Tak, panie komendancie, jestem Sławek…

– Jak się nazywasz? Zgadza się. Później będziesz się tłumaczył! Tymczasowego dowodu nie zapomniałeś? To dawaj jedną torbę i biegusiem! Włączaj znów piąty bieg, bo inaczej przez ciebie wszyscy zostaniemy na lodzie…

Zdążyliśmy wbiec na peron równo z wjeżdżającym pociągiem. Spojrzenia, jakimi został przywitany delikwent, stanowiły mieszaninę wściekłości, ustępującej paniki

i jednocześnie bezbrzeżnej ulgi. Uff, zdążyliśmy. Miałem jeszcze chwilkę na złapanie oddechu i uspokojenie, bardziej psychiczne niż fizyczne. Równo z zatrzymaniem się pociągu zakomenderowałem:

– Słuchajcie, wszystko w porządku. Wsiadamy do tego wagonu. Widać, że są w nim wolne miejsca.

Odjazd. Rozpoczęliśmy wreszcie wspólną podróż w nieznane. W przedziałach było dość luźno, pomieściliśmy się w dwóch wagonach. Oby tak dalej. Nareszcie miałem chwilę odpoczynku. Nawet nie pamiętałem, kiedy zasnąłem. Potrzebowałem tego po emocjach, zafundowanych mnie i innym przez spóźnialskiego. Miałem nadzieję, że limit kłopotów i nerwów już został wyczerpany.

Rozdział 3.

Podróż

Sen się przydał po wczesnoporannych przeżytych emocjach. Obudziłem się, już wypoczęty, dopiero przed samym Kutnem. Wysiedliśmy, przeliczyłem młodzież. Wszyscy byli. Może naprawdę moje nerwy z początku podróży były pierwszymi i ostatnimi? Może i bilety do Moskwy będą już na nas czekały w Brześciu?

Przed nami był jeszcze prawie cały dzień oczekiwania na kolejny pociąg. Wykorzystałem ten czas na zaznajomienie się z uczestnikami. Drągal Sławek początkowo trzymał się niepewnie z boku. Jeszcze przeżywał horror, którego nam przysporzył swoim spóźnieniem; pamiętał, jakimi spojrzeniami przywitali go przed wyjazdem inni uczestnicy. Stopniowo jednak lody przełamywały się, dziewczyny i chłopcy szybko zawierali znajomości. Widać było, że już zapomnieli o swoim zdenerwowaniu przy wyjeździe. Sławek został szybko przechrzczony na Sławusia – chociaż był potężnie

zbudowany, miał twarz małego dziecka. Taki duży misiaczek do przytulania.

Wreszcie późnym wieczorem nadjechał pociąg relacji Berlin – Moskwa. Czekała nas podróż do Brześcia. Co będzie dalej? Okaże się na miejscu. Bilety mieliśmy kupione, niestety bez miejscówek. Nakazałem młodzieży pod żadnym pozorem nie zdejmować mundurków; to był nasz jedyny znak rozpoznawczy.

Tłum pasażerów na peronie był spory. Spojrzałem po oknach wagonów hamującego pociągu. Niestety, wszędzie widać było wypełnione pasażerami przedziały. Szybko powiedziałem do mojej młodzieży:

– Słuchajcie, pociąg jest pełny, na peronie też czeka jeszcze dużo podróżnych. Każdy więc niech wsiada do byle jakiego wagonu i szuka wolnych miejsc. Nie zgubimy się, bo i tak pociąg stanie na granicy. Dobierzcie się parami. Może uda wam się po jednym miejscu siedzącym dostać, na korytarzu też są opuszczane krzesełka. Do Brześcia długa droga, postarajcie się więc na zmianę siedzieć i trochę przespać w czasie jazdy.

Kiedy tylko skład pociągu zatrzymał się, w tłumie, jak zwykle, zadziałał pierwotny instynkt walki o przetrwanie – każdy walczył o jak najszybsze wejście do wagonów. Musiałem opanować się i odczekać, aż wszyscy moi podopieczni wcisnęli się do środka. Na końcu wszedłem sam, ledwie domykając drzwi. Jedyne wolne miejsce pozostało przy ubikacji. Niezbyt dogodne z wiadomych

względów, ale nie narzekałem. Najważniejsze, że wszyscy się zmieściliśmy.

Warszawa zgotowała nam miłą niespodziankę – wielu pasażerów wysiadło, mogliśmy wreszcie usadowić się w przedziałach. Udało się i mnie. Była już noc, więc ponownie zaczął morzyć mnie sen. Ciasno było niemiłosiernie, bagaże i współpasażerowie uwierali z każdej strony. Byłem do tego jednak przyzwyczajony, więc bez problemów zasnąłem snem sprawiedliwego.

Obudził mnie dopiero zgrzyt hamującego pociągu. W przedziale było bardzo gorąco i duszno. Przetarłem zapuchnięte powieki, uchyliłem okno – jak obuchem uderzył mnie w płuca żar rozgrzanego powietrza. Upał na zewnątrz był jeszcze większy. Spojrzałem na zegarek – było już południe. Wyjrzałem przez okno i rozglądnąłem się. O matko! Gdzie my jesteśmy?! Na linii frontu?

Gdybym nie wiedział, mógłbym pomyśleć, że akurat trwa wojna pozycyjna, znana z frontu zachodniego w czasie I wojny światowej. Pociąg stał na pustkowiu, jak na ziemi niczyjej między dwiema wrogimi armiami. Z jednej i drugiej strony rozciągało się tylko puste pole, aż do horyzontu nie widziałem nawet jednej chałupy. Przez pole ciągnęła się linia zasieków z drutu kolczastego, wzdłuż niej widać było pas zbronowanej ziemi.

To znaczyło tylko jedno – dojechaliśmy prawie do drugiego etapu podróży, byliśmy na granicy zaprzyjaźnionego państwa. Dalej był już kraj nieznany dla większości z nas, o innych obyczajach. To bliska, ale jednak

dopiero przyszłość. Co innego zaprzątało mą głowę – teraz musimy przejść przez kontrolę graniczną. Niepokoiło mnie, czy rodzice młodzieży nie wypchali nadmiernie ich toreb i walizek. Już wcześniej zauważyłem, że niektórzy ledwie mogli podźwignąć ciężkie bagaże.

Długo nie trwało, jak nadeszli pogranicznicy i celnicy, polscy i radzieccy. Wyciągnąłem zbiorowy paszport, powiedziałem im, kim jestem i w jakim celu jedziemy. Tłumaczka także pokazała swój paszport i wizę wjazdową. Wytłumaczyłem pogranicznikom, że z powodów obiektywnych moja młodzież porozmieszczała się w wagonach po całym pociągu. Nawet się nie zdziwili, widocznie nie pierwszy raz mieli z czymś takim do czynienia. Niejedna już grupa musiała tą trasą przekraczać granicę w podobnych warunkach.

Szybko uzgodniliśmy, że przejdę przez cały pociąg wraz z dwoma pogranicznikami, odszukamy moich ubranych w mundurki, którzy pokażą swoje dowody tożsamości. Pogranicznicy będą po kolei odznaczać nazwiska na zbiorowej liście i w ten sposób odprawa zostanie zakończona.

Zaczęliśmy przeciskać się między stłoczonymi w wagonach podróżnymi i ich bagażami. Szybko pogratulowałem sobie, że wcześniej nakazałem włożyć wszystkim mundurki – od razu „moi” rzucali się w oczy wśród cywilów. Jak na warunki i ciasnotę, szło nam całkiem sprawnie. Dziewczyna lub chłopak pokazywali swoje dokumenty, jeden z pograniczników odczytywał, drugi

odkreślał na mojej liście. Piąta, piętnasta, dwudziesta osoba, kolejna. Dwudziesta piąta, dwudziesta szósta, dwudziesta siódma, dwudziesta ósma. Jest i dwudziesta dziewiąta. Jeszcze tylko jedna i będzie po odprawie.

Przepchaliśmy się do przedostatniego wagonu. W nim też jednak nie było ostatniej, trzydziestej osoby. Doszliśmy do połowy ostatniego wagonu, a ja dalej nie widziałem brakującego mundurka. Zacząłem się trochę niepokoić. Rzuciłem ukradkiem wzrokiem na listę. Kogo brakuje? No tak, Sławka! Spóźnialskiego dryblasa. Ale pewnie jest w ostatnich przedziałach, przecież nie wyskoczył z pociągu po drodze.

Z każdym mijanym przedziałem mój niepokój zaczynał jednak przechodzić w rosnące zdenerwowanie. Chyba Sławek nie wywinął kolejnego numeru?! Sprawdziliśmy przedostatni przedział, także bez efektu. Ostatni przedział. Nie ma. Jasny gwint, gdzie on jest?! Przecież z pociągu nie mógł wysiąść. Cholera, gdzie jest Sławek?!

Spojrzałem na pograniczników.

– Musiałem jednego przeoczyć.

Wzruszyli ramionami.

– To wracamy i sprawdzamy jeszcze raz.

Tym razem szliśmy dużo wolniej, zaglądaliśmy także do WC. Zguba musi być gdzieś w pociągu, nie zapadł się przecież pod ziemię ani nie wysiadł. Drzwi wagonów są zamknięte. Dla pewności pokrzykuję co chwila:

– Grupa do Nowosybirska! Kto jest z grupy do Nowosybirska?

Odzywali się moi ludzie. Niestety, nie poszukiwany Sławuś. Weszliśmy do ostatniego wagonu, przeszliśmy aż do ostatniego przedziału. Koniec pociągu. Nie ma go.

Zaczęły mnie zalewać naprzemiennie zimne i gorące poty. Gdzie się podział ten dryblas?! Przecież osobiście dopilnowałem, aby ubrał się w mundurową koszulkę. Zresztą, gdyby nawet ją zdjął, to nie mógł umknąć przed naszymi oczami. Dwoma metrami wzrostu i posturą rzucał się w oczy; to nie jakiś mikrus, którego moglibyśmy nie dojrzeć. A jednak zniknął. Ani mundurka, ani osoby.

Nie było co stać i drapać się po głowie. Wraz z pogranicznikami udałem się do ich szefa. Po krótkiej, nerwowej wymianie zdań padło z jego strony autorytatywne:

– Wszystko rozumiem. Jeżeli jednak do czasu zakończenia kontroli pozostałych pasażerów pański brakujący człowiek nie odnajdzie się, to niestety, będzie pan musiał z całą grupą opuścić pociąg i wrócić pieszo do polskiej granicznej stacji. Nie będziemy mogli dłużej wstrzymywać pociągu. Trudno, mieliśmy już takie przypadki.

Ładna mi pociecha. Co robić? Kurza twarz, gdzie jest ten dryblas?! Gdzie się zawieruszył? Przecież nie wyskoczył z pędzącego pociągu. Mamy wysiąść i wrócić z powodu takiego jednego? Że też wszystko było załatwiane w ostatniej chwili. Gdyby wszyscy mieli oddzielne paszporty, to byśmy najwyżej pojechali bez niego. Gdyby. Niestety, paszport zbiorowy obowiązuje – jadą wszyscy albo

nikt. Różne znane przekleństwa cisnęły mi się na usta; ledwie się powstrzymywałem, aby nie przeklinać na głos.

Czas uciekał. Widziałem współczujące spojrzenia stojących obok polskich celników i wopistów. Nie namyślałem się wiele – zawołałem trzech moich chłopaków, wyglądających na rezolutnych. Wytłumaczyłem im, co mają robić. Porozmawiałem też jeszcze raz z szefem pograniczników. Nie był nieżyciowym służbistą – pozwolił mnie i jednemu z chłopców wysiąść z zamkniętego wagonu i szukać zguby od zewnątrz. Pozostałych dwóch miało powtórzyć moje poszukiwania wewnątrz pociągu. Trwożnych zapytań stojących obok kilku dziewcząt – „A co będzie, jak się nie znajdzie?" – wolałem nie dosłyszeć. Niestety, odpowiedź już znałem.

Szliśmy powoli wzdłuż pociągu po nasypie kolejowym. Okna wagonów były bardzo wysoko, ale znalazłem długi kij i stukałem w nie po kolei. Krzyczałem na zmianę z chłopcem:

– Sławek! Sławek! Nowosybirsk!

Niestety, wychylali się wszyscy inni, tylko nie poszukiwany. Doszliśmy do trzeciego od końca wagonu, minęliśmy też przedostatni. Bez rezultatu. Ze strony wewnętrznej grupy poszukiwawczej też nie dochodziły żadne okrzyki wrzaskliwej radości.

Szliśmy już wzdłuż ostatniego wagonu. Krzyczałem ja, krzyczał towarzyszący mi chłopak, stukałem kijem w okna. Starałem się nie dać owładnąć kłębiącym się pod czaszką czarnym myślom. Co zrobię, jak go nie znajdziemy?

– Panie komendancie, panie komendancie, pan mnie wołał? – Zaspana twarz mojego dryblasa i jego ręka czochrająca czuprynę pokazały się w oknie przedziału, który już minęliśmy.

– Sławek?!!! Jeeezuuu, ja cię chyba zabiję!!! I to na miejscu! Gdzieś ty był?!

– Ja? Tutaj. Jak w Warszawie usiadłem, tak się nie ruszałem. Zdrzemnąłem się trochę.

– Przecież przechodziłem kilka razy przedziały, szukałem mundurków, wołałem ciebie po imieniu i nic. Gdzieś ty naprawdę się schował?!

– Daję słowo, panie komendancie, że nie kłamię. Nie słyszałem pana, bo mam twardy sen.

– Twardy?! Ciebie chyba wystrzał z armaty by nie dobudził!

– Mama do szkoły to musi mnie rano mocno szarpać, abym wstał. O, przepraszam, ale ziewać mi się chce, bo jakiś pan w przedziale gwałtownie mnie obudził. Wrzasnął mi do ucha, że chyba to mnie wszyscy szukają.

– Przecież szukałem po mundurkach, masz go na sobie. To jak ja ciebie ominąłem?

– A bom się z głową przykrył moją kurtką… ehhh, ale mnie zieeewka trzyma…

– Nie ruszaj się! Zaraz przyjdzie dwóch kolegów. O, już są. Dobra, nie wrzeszczcie tak! Bierzcie go z powrotem i do początku pierwszego wagonu. Jeden z przodu, drugi z tyłu Sławka. Nie inaczej! Głową odpowiadacie. Szybko. My też tam już idziemy.

Sprawę rozmówki osobistej z dryblasem pozostawiłem na później, teraz nie było na to czasu. Zresztą i tak spłynęła na mnie fala ogromnej ulgi, która roztopiła resztki złości pomieszanej z niedawną wielką obawą i niewiadomą. Nie musiałem już bić się z myślami – co zrobić, jak nie znajdę Sławusia?

Maszerowaliśmy szybko do przodu pociągu. Z otwartych okien wagonów dochodziły nas wrzaski chłopców i piski dziewczyn – niechybne oznaczenie miejsca, w którym akurat znajdował się Sławek.

Dotarliśmy do pierwszego wagonu. Powitały mnie uśmiechy pograniczników:

– Słyszymy, że odnalazł się? Trudno nie słyszeć. Ludzie przy odprawach siedzą jak trusie. Kilka lat tu pracuję, ale takiego wrzasku jeszcze nie słyszałem.

– Odnalazł. Spał w najlepsze, przykryty kurtką. Takiego to nawet trąby jerychońskie chyba by nie dobudziły. Najważniejsze, że jest, zdążyliśmy.

– W ostatnim momencie, nasi ludzie kończą właśnie odprawę. Powodzenia i obyście już nie mieli takich przepraw.

– Dziękuję. Oby. Mam taką nadzieję. Starczy nerwów jak na początek podróży.

Pozostała odprawa mojej grupy przeszła już, o dziwo, bardzo sprawnie. Celnicy darowali nam nawet przetrząsanie bagaży. Ucieszyłem się, przynajmniej kolejna porcja nerwów mnie ominęła. Torby, plecaki i walizki moich podopiecznych były przecież podejrzanie mocno wypchane.

Może to naprawdę były ostatnie kłopoty w podróży? Może limit szargania nerwów się wyczerpał? Byle czekały już na nas w Brześciu bilety do Moskwy. Przecież obiecali, mieli dużo czasu. Nie powinienem się już tym kłopotać, na pewno już są.

Kontrola graniczna innych pasażerów w międzyczasie też się zakończyła. Wolałem więcej już nie ryzykować, poleciłem więc Sławkowi siedzieć przy mnie. Lokomotywa szarpnęła i pociągnęła wagony; ruszyliśmy. Po krótkim czasie dojechaliśmy do pierwszej stacji po drugiej stronie granicy. Wreszcie Brześć. Kolejny etap podróży był za nami.

Wysiedliśmy z wagonów. Ponownie przeliczyłem podopiecznych. Była cała trzydziestka i pani Anna, tłumaczka. Poprosiłem ją, aby szła z tyłu i miała baczenie na Sławusia. Sam poprowadziłem hufiec w kierunku potężnej bryły dworca. Weszliśmy do charakterystycznego budynku, wyglądającego na zbudowany na przełomie XIX i XX wieku. Zaskoczyła nas wielkość hali dworcowej. Zadarłem głowę do góry – wysoko nad nami był zawieszony półkolisty sufit. Ale ogrom! W tej przestrzeni ludzie wyglądali jak mrówki. Rozejrzałem się wokół – hol był zapchany tłumem podróżnych i ich bagażami, nie było mowy o znalezieniu wolnej ławki. Środek holu był całkowicie ich pozbawiony; ledwie kilkanaście ław stało pod ścianami. Wszystkie były zajęte przez zmęczonych podróżnych. Ogromna ciżba ludzka stała, przechodziła lub po prostu siedziała bezpośrednio na posadzce. Widocznie

cierpliwości i niezważania na niedogodności nauczyło ich doświadczenie życia w Związku Radzieckim.

Zawołałem wszystkich w jedno miejsce i krótko poinstruowałem:

– Słuchajcie, nie rozchodźcie się. Pójdę dowiedzieć się, czy są i gdzie mogę odebrać nasze bilety na podróż do Moskwy.

– A to ich pan nie ma, panie komendancie?

– Nie mam, nie było czasu. Wiecie, jakie były problemy z wyjazdem. Mieli jednak w czasie naszej podróży załatwić. Mam nadzieję, że bilety na nas już czekają. Pani Aniu, pani dowodzi.

– Jaa?! Ale…

– Jest pani przecież moją zastępczynią. Wszystko będzie dobrze. Sławek, idziesz ze mną.

– Już się nie zgubię, panie komendancie. Może zostanę z chłopakami?

– Wiem, że się już nie zgubisz, jednak jesteś mi potrzebny.

– A do czego, panie komendancie?

– Sam widzisz, jaka tu ciżba. Muszę mieć kogoś, kto będzie z daleka widoczny, a jesteś wyższy ode mnie. W razie czego utorujesz mi też drogę w tłumie. Poradzisz sobie, prawda? No i we dwóch raźniej. Chodź, nie marnujmy czasu.

– O, ja panu komendantowi utoruję drogę! Niech no tylko ktoś stanie na drodze!

– Dobra, dobra. Spokojnie, Sławku. Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. Nie musisz od razu kogoś przewracać. Dopiero byśmy mieli problemy! Chodź już. I idź przy mnie!

Rozejrzałem się po napisach umieszczonych na ścianach hali dworcowej. Nigdzie jednak nie znalazłem informacji, której szukałem. Na szczęście zauważyłem człowieka w kolejarskim mundurze. „Koniec języka za przewodnika” – podszedłem i zapytałem, gdzie mogę znaleźć naczelnika stacji. Szkolna nauka języka rosyjskiego nie całkiem wywietrzała mi z głowy. Miejscowy kolejarz zrozumiał i pokazał mi drogę. Pilnując jak oka Sławusia, dotarłem do biura naczelnika stacji.

Zapukałem i weszliśmy do środka. Za biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku. Spojrzał na mnie pytająco. Podszedłem bliżej i przedstawiłem się:

– Zdrastwujtie. Jestem komendantem hufca młodzieży z Polski. Miały być dla nas tutaj przygotowane bilety na podróż do Moskwy.

– A witam, witam. Tak, wiem o was, powiadomiono mnie.

Uff, co za ulga. Niepotrzebnie się denerwowałem. Czyżby naprawdę koniec problemów?

– Ulżyło mi, bo różnie się zdarza. Jesteśmy długo w podróży i nie miałem już kontaktu z moim szefostwem. Gdzie mogę odebrać bilety i o której mamy pociąg?

– Tawariszcz kamiendant, przykro mi, ale biletów jeszcze nie ma. Próbuję je dla was załatwić, ale to nie takie

proste.

– Jak to?! Miałem obiecane przy wyjeździe, że bilety będą na nas czekały w Brześciu. – Słowa naczelnika stacji momentalnie ściągnęły mnie z obłoków na ziemię. Kurde! Jak dojedziemy do Moskwy?!

– Musicie czekać. Na dwa najbliższe pociągi do Moskwy nie ma najmniejszych szans, wszystkie miejsca wykupione. Staram się dowiedzieć, jak jest z następnymi pociągami.

Przyzwyczajony do naszych polskich warunków w podróżowaniu koleją, spróbowałem jeszcze nacisnąć:

– Towarzyszu naczelniku, moja młodzież nie jest taka wybredna. Gdybyśmy dostali bilety, to jakoś pomieścimy się w wagonach. Możemy stać w korytarzach, to nie jest takie złe miejsce. Byleby już jechać.

Spojrzał na mnie dziwnie:

– Grażdanin kamiendant, u nas nie Polsza. Do pociągu wpuszcza konduktor, wszystkie miejsca w pociągach na długich trasach są numerowane i sprzedawane z miejscówkami. Nie ma mowy, aby ktoś wszedł dodatkowo.

– Rozumiem, towarzyszu naczelniku. To jednak sprawa załatwiana na wysokich szczeblach, w ramach porozumienia o wymianie. My jedziemy do was, wasi jadą do nas. Może by tak wyjątkowo udało się nas wpuścić do jednego z tych dwóch pociągów? Mam jeden dzień w zapasie do odlotu samolotu z Moskwy. Jeżeli jednak coś znów nas opóźni, to katastrofa. Nie mogę ryzykować, jest nas trzydzieścioro dwoje i nie mogę rozdzielić hufca. Bilety

na samolot mamy załatwione na konkretny lot. Może by jednak coś się udało załatwić?

– Dostałem prikaz pomocy. Telefonowałem, gdzie trzeba, rozmawiałem, ale naprawdę dzisiejsze dwa pierwsze pociągi odpadają. Wszystko za późno. Jedzie jeszcze wieczorem trzeci, może na niego uda mi się załatwić wam bilety. Siądźcie, odpocznijcie, zaraz znów podzwonię. Napijecie się czaju?

– Chętnie, dziękuję. Niesamowity upał dzisiaj, gardła nam pozasychały.

Uczynna słowiańska dusza była jednak z tego Rosjanina. Usiedliśmy ze Sławkiem w fotelach, jego sekretarka przyniosła nam herbatę, zaparzoną w prawdziwym samowarze. Z wielką przyjemnością popijałem ją, gasząc pragnienie. W tym czasie naczelnik co chwila gdzieś dzwonił. Raz podrywał się przy rozmowie i stawał na baczność; innym razem, rozwalony w fotelu, wrzeszczał do słuchawki „fortissimo”. Ciekawie to wyglądało. Od razu można było się domyślić, kto jest akurat po drugiej stronie linii telefonicznej – przełożony czy podwładny. Pierwszy obrazek odmienności obyczajów.

Wypiliśmy herbatę i dalej czekaliśmy. Cierpliwość i niedziwienie się to jedne z podstawowych cnót w podróżach w nieznane. Po prawie godzinie siedzenia, z czego większość czasu była oczekiwaniem na połączenia telefoniczne, w trakcie kolejnej takiej rozmowy twarz naczelnika nagle rozpromieniła się. Odłożył

z namaszczeniem słuchawkę na widełki i spojrzał dumny na mnie. Czyżby załatwił?!

– Nu, tawariszcz Paljak, wsio w pariadkie. Macie bilety na wieczorny pociąg. Rano będziecie w Moskwie.

– Z serca dziękuję, towarzyszu naczelniku. Zdążymy na samolot, to najważniejsze. Dość już miałem problemów po drodze. Naprawdę dziękuję.

– To co, komendant? Może po stakaniku? Za pomyślność i spokojną podróż?

– Dziękuję, ale nie mogę, odpowiadam za ludzi. Jeszcze długa droga przed nami. W innym czasie nie odmówiłbym.

– Nu, kak nie można, to nie można. Panimaju, służba nie drużba. Życzę zdrowia.

Podszedł do mnie i dwukrotnie zrobiliśmy porządnego „misia”. Uściskałem się z nim, bo i było dlaczego. Kamień spadł mi z serca. Na odchodne wręczyłem mu małą plakietkę metaloplastyki, z panoramą mojego wojewódzkiego miasta. Na szczęście w takie plakietki, metalowe znaczki i odznaki do przypinania na piersi byłem zaopatrzony jak na długotrwałą wojnę. Tego akurat dobra przewidująco zabrałem pokaźny zapas. Wiedziałem, do jakiego kraju jadę i co u nich jest w cenie.

Wróciliśmy do swoich z radosną nowiną. Od razu nastroje wśród młodzieży się polepszyły. Mieliśmy jeszcze całe popołudnie wolne, pogoda była piękna, więc z grupą chętnych postanowiłem wybrać się na przechadzkę po Brześciu. Pozostałe osoby zdecydowałem się zostawić pod opieką tłumaczki. Była ona niezbyt skora do spacerów; do

ponoszenia odpowiedzialności również się nie paliła, co już wiedziałem. Znowu próbowała marudzić:

– Panie Zdzisławie, może weźmie pan wszystkich? Ja popilnuję bagaży.

– Pani Anno, a widzi pani, ile mamy tych bagaży? Jak pani ma sama sobie poradzić? Nie będę też na siłę ciągnął wszystkich. Porozmawia sobie pani, zaznajomi się bliżej z dziewczynami i chłopcami – i uśmiechnąłem się do niej promiennie. – Może uda się pani znaleźć wolną ławkę i odpocząć. Przed nami jeszcze długa podróż.

– Ale kiedy wrócicie? – w głosie pani Anny znowu wyczułem nutkę obawy.

– Za kilka godzin. Na pewno się nie spóźnimy. No, to kto chce się przejść, to ze mną. Ilu? Raz, dwa trzy… dwudziestka. Chodźcie. Sławek, idziesz przy mnie – i zwracając się do mojej tłumaczki, ponownie się uśmiechnąłem. – Do zobaczenia wieczorem.

Odwróciłem się i zacząłem przeciskać między podróżnymi. Kiedy przechodziłem przez ogromny hol w stronę wyjścia do miasta, zauważyłem niezwyczajny u nas, rodzajowy obrazek – w samym środku ciżby ludzkiej siedziała na posadzce z setka sałdatów, o wyraźnie azjatyckich rysach. Część z nich, skurczona w pozycji embrionalnej, po prostu spała, z głową na żołnierskim worku. Włosy mieli ostrzyżone do gołej skóry, co od razu informowało obserwatora, że są z nowego poboru. Byli bez broni, w nowiutkich furażerkach, ale w spłowiałych już gimnastiorkach. Widocznie nie starczyło nowych

mundurów, więc dostali używane, po swoich poprzednikach.

Popatrzyłem na zwykłe żołnierskie worki, na furażerki z małą czerwoną gwiazdą, na gimnastiorki, na ich kierzowe buty z miękkimi, marszczącymi się w kostce cholewami… Poczułem się, jakbym nagle przeniósł się w czas wojennej zawieruchy drugiej światowej. Wyglądali jak wyjęci z kadrów wojennych filmów. Kiedy przechodziłem obok nich, nie zrozumiałem jednak nic z tego, o czym rozmawiali. Nie mówili po rosyjsku, tylko w nieznanym mi języku. Jedynie ich stojący z boku dowódca lejtnant był z wyglądu Europejczykiem.

Później, już po powrocie do domu, dowiedziałem się od znajomego oficera, dokąd mogli jechać. Przez Brześć dowództwo radzieckie wysyłało żołnierzy do służby w swojej Zachodniej Grupie Wojsk, stacjonującej w ówczesnej Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wielu z poborowych tam wysyłanych pochodziło z republik azjatyckich. Bardzo słabo znali oni język rosyjski. Podobno wysyłanie tych Azjatów do odbycia służby w NRD było świadomą polityką ich dowództwa. W razie ucieczki z jednostki wojskowej, w której służyli, byli szybko łapani. Zdradzały ich wschodnie rysy twarzy oraz kompletna nieznajomość niemieckiego języka, europejskich zwyczajów i terenu.

Wyszliśmy przed dworzec, wprost na oślepiające słońce. Szeroką ulicą poszliśmy w kierunku niedalekiej twierdzy. Rozejrzałem się po mijanych budynkach

mieszkalnych. Kolejne zdziwienie – w większości okien nie było firanek. Zamiast nich szyby do połowy wysokości były zasłonięte gazetami. Co najdziwniejsze, w mijanym sklepie zobaczyliśmy na półkach firanki; nie brakowało ich. Cóż, de gustibus non est disputandum.

Spacerowym krokiem doszliśmy do słynnej twierdzy brzeskiej. Od razu przypomniałem sobie dramatyczne zdarzenia związane z jej historią – uwięzienie przez sanacyjne władze Drugiej Rzeczpospolitej demokratycznej opozycji Centrolewu w 1930 roku, obrona warowni przed hitlerowskim Wehrmachtem przez Wojsko Polskie we wrześniu 1939. Potem przejęcie miasta przez Rosjan, wspólna defilada wojsk hitlerowskich i radzieckich. I kolejne, najtragiczniejsze i chyba najbardziej znane – bohaterska obrona twierdzy w czerwcu 1941 roku, trwająca aż do początku lipca. Dla Rosjan to była Twierdza Bohater; nie tylko oficjalnie dla władz, lecz także dla zwykłych obywateli. Sami zobaczyliśmy, jak młoda para podjechała i złożyła ślubną wiązankę pod jednym z miejsc pamięci. Honorowali nie Stalina, lecz heroizm zwykłych prostych żołnierzy. Podobno w kazamatach twierdzy ostatni obrońcy zginęli, kiedy wojska hitlerowskie były już hen, daleko pod Smoleńskiem.

Czas na spacer oraz historyczne wspominki szybko minął. Wróciliśmy pod wieczór na dworzec. Tłumaczka przyjęła mój powrót z wyraźną ulgą. Zaniepokoiłem się, że coś się zdarzyło w czasie mojej nieobecności, ale nie. Widocznie nie potrafiła sobie poradzić z brzemieniem

odpowiedzialności za innych. Powoli przyzwyczajałem się do tego – wiedziałem już, że nie będę miał z jej strony pomocy. Jeżeli mam na kogoś liczyć, to najlepiej, kiedy będę liczył wyłącznie na siebie.

Nadjechał nasz pociąg. Przekonaliśmy się, że naczelnik stacji mówił prawdę – z każdego wagonu wysiadł konduktor, stanął przy drzwiach i kontrolował bilety wraz z miejscówkami. Tym razem mogłem spokojnie wsiąść, wszyscy moi ludzie mieli swoje miejsca. Na wszelki wypadek nieprzewidywalnego Sławusia trzymałem blisko siebie, dałem mu bilet do mojego przedziału. W wagonach było czysto, wygodnie i przestronnie. Wreszcie bez zmartwień i troski mogłem wyspać się porządnie. Po emocjach minionej doby z ulgą wyciągnąłem nogi. Miarowy stukot kół pociągu i zmęczenie spowodowały, że szybko udałem się w miłe objęcia Morfeusza.

Całą podróż znowu przespałem. Obudziłem się rześki, akurat w momencie, kiedy wjeżdżaliśmy już do Moskwy, na słynny Biełarusskij Wokzał. Tu kończyła się nasza podróż koleją. Pozostałą, ostatnią część trasy mieliśmy już odbyć samolotem.

Nagle resztki snu gwałtownie z siebie strząsnąłem. Zaraz, a co ze Sławusiem? Zaniepokojony, szybko zerknąłem na jego miejsce. Natychmiastowa ulga, spał sobie w najlepsze. Dobrą chwilę trwało, nim go dobudziłem. Nie kłamał, że trudno go wyrwać z kamiennego snu. Jak mam sobie z nim radzić na miejscu, kiedy trzeba będzie

pewnie codziennie wcześnie wstawać? Ale o to będę się martwił później, ważne, że nie muszę go teraz znów szukać.

Wysiedliśmy, zebrałem moją grupę, szybko przeliczyłem. W porządku, nikogo nie brakuje. „Jak jest Sławuś, to wszyscy są”.

– Dzień dobry w Moskwie. Wyspani jesteście? Wszyscy zabrali swoje bagaże? Sprawdźcie jeszcze raz. Wszystko gra? To wychodzimy z dworca i jedziemy autobusem na lotnisko. Trzymajcie się blisko. Pani Aniu, jak zwykle, proszę, aby pani szła jako ostatnia.

Mieliśmy jeszcze kilka godzin do odlotu. W pociągu zastanawiałem się, czy nie wykorzystać wolnego czasu – pojechać do centrum Moskwy, zobaczyć Plac Czerwony. Szybko jednak zrezygnowałem z tego pomysłu, wolałem nie ryzykować. Nie przyjechaliśmy przecież jako turyści. A co będzie, jeżeli w ostatnim momencie znów coś nie zadziała? Bilety lotnicze miały na nas czekać w sali odpraw, nie miałem ich jednak w ręku. Wolałem zastosować się do swojej zasady „wierzę, ale sprawdzam”.

Przebiliśmy się przez przelewający się we wszystkich kierunkach tłum podróżnych. Wyszliśmy przed dworzec wprost na przystanek miejskich autobusów i odnalazłem właściwy kurs. Niedługo trwało, a już jechaliśmy na lotnisko. Coś za łatwo nam idzie od czasu wyjazdu z Brześcia – ta niepokojąca myśl przemknęła mi przez głowę. Szybko ją zdusiłem w zarodku. Dość! Dość już było przygód. Jak na jedną podróż wyczerpaliśmy ich limit z naddatkiem.

Wysiedliśmy przed lotniskiem Szeremietiewo 1. Odszukałem kasy biletowe i zbliżając się do nich, poczułem, jak ma dusza znów niecierpliwie sadowi się na mym ramieniu. A niech ją… czy nie pozbędę się już niepokoju? Podszedłem z tłumaczką do pracownicy lotniska i zapytałem o nasze bilety. O dziwo, były! Z westchnieniem ulgi zsadziłem delikatnie duszę z ramienia, która bez oporu natychmiast usadowiła się we właściwym dla niej miejscu. Chociaż tutaj obyło się bez niespodzianek. Nawet nie miałem pretensji o brak dodatkowych „atrakcji”. Czasem i nuda okazuje się przyjemnością…

Do odprawy i odlotu mieliśmy jeszcze dużo czasu. Już uspokojony, zebrałem grupę chętnych, nie zapominając o Sławusiu. Pozostawiłem resztę pod komendą tłumaczki-zastępczyni i poszliśmy obejrzeć Szeremietiewo 2 – nowy międzynarodowy port lotniczy, graniczący z naszym, obecnie tylko wewnątrzkrajowym. Wygląd, wykończenie i wyposażenie budynku nowego portu od razu rzucały się w oczy. To nie stare Szeremietiewo 1, z którego mieliśmy odlecieć. „Dwójka” została zbudowana na letnią olimpiadę w 1980 roku, więc widać było starania o wystrój i funkcjonalność. Od razu przypomniałem sobie naszego Bronka Malinowskiego, który przywiózł z olimpiady złoty medal po niesamowitym pościgu za Tanzańczykiem Bayem. To był bieg! Miałem przyjemność kilka razy z Bronkiem rozmawiać, mieszkaliśmy w tym samym mieście. Poza bieżnią był zwykłym człowiekiem, nie miał w sobie nic z pozera. Przechodzień mógł go zagadnąć na ulicy. Niestety,

zginął w wypadku samochodowym na wiślanym moście w 1981 roku. Miał ledwie trzydzieści lat...

Wspomniałem moim podopiecznym o Bronku, westchnąłem. Czas przeznaczony na zwiedzanie jednak mijał. Pooglądaliśmy terminal i wróciliśmy do naszej grupy. Odprawę przeszliśmy bez problemu, nikt nie ważył naszych toreb ani nie żądał dodatkowej zapłaty za nadbagaż. Po odprawie całego hufca przeszliśmy do samolotu. Wchodziliśmy do długiego i wąskiego Tu-154 lekko podekscytowani. Sądząc po twarzach, nikt z nas jeszcze nie leciał samolotem. Usiadłem na swoim miejscu. Było ciasnawo, nogi z trudnością zmieściłem między rzędami foteli. Wolałbym większy odstęp; mój wzrost zawyżał średnią statystyczną, według której rozplanowano fotele w samolocie. Dlaczego konstruktorzy nie skonsultowali tego ze mną?! Spojrzałem do tyłu. Akurat Sławuś próbował się usadowić na swoim miejscu. Wykręcił nogi na bok, blokując środkowe przejście. Lekko się uśmiechnąłem, on to dopiero miał problemy. Od razu minęła mi chęć na narzekanie. Wszystko jest na tym świecie względne, nawet niedogodności.

Startu prawie nie odczuliśmy, dobry pilot musiał siedzieć za sterami. Poczułem lekkie rozczarowanie. Gdzie te emocje związane z lotem? Żadnych turbulencji, samolot jakby płynął w powietrzu. Na szczęście widok za oknem szybko spowodował, że zapomniałem o rozczarowaniu – powietrze było krystalicznie przejrzyste. Na dole przesuwał

się krajobraz jak z kolorowanek dla dzieci. Widać było każdą rzeczkę, sioło czy miasto.

Po pewnym czasie na horyzoncie zamajaczyły góry Ural. Zagadnąłem dziewczyny siedzące najbliżej mnie, próbując mówić z powagą w głosie:

– Wytężcie wzrok, może za chwilę dojrzycie w dole tę czerwoną linię.

– Jaką czerwoną linię, panie komendancie? – z ciekawością odezwała się jedna z nich.

– Jak to, jaką? Przecież macie geografię w szkole.

– Mamy. Ale o co chodzi z tą czerwoną linią?

– Musieli wam mówić o niej. O tej, co oddziela Europę od Azji. Przecież nasz kontynent jest tylko półwyspem azjatyckiego. W rzeczywistości jest to jedna wielka Eurazja. Żeby więc podróżujący wiedzieli, kiedy mijają granicę między kontynentami, namalowano wzdłuż tych gór ogromną czerwoną linię. Podobno widać ją nawet z samolotu.

Dziewczyny spojrzały na mnie zdziwione. Niektóre podejrzewały, że żartuję, ale kilka z nich zaczęło z uwagą wpatrywać się w rozpościerający się w dole widok. Niestety, nad samym łańcuchem górskim spotkała je niemiła niespodzianka – cały Ural ukrył się pod warstwą chmur. Byłem właściwie kontent, bajeczkę o czerwonej linii granicznej mogłem dalej podtrzymywać. Długo jednak nie wytrzymałem, głośno roześmiałem się z udanego żartu, a za mną dziewczyny.

Ledwie minęliśmy pasmo Uralu, a chmury znikły i znowu mieliśmy z góry wspaniały widok.

Rozmowy ucichły, zmęczenie długą podróżą dawało się niektórym we znaki. Pod koniec lotu ponownie przejrzałem broszury, zabrane przezornie z domu, z wiadomościami o Nowosybirsku. Zbudowany był początkowo jako osada przy moście kolei transsyberyjskiej, przerzuconym nad potężną syberyjską rzeką Ob. Osada rozrosła się do trzeciego pod względem wielkości miasta w kraju, stając się tym samym największym miastem w azjatyckiej części tego ogromnego państwa. Nieoficjalnie uznawane jest za jego stolicę.

Poczytałem pozostałe informacje zawarte w broszurach. I jak tu się nie dziwić ogromowi syberyjskich przestrzeni? Nowosybirsk był stolicą „obłasti", odpowiednika naszego województwa. Tyle że obszar obłasti był większy niż Polska. Całe to ogromne terytorium zamieszkiwało ledwie dwa i pół miliona ludzi. Nawet ta liczba wprowadzała w błąd, gdyż aż półtora miliona mieszkało w samym Nowosybirsku i Akademgorodku, słynnej oddzielnej dzielnicy, powstałej z połączenia siedmiu osiedli naukowych. Poza miastem żył tylko milion ludzi, na obszarze większym niż Polska. Tak słabe zaludnienie na cieplejszym południu Syberii uzmysławiało, jak dużo rzadsze zaludnienie jest bardziej na północy.

Ogłoszona przez głośniki zapowiedź lądowania i zniżanie się samolotu przerwała mi lekturę. Przypatrywałem się z ciekawością widokowi za oknem –

wstęga szeroko rozlanej ogromnej rzeki ginęła za horyzontem. Pod nami przesuwało się miasto o niezbyt gęstej zabudowie, widać było bardzo szerokie ulice. Rzekę przegradzała wielka zapora hydroelektrowni, przed nią rozlewał się ogromny akwen wodny zbiornika nowosybirskiego, którego początku nie było widać.

Nie miałem dużo czasu na kontemplowanie widoku za oknem. Szybko zbliżaliśmy się do płyty lotniska. Pilot znów wykazał się kunsztem, mistrzowsko przyziemił. Prawie nie odczuliśmy momentu zetknięcia się kół samolotu z podłożem. Wylądowaliśmy. Wreszcie koniec naszej podróży, rozpocznie się nowy etap. Co nas tu czeka, czym życie zaskoczy? Jacy są tu ludzie? To wszystko było jeszcze przed nami, nieznane. Te karty dopiero mieliśmy otworzyć, jak karty nowo czytanej książki.

Rozdział 4.

Pierwsze zaskoczenia

Gospodarze oczekiwali nas już na lotnisku. Na szczęście obyło się bez tradycyjnych „misiów”, tak tu popularnych przy spotkaniach. Przywitaliśmy się, przedstawiliśmy nawzajem, wymieniliśmy kilka grzecznościowych zwrotów. Przeszedłem szybko do najważniejszego – gdzie będziemy mieszkać i w jakim charakterze pracować. Okazało się, że będziemy zakwaterowani w odległości kilkunastu kilometrów od miasta. Mieliśmy pracować w jednym z ich sowchozów – państwowych gospodarstwach rolnych, u nas zwanych pegeerami.

Zebrałem moją grupę i wraz z gospodarzami udaliśmy się do podstawionego dla nas autobusu. Kilka kilometrów za miastem asfalt szosy skończył się i dalej jechaliśmy już po zwykłej gruntowej drodze. Od razu za nami podniósł się ogromny tuman kurzu. Wszystko było wyschnięte, upał musiał utrzymywać się u nich od dłuższego czasu.

W krótkim czasie dojechaliśmy do sowchozu, w którym mieliśmy spędzić cały lipiec. W późniejszych godzinach, jeszcze tego samego dnia, obszedłem osadę. Nie było dużo do zwiedzania, nic ciekawego ani niezwykłego. Sowchoz okazał się całkiem podobny do naszych ówczesnych pegeerów – w centrum stał budynek dyrekcji i administracji, dalej warsztaty i magazyny. Wzdłuż zwykłej piaskowej drogi, spełniającej funkcję głównej ulicy osady, oraz przy kilku odchodzących od niej krótkich uliczkach stały budynki wielorodzinne. Pewnie mieszkali w nich pracownicy gospodarstwa. Były też domki jednorodzinne oraz parę starych, drewnianych chałupek. Sto metrów od nas stał parterowy budynek stołówki, sklep typu „1001 drobiazgów plus mydło i powidło”, przychodnia zdrowia i apteka. Naprzeciwko widniał duży, piętrowy dom kultury. Obok na placyku był postawiony pomnik. Zdziwiłem się – spodziewałem się zwyczajowego u nich pomnika Lenina, ale nie tym razem. Na zwykłym, prostym postumencie były przymocowane tablice z nazwiskami kilkunastu poległych żołnierzy z tej miejscowości w czasie II wojny światowej – ich Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Osada w niczym nie różniła się od naszych tego typu pegeerowskich wiejskich osiedli. Natomiast budynek, w którym mieliśmy mieszkać, okazał się dla nas niemiłym zaskoczeniem. W miejscu, w którym wysiedliśmy z autobusu, stało rzędem po obu stronach drogi kilka parterowych budynków. „Budynki” to jednak niewłaściwe słowo. Były to zwykłe, nieotynkowane baraki z białej cegły.

Zbudowane byle jak, z wypaczonymi oknami zamykanymi na zwykłe haczyki. W każdym były kilkuosobowe sale sypialne, łącznie dla pięćdziesięciu do stu osób. Był też pokój spełniający funkcję biura. Jak się dowiedziałem, budynki postawiono po wojnie w czasie chruszczowowskiego „zagospodarowywania celiny" – stepowych ugorów, które zaorywano pod zasiewy zbóż na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Weszliśmy do środka baraku oddanego nam na kwaterę. Wewnątrz zastaliśmy warunki typowo spartańskie – w każdym pokoju była stara szafa, drewniany stół i krzesła. Pod ścianami stało po kilka łóżek metalowych, podobnych do naszych szpitalnych, na nich leżała pościel. Z nawyku zaglądnąłem pod jedną z nich – łóżka jednak różniły się od naszych. Nie miały sprężyn ani materacy, tylko zwykłe deski oraz cienki siennik. W oknach nie było firanek i zasłon; nawet nie były zasłonięte gazetami, tak jak widziałem to w Brześciu. W parterowych barakach, z nisko umieszczonymi oknami! Przecież wieczorem wszystko w środku musiało być widoczne jak na dłoni. Każdy obcy przechodzący drogą mógł swobodnie do pokojów zaglądać. Chłopcy to nie taki problem, ale u mnie są również dziewczyny…

No to wdepnęliśmy. Spodziewałem się skromnych warunków, ale nie aż takich. Szybko moja wiedza została uzupełniona przez gospodarzy – były to letnie kwatery dla sezonowych pracowników. Nie z ogłoszenia o naborze do pracy, ale z obowiązku. W sowchozach brakowało maszyn,

stałych pracowników też było niewielu. W całej obłasti, podobnie jak i w innych obwodach na Syberii, odczuwano ogromny brak ludzi potrzebnych przy żniwach oraz przy pieleniu upraw warzyw i ich zbiorach. Obowiązywał więc nakaz pracy, nie tylko dla mieszkańców wsi, ale i miast. W okresie krótkiego lata wszystkie zakłady pracy, fabryki, instytucje, urzędy i nawet uczelnie wyższe musiały według urzędowego grafiku wysyłać do pracy na wsi zorganizowane grupy pracowników. Kulała wtedy produkcja i praca w zakładach, ale to było nieważne. Ważniejsza była coroczna „akcja żniwa”.

Wysyłani do sowchozów wyznaczeni sezonowi pracownicy mieszkali właśnie w tych barakach, pracowali od dwóch tygodni do miesiąca. Nakaz pracy obowiązywał również studentów. (To akurat było stosowane i u nas w czasach gomułkowskich, dla studentów przed rozpoczęciem pierwszego roku nauki. Inny był tylko cel – nie wynikał z braku siły roboczej na wsi, tylko z założeń ideologicznych – aby polscy studenci nabrali „szacunku dla ciężkiej fizycznej pracy”.) Zaskoczyła mnie jeszcze jedna informacja – obowiązkiem pracy na wsi byli objęci również uczniowie, już od dwunastego roku życia. Najmłodsi mieli tylko jeden przywilej – zamiast po osiem pracowali po sześć godzin dziennie.

Po otrząśnięciu się z lekkiego szoku spowodowanego widokiem warunków zamieszkania i informacją o obowiązującym na Syberii nakazie pracy, przeszedłem do wyjaśnienia rzeczy mnie interesujących:

– Co będziemy u was robili? W jakim charakterze będziemy pracowali? U nas, przed wyjazdem, nikt nie mógł mi tego powiedzieć.

– Jak wszyscy u nas, będziecie pracowali w polu. Jutro rano zaczynacie. Dzisiaj jeszcze odpoczywajcie.

– A gdzie są łazienki i toalety? Nie widzę ich w budynku.

– W budynku?! Są na zewnątrz, z boku.

– Na zewnątrz? To pozwolicie, skorzystamy teraz z nich, musimy się odświeżyć po podróży.

W pośpiechu wyciągnęliśmy z bagaży ręczniki i przybory kosmetyczne. Upał był niesamowity, byliśmy zgrzani i przepoceni. Każdy chciał jak najszybciej skorzystać z prysznica, poczuć na sobie orzeźwiające strumienie wody. Jednak na widok „łazienek” stanęliśmy jak wryci. Nie było żadnego oddzielnego pomieszczenia. Toaletami okazały się być dwie sławojki, zbite byle jak z nieoheblowanych desek, ze szparami między nimi na grubość palca. Tylko drzwi były nieprzejrzyste. Pewnie szpary w ścianach specjalnie zostawiono, aby zapewnić naturalną wentylację. Niestety, przez nie uderzył nas w nozdrza zapach „perfumerii” tak intensywny, że aż zatykało. Trudno było wytrzymać w pobliżu bez zatkania nosa. Ale kto miał mus… nie było rady. Prozaiczne potrzeby były ważniejsze od przyjemności powonienia. Zaraz ustawiły się dwie oddzielne kolejki do „toalet”. Dziwnie tylko „będący w potrzebie” stali oddaleni od sławojek

o dobre kilka metrów. Pewnie dla zapewnienia intymności miejsca pierwszym szczęśliwcom…

Nie lepiej przedstawiała się łazienka. Musiałem przyznać, że przynajmniej nie wykonano jej zgodnie z wiktoriańskimi wymaganiami, gdyż była koedukacyjna i dostępna z każdej strony. Od razu było widać, że tutaj skutecznie zwalczono miazmaty wstecznictwa i zacofanego spojrzenia na rozdział płci. Drugie, co było w niej dobrego, to nieograniczona ilość świeżego powietrza, z racji braku jakichkolwiek ścian i dachu. Formę kranów spełniała zawieszona metr nad ziemią pozioma rura wodociągowa, z otworami od dołu. Umieszczono w nich metalowe zatyczki. Umywalką zaś było stojące pod rurą blaszane koryto. Wystarczyło dłonią podnieść zatyczkę; woda spływała tak długo, jak długo była ona podniesiona. Nawet pomysłowe rozwiązanie, zwłaszcza pod względem oszczędności zużycia wody. Prysznic był jeszcze bardziej pomysłowy, do tego w stu procentach ekologiczny – na wysokim rusztowaniu zainstalowano wielką, na oko czterystulitrową beczkę. Od dołu wkręcony był kawałek rury z sitkiem prysznica na końcu. W czasie gorącego letniego dnia słońce nagrzewało wodę w beczce. Po powrocie z pracy można było już skorzystać z prysznica i ciepłej wody. Prawda, jakie to pomysłowe i oszczędne w zużyciu energii urządzenie? Tylko czy starczy wody w beczce dla moich trzydziestu podopiecznych?

Wrażenia z obejrzenia naszego obejścia nie były zbyt zachęcające, delikatnie rzecz nazywając. Nie musiałem

nawet patrzeć na miny dziewcząt i chłopców; sam miałem podobną. Wiedziałem, że nie mogliśmy oczekiwać luksusów, ale tego się nie spodziewałem. Znaleźliśmy się jednak kilka tysięcy kilometrów od domu, nie wiedziałem nawet, czy będę miał możliwość kontaktu telefonicznego. Przedstawiciele naszych gospodarzy starali się być uczynni, ale już przewidywałem, że będą problemy. Duże problemy. Po prostu byliśmy z innych światów.

Nie było jednak rady. Trzeba było zadomowić się w takich warunkach, jakie przygotowali nam gospodarze. Porozdzielałem młodzież i tłumaczkę po pokojach, sam zakwaterowałem się w biurze, w którym było jedno łóżko do spania. Zabrałem się do rozpakowywania swoich rzeczy, rozmawiając jednocześnie z jednym z witających nas gospodarzy. Nagle usłyszałem przeraźliwe krzyki i piski dziewcząt na zewnątrz. Rzuciłem trzymane w ręku rzeczy i wybiegłem z baraku. Co się stało?!

Zobaczyłem uciekające w stronę niedalekiego lasku postaci. Roztrzęsione dziewczęta bezładnie zaczęły opowiadać. Dwie z nich korzystały ze sławojek, a kilka innych stało przed nimi, karnie czekając na swoją kolejkę. To one zobaczyły, że z tyłu podkradło się kilku dzieciaków, którzy zaczęli podpatrywać przez szczeliny w deskach ubikacji. Dlatego dziewczyny narobiły wrzasku.

Resztę zdarzenia już sam widziałem. Podminowany odwróciłem się na pięcie i biegiem wróciłem do przedstawiciela gospodarzy, siedzącego niewzruszenie w moim pokoju. Zdziwił się moimi pretensjami:

– E tam, to nie miejscowi. To ci z baraków obok.

– Jacy z baraków obok?

– Uczniowie ze szkoły z miasta. Rebiata, mają od dwunastu do czternastu lat. Jest ich setka w dwóch barakach. Już mówiłem, u nas wszyscy w lato pracują. Dowiedzieli się, że aż z Polszy przyjechaliście, to chcieli zobaczyć. Normalnie, ciekawscy, jak to chłopcy.

– Ciekawscy? Nie mnie oglądali, tylko moje dziewczyny podglądali.

– To przecież normalne. Dorastają, to i podglądają. Do tego dziewczyny nie miejscowe, więc co się dziwić? Powiem ich komendantowi, ale lepiej sami uważajcie. Nie upilnujemy przecież wszystkich.

Widziałem, że dalsza dyskusja nie przyniesie innego efektu, skorzystałem więc z rady. Poinstruowałem moje dziewczyny, aby za potrzebą chodziły z naszymi chłopakami jako obstawą. Mieli pilnować i odpędzać wyrostków.

Miejscowy pożegnał się ze mną i wyszedł. Wreszcie miałem chwilę spokoju. Rozpakowałem się, zakwaterowałem. Później z grupką chętnych obszedłem osadę, nie znajdując w niej nic ciekawego. Wieczorem powrócił Rosjanin przydzielony do nas na pierwszy dzień i zaprowadził na stołówkę. Czas był już na kolację.

Weszliśmy na skromnie umeblowaną salę jadalną, przywitaliśmy się z oczekującymi kucharkami. Co też nam one podadzą? Jakie smakołyki przygotowały na pierwszy dzień dla gości z dalekiej Europy?

Czekało nas kolejne zaskoczenie. Które to już dzisiejszego dnia? Na stołach przykrytych zwykłą ceratą stała herbata w dzbankach, obok leżał chleb, nad talerzami z jakąś kaszą unosiła się para. Niezbyt świątecznie wszystko to wyglądało, jak na powitanie gości z zagranicy. Wszyscy – zarówno kucharki, jak i moi – patrzyli na mnie. Uśmiechnąłem się i zachęcającym gestem wskazałem krzesła. Byłem już porządnie zgłodniały. Usiadłem, włożyłem łyżkę z kaszą do ust. Potrawa od razu urosła mi w gardle. Jaki to ma smak? Żaden, trudny do określenia. Kasza nie była słodka, nie była też przyprawiona na ostro. Była po prostu mdła. Zerknąłem na siedzącą moją młodzież – wszyscy patrzyli na mnie. Na co oni czekają?! Nie było wyjścia, musiałem dać przykład. Spróbowałem przełknąć, bohatersko walcząc z chęcią odłożenia łyżki na stół. Uff, jakoś się udało, przemogłem się. Resztę kaszy porządnie dosoliłem, znowu posmakowałem. Wreszcie stała się znośniejsza, bardziej jadalna. W milczeniu zacząłem nieśpiesznie jeść, jednocześnie zachęcająco uśmiechając się do pozostałych.

Mój osobisty przykład na niewiele się zdał. Większość, po spróbowaniu, odłożyła łyżki i kolację przesiedziała z kwaśnymi minami. Stojące przy kuchennym okienku kucharki wybałuszyły oczy i podniecone zaczęły szeptać między sobą. Ech, znowu zderzenie cywilizacji, tym razem kulinarne… Podniosłem się, podszedłem do nich i uspokajająco powiedziałem:

– Proszę się nie dziwić, że nie wszyscy moi jedzą. Jesteśmy zmęczeni po długiej podróży. Bardziej myślimy o wypoczynku niż o jedzeniu.

– Pewnie wam nie smakuje nasze jedzenie – z urazą w głosie odezwała się jedna z kucharek.

– Yyy… może nie tyle nie smakuje, co jest inne. Inaczej smakuje. To normalne, moi muszą przywyknąć do waszego jedzenia. Przyzwyczaimy się.

– Mamy jeszcze przygotowane ciasto dla was. Może to zjedzą?

– Na słodkie młodzież ma zawsze ochotę. Proszę je podać. Wrócę już do stołu.

Zdobyłem się na wymuszony uśmiech, chociaż wcale nie było mi wesoło.

Odwróciłem się i ponownie usiadłem na swoim miejscu. Na szczęście ciasto okazało się dobre, smakowało jak nasza drożdżówka. Nikt się już nie ociągał i w minutę wszyscy spałaszowali ciasto do ostatniej okruszynki.

Po tym jednak przyjemnym zakończeniu kolacji podziękowaliśmy i wróciliśmy do siebie. Szybko się okazało, że moje niejadki były takimi tylko w stołówce. Teraz powyciągały niezjedzony w podróży prowiant, w który mamusie zaopatrzyły ich aż za dobrze, jakby przewidując początkowe kłopoty. Tylko co będzie później, kiedy zapasy się skończą? Próbowałem nie zaprzątać sobie tym głowy, pewnie tylko na początek kucharki nie trafiły w nasze gusta. Przecież to pierwszy posiłek, nie znają jeszcze naszych smaków.

– Jednak jesteście głodne – ni to zapytałem dziewczyn, ni to stwierdziłem.

– Panie komendancie, przecież to się nie nadawało do jedzenia! – odezwała się jedna z nich. – A panu smakowało?

– Niezbyt. No dobrze, zobaczymy. Może jutro będzie lepiej.

– Na nasz przyjazd nic dobrego na stołówce nie przygotowali, to jutro ma być lepiej?!

– Mają przecież inną kuchnię. Skąd kucharki miały wiedzieć, co nam smakuje? Zrobiły, jak umiały. Jakoś się musimy wspólnie dotrzeć. Ale to już nie na dziś, idźcie odpocząć.

Zmęczenie długą podróżą i wrażenia z pierwszych chwil pobytu dały w końcu o sobie znać. Powoli wszyscy pokładli się spać. Sam posiedziałem jeszcze chwilę, zapisałem kilka najważniejszych spraw do załatwienia na jutro. Rano miałem umówione pierwsze spotkanie z dyrektorem sowchozu. Skończyłem notatki i też się położyłem. Na dzisiaj miałem już dosyć wrażeń. Mimo bardzo twardego łóżka szybko zasnąłem w swoim pokoju.

Rano przebudziły mnie promienie wschodzącego słońca, wciskające się pod zamknięte powieki. A niech to, wieczorem nie okazałem już chęci zasłonięcia okna nawet byle czym, to i „w nagrodę” miałem przedwczesną pobudkę. Spojrzałem na zegarek – pora nie była jednak tak wczesna, jak myślałem. Widocznie mój organizm domagał się dłuższego wypoczynku po podróży. Nie było już jednak czasu na krótką drzemkę. Podniosłem się, przeciągnąłem

i od razu poczułem, w których miejscach moje ciało stykało się w nocy z deskami łóżka. Cienki siennik niewiele pomógł.

Wyszedłem na dwór. Gimnastyka i opłukanie się zimną wodą w umywalni dobudziły mnie szybko. „Syberiadę” czas było zacząć. Ledwie doprowadziłem się do porządku, kiedy przyszedł mój wczorajszy rozmówca i zaprowadził do dyrektora sowchozu. Ten przywitał mnie urzędowo serdecznie, w rozmowie okazał się na szczęście też sympatycznym człowiekiem. Sybirak, chłop po studiach rolniczych, z którym można było normalnie rozmawiać. W przeciwieństwie do większości jego pracowników, jak zdążyłem się już trochę zorientować.

Pierwszą rzeczą, którą chciałem z dyrektorem załatwić, to były sprawy bytowe mojej grupy. Opowiedziałem o pustych niezasłoniętych oknach, sławojkach na podwórzu, beczce pełniącej rolę prysznica i poidle, które udawało umywalkę:

– Dyrektorze, można z tym coś zrobić, poprawić? Przecież mamy koniec dwudziestego wieku, dawno jesteśmy po wojnie. Gdybym miał tylko chłopaków, może nie byłoby tak źle. Są jednak dziewczyny, one mają inne potrzeby, muszę im zapewnić minimum warunków pobytu.

Rozłożył rozbrajająco ręce:

– Wy macie swoje potrzeby, ja mam swoje możliwości. Dopiero niedawno dostałem polecenie z góry, do wykonania. Że przyjedzie młodzież z zagranicy, to znaczy wy. Miałem was przyjąć, zakwaterować i zapewnić pracę. Nie dostałem jednak żadnych dodatkowych środków. I tak

macie lepsze warunki niż nasza młodzież, bo zamiast ośmiu będziecie pracować tylko po siedem godzin. Całą godzinę krócej, a zapłata taka sama. Nawet poleciłem, abyście dzisiaj popracowali tylko sześć. Zawozić was będzie samochód. Wprawicie się.

– Będzie nam trudno w tych warunkach. Mam aż trzydzieści osób i jeszcze moją zastępczynię, tłumaczkę. Potrzebuję też połączenia telefonicznego z moimi przełożonymi w kraju.

– Telefon do waszego pokoju już podłączają. W razie potrzeby będziecie zamawiali rozmowę u mojej telefonistki, a ona w centrali międzynarodowej w Nowosybirsku. Czasem trzeba długo czekać na połączenie, kiedy linie są obciążone. To aż Europa i zagranica. Dotąd nie mieliśmy takich potrzeb.

Żebym mógł przewidzieć, choć w minimalnej skali, co oznaczać będzie te „tylko sześć godzin pracy”. Przynajmniej obiecał, że jeśli tylko będzie mógł nam pomóc we własnym zakresie, to pomoże. Niestety, sprawy lepszych warunków bytowania dla nas nie udało mi się załatwić.

Wróciłem do baraku, zebrałem wszystkich i przekazałem to, czego się dowiedziałem:

– Słuchajcie, będziemy pracować jak inni tutaj, ale nie po osiem godzin, a tylko po siedem. To jedyne ułatwienie dla nas. Niestety, reszta warunków taka sama jak dla miejscowych. Nie martwcie się, jakoś miesiąc wytrzymamy. Do pracy w polu będą nas zawozić samochodem.

– A co będziemy robić?

– Coś w polu, proste roboty, jak to na wsi. Zobaczymy na miejscu. Przebierajcie się teraz w ubrania robocze i za kwadrans zbieramy się na placyku przed wejściem.

Nie czekałem już na kolejne pytania. Wszedłem do swojego pokoju i też się przebrałem. Niedługo mieliśmy udać się po raz pierwszy do pracy. Długo nie czekaliśmy, kiedy przyjechał po nas transport. Był to zwykły samochód ciężarowy przystosowany do przewozu pracowników, z nabudowaną blaszaną skrzynią. Z wyglądu był bardzo podobny do znanych wtedy u nas „osinobusów", wożących robotników fizycznych na budowy i do fabryk.

Przywitałem się i poznałem z kierowcą oraz przybyłą pracownicą; poleciłem mojej młodzieży, aby weszli do środka wozu. Sam wsiadłem do szoferki. Ruszyliśmy, w drodze miałem dość czasu na rozmowę z kierowcą. Okazało się, że nie jest Rosjaninem, tylko Niemcem z pochodzenia. Jego rodzice pochodzili znad Wołgi, ale on urodził się już na Syberii.

Zaintrygowało mnie, skąd w środku Syberii znalazł się Niemiec. Przedstawił się jako Iwan, typowo rosyjskim imieniem, ale z racji pochodzenia zacząłem nazywać go „Hans", czemu nie był przeciwny. Okazał się wesołym i miłym facetem, do tego rozmownym. Podczas jazdy opowiedział mi historię swojej rodziny i przodków. W dziewiętnastym wieku car sprowadził na stepy nadwołżańskie Niemców, aby zagospodarowali te prawie niezamieszkałe ziemie. Pobudowali się, założyli gospodarstwa, powstały nowe sioła i wsie. Kiedy w czasie

wojny, latem 1942 roku, hitlerowskie wojska posuwały się w kierunku Stalingradu, z rozkazu Stalina wszyscy ci nadwołżańscy Niemcy, od kilku już pokoleń wrośnięci w nową ojczyznę, zostali przymusowo przesiedleni na Syberię i do Kazachstanu. Kilkaset tysięcy ludzi. Podobny los spotkał też później niektóre z narodów kaukaskich i Tatarów z Krymu. W ten sposób przyszli rodzice Hansa znaleźli się na Syberii. On urodził się po wojnie już tutaj. Rodzice nazwali go Iwan. Miał siostrę, która po wielu latach starań uzyskała zgodę na emigrację i już mieszkała w Niemczech Zachodnich. Hans też złożył podanie o wyjazd i czekał na pozwolenie. Na razie jednak pracował w sowchozie jako kierowca.

Przez pół godziny jechaliśmy polnymi drogami. Za nami wzbijał się w nieruchome powietrze potężny tuman kurzu. Było bardzo gorąco, gardło mi wyschło, na niebie nie było widać nawet najmniejszej chmurki. Dobrze, że w kankach wieźliśmy herbatę i wodę do picia. Odczuwalnie temperatura była dużo wyższa niż u nas w Polsce. Jak wyjaśnił Hans, takie gorące i bardzo suche bezchmurne lata są u nich normą, a nie wyjątkiem. Tyle że lato trwa bardzo krótko, właściwie tylko lipiec jest takim miesiącem. Za to zima jest bardzo długa i sroga. Minus czterdzieści stopni zdarza się często i utrzymuje przez wiele dni. Czasami temperatura potrafi spaść i do pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Jedynie to, że powietrze zimą jest też bardzo suche, powoduje, że temperaturę odczuwa się, jakby była o kilka stopni wyższa.

Aż gwizdnąłem z cicha. Przecież to południe, a nie północ Syberii, wystarczy spojrzeć na mapę. Jednak jesteśmy w środku ogromnego kontynentu, a więc i taki jest tu klimat – kontynentalny, z suchymi i gorącymi latami oraz podobnie suchymi, za to mroźnymi zimami.

W dalszej rozmowie uzupełniłem swoje wiadomości o życiu tutejszych Sybiraków. Okazało się, że większość mięsa i prawie wszystkie owoce przywożą z południowych republik kraju. Dlatego żywność jest u nich bardzo droga i nawet dwukrotnie wyższe zarobki od wypłacanych w europejskiej części Rosji, które tutaj otrzymują pracownicy, nie wyrównują różnicy w kosztach życia. Nawet kur nie trzymają, bo drób nie wytrzymuje mrozów. Z konieczności jajka też przywożone są z południa. Na moje zapytanie, dlaczego w takim razie nie dogrzewają budynków ferm kurzych, Hans spojrzał na mnie zdziwiony:

– Jak to, dogrzewać? U nas nawet krowy i byki mało gdzie trzymane są w oborach. Chodzą cały rok po polu.

– Cały rok?! To w zimie gdzie je trzymacie?

– Przecież mówię, chodzą po polu i tam je karmimy. Tylko na czas dojenia wpędzamy do obory. Trudno doić na takim mrozie.

– I wytrzymują?!

– Część pada, ale większość krów wytrzymuje. Słabe padają, silne dają silne potomstwo.

No tak, czemu ja się dziwię? Teoria ewolucji Darwina stosowana w praktyce, selekcja naturalna prawie bez ingerencji człowieka. Czym mnie tu jeszcze zaskoczą?

– Aha, mam jeszcze jedno pytanie. Możesz mi powiedzieć, dlaczego rodzice dali ci rosyjskie imię? Nazwisko masz przecież typowo niemieckie.

– Wojna. Mama i tata mieli niemieckie imiona, przed wojną nie przeszkadzały. Ale po niej lepiej było nie ryzykować. Nazwiska nie zmieniali, ale imiona bezpieczniej było rosyjskie nadawać. I tak stałem się z imienia Rosjaninem, z nazwiska i narodowości pozostałem Niemcem.

Tak rozmawiając, dojechaliśmy wreszcie na miejsce naszej pierwszej pracy. Wysiedliśmy i zaczęliśmy się rozglądać. Kolejne zaskoczenie – dookoła, aż po horyzont, widzieliśmy tylko morze dzikich roślin i chwastów, wysokich prawie na metr. Pustka, nie było widać żadnego budynku. Tylko w miejscu, gdzie wysiedliśmy, rosło kilkanaście samotnych drzew i krzewów. Rozejrzałem się na wszystkie strony, wszędzie widziałem tylko te chwasty, przez których środek ciągnęła się piaskowa droga.

Po co nas przywieziono na te nieużytki? Gdzie to pole, na którym mieliśmy pracować?

Była dopiero dziewiąta rano, a słońce już prażyło jak w letnie południe. Pracownica sowchozu, która z nami przyjechała, zaczęła tłumaczyć, co mamy robić:

– Eta łuk. Trzeba pole wypielić z chwastów.

– Szto eta łuk? – Sam z nią rozmawiałem. Tłumaczkę przezornie zostawiłem w osadzie. Jeden kłopot mniej.

– Łuk eta łuk. – Bardzo logiczne wytłumaczenie. „Koń jaki jest, każdy widzi”.

– Pakaži etot łuk.

Wzruszyła ramionami i schyliła się; rozgarnęła chaszcze chwastów, pogrzebała w ziemi i wyrwała coś małego.

– Wot eta łuk.

Przypatrzyłem się roślince. Malutka zielona łodyga, mała biaława główka. Przecież to nasza swojska cebula, dymka! Ichni łuk to nasza cebula. Mieliśmy wypielić pole cebuli z chwastów.

Spojrzałem jeszcze raz przed siebie. Pole ciągnęło się hen daleko, co najmniej na kilometr, wszerz miało z pół kilometra. Końca nawet nie było widać, gdyż zagon ginął za niewielkim wzgórzem. Oto syberyjskie miary – sto gramów to nie wódka, sto rubli to nie pieniądz, sto wiorst to nie odległość. Widocznie w uprawach rolnych stosowali podobne miary. Nie było żadnego porównania do naszych polskich zagonów. To tak, jakby porównywać słonia do mrówki. Podobnie nieporównywalne były syberyjskie chwasty i cebula – warzywko ledwie widoczne, wystające z ziemi na pięć do dziesięciu centymetrów. Zielsko natomiast wysokie od pół metra do metra.

Chwyciłem na próbę za jeden z chwastów – poczułem na skórze dłoni twardy, suchy i ostry badyl, mocno zakorzeniony w wysuszonej glebie. Prawdziwa ekologiczna uprawa. Od razu widać, że nie używali środków chwastobójczych.

Nie wyglądało to dobrze. Spytałem sowchoźniczkę:

– Gdzie są rękawice robocze?

– Szto? Kakije raboczije pierczatki?

– Robocze rękawice. Dla nas. Przecież mamy pielić te chwasty.

– No macie pielić. Po co wam rękawice?

– Do pielenia, przecież mówię. Jak, gołymi rękoma mamy pielić?

Dopiero zrozumiała. Aż oniemiała i krzyknęła:

– Wot Paljaki! Burżuje! W rękawicach chcą wyrywać! Kto to widział?! Do tamtego miejsca, gdzie jest wbity palik, wasza norma na dziś.

Odwróciła się na pięcie, machnęła ręką na kierowcę i wsiadła do szoferki. Hans usiadł z drugiej strony, zapalił silnik i tyle ich widzieliśmy. W kilka sekund zasłonił ich wzbity kołami samochodu tuman kurzu. Zostaliśmy sami, samiuteńcy. Ja i trzydziestu „burżujów”. A nad nami jedyny towarzysz, słońce.

Rozdział 5.

Pierwsza praca

Spojrzałem w pole – dwieście… nie, nie harmat, a myśli grzmiało i kłębiło się jednocześnie w mojej głowie. Gdzieśmy trafili?!

To pytanie nie zmieniało naszej sytuacji. Byliśmy tu i teraz. Dylematy filozoficzne o różnicach cywilizacyjnych musiałem odłożyć na czas po powrocie do domu. Przyjechaliśmy zarabiać rubelki, nikt nas nie zmuszał, naokoło stali sami ochotnicy. Popatrzyłem zachęcająco po moich ludziach – no, to czas nam zacząć.

Rozstawiłem moich burżujów i burżujki w rzędzie, każdego przy jednej bruździe. Cel był jasno określony, kierunek natarcia wytyczony prosto jak strzała. Nie można było zbłądzić. Wpieriod, maładcy!

Ruszyło natarcie. Ledwie ruszyło, zaraz zaczęło utykać. Niektórzy z atakujących, zwłaszcza niektóre, zalegli prawie natychmiast po wyskoczeniu z „okopów”. Z takimi wypielęgnowanymi paznokietkami i nienawykłymi do pracy

bielutkimi rączkami, na pewno zdatnymi do wielu przyjemnych rzeczy, ale nie do wyrywania chwastów, nie mieli tu co szukać. Niestety, dla nich było już za późno, powrót był planowany dopiero za miesiąc.

Szybko się zorientowałem, który z moich ludzi był przyzwyczajony do fizycznej pracy, a kogo mamusia we wszystkim wyręczała. Część młodzieży radziła sobie z wyrywaniem chwastów i powoli posuwała się naprzód. Jednak co najmniej dziesiątka wyraźnie odstawała od nich – wyrwała z wysiłkiem dwa zielska, wyprostowała się, obtarła pot z czoła. Potem następowało przeciągnięcie się, znowu obtarcie potu z czoła. Przechodziłem od jednej maruderki czy marudera do kolejnego, zachęcałem, pokazywałem, jak i gdzie chwycić zielsko, w którą stronę ciągnąć, aby łatwiej dało się wyrwać z twardej ziemi. Pomagało, ale tylko na chwilę. Szereg tyraliery ciągle się załamywał, nikt nie trzymał w miarę równego szyku.

Jedynie słońce, nasz towarzysz, nie próżnowało. Po pół godzinie nikt z nas, włącznie ze mną, nie pracował już w koszuli czy bluzce. Wszyscy pozrzucali, co tylko było można. Zostaliśmy w końcu w tym, w czym musieliśmy, aby nie kierować myśli w niepożądaną w czasie pracy stronę. Na szczęście byliśmy w swoim gronie, nie zachodziła obawa podglądania ze strony miejscowych podrostków.

Po godzinie niektóre z dziewczyn miały już wyraźnie dosyć pracy. Spojrzałem wstecz, jak daleko odeszliśmy od początku pola. Szybko przeliczyłem w myśli „stosunek wykonanej przez hufiec pracy w ciągu godziny do

pozostałej do wykonania, w przeliczeniu na sześć godzin”. Od razu zmarkotniałem. Wychodziło z obliczeń, że normę wykonamy dopiero za co najmniej osiem godzin, nie biorąc nawet pod uwagę przewidywalnego zmniejszenia tempa pracy z każdą mijającą godziną. Nie miałem jednak czasu na rozmyślanie, co będzie za kilka godzin. Absorbowały mnie sprawy bieżące, a te zaczęły się nawarstwiać jedna za drugą. Sam już poczułem, że moja skóra na barkach stała się jakby delikatniejsza, bardziej wrażliwa na promienie palącego słońca. To było poważne ostrzeżenie. Zarzuciłem koszulę i nakazałem wszystkim zrobić to samo. Nie zważałem na protesty tych, którzy byli chętni na szybką opaleniznę.

– Nie czujecie, jak słońce pali? Nie jesteśmy w Polsce. Tu jest klimat kontynentalny, a nie strefa umiarkowana. Nałóżcie też chustki lub czapki na głowę. Dlaczego nie założyłeś? Nie wziąłeś? I ty też? Kurde… To wymieniajcie się choć na chwilę między sobą. Niech nikt nie ma bez przerwy gołej głowy. I nie pijcie tyle na raz! Wody i herbaty mamy pod dostatkiem, nie zabraknie dla nikogo. Pijcie jednak małymi łyczkami, częściej, ale niedużo na raz. Inaczej będziecie się tylko więcej pocić.

Z niepokojem patrzyłem na niektóre moje „burżujki”. W tyralierze było widać coraz większe wyrwy, coraz więcej osób robiło niezaplanowane przerwy w pracy. Chodziłem od jednej maruderki do drugiej, pomagałem wyrywać „malutkie” chwasty, aby dziewczyny choć trochę przybliżyły się, podciągnęły do głównego frontu natarcia. Nie

przynosiło to w dłuższym czasie większego efektu. Niektórzy z chłopców porządnie pracowali, byli już dość daleko z przodu. Najbardziej oporni dekownicy zostawali dobre dwadzieścia metrów za nimi. Dochodziły już do moich uszu coraz większe narzekania, żale, nawet tu i ówdzie usłyszałem chlipnięcie pod nosem. Całość wyglądała coraz gorzej.

Po dwóch godzinach zdecydowałem się ogłosić przerwę, dużo wcześniej niż planowałem. Z większości ust wyrwało się głębokie westchnienie ulgi. Na szczęście pole „łuku" rozpoczynało się od niewielkiego zagajnika, gdzie nas rano Hans dowiózł. Wszyscy w pośpiechu pochowali się w cieniu drzew, nawet te dziewczyny, które jeszcze niedawno były najbardziej oporne przy ponownym ukryciu swych damskich wdzięków pod bluzkami.

– Pić, pić!

Nastąpiła chwilowa przepychanka. Każdy chciał jak najszybciej ugasić pragnienie.

Wreszcie mieli chwilę oddechu, wszyscy z ulgą usiedli. Rozpoczęło się oglądanie i liczenie pierwszych „odniesionych w boju ran", widocznych na dłoniach. Tu zaczerwienienie, tutaj już pęcherzyk, tam zadrapanie. Nawet pierwsze kropelki krwi serdecznej się pojawiły. Pocieszałem, jak mogłem. Cóż, bój to bój, strat nie da się uniknąć, można je jedynie zmniejszyć. Ale jak to zrobić bez roboczych rękawic?!

Czas, który przeznaczyłem na odpoczynek, szybko minął. Nie mogłem pozwolić na zbytnie rozleniwienie,

zmęczone mięśnie jeszcze bardziej by zaczęły niektórym doskwierać. Z każdą minutą miałbym większe problemy z podniesieniem hufca do ponownego szturmu.

– Wstajemy!

Drugie natarcie rozpoczęło się jeszcze bardziej niemrawo od pierwszego. Zachęcałem słowem i czynną pomocą, utulałem w żalu za daleką Ojczyzną i pozostałymi tam ukochanymi rodzicami, dawałem osobisty przykład odwagi i poświęcenia w natarciu. Ciągle podrywałem zalegające szeregi, raz z jednej, raz z drugiej strony. Niewiele to pomagało – posuwaliśmy się do przodu, ale coraz wolniej. Niektórzy chwycili rytm, większości jednak szło jeszcze gorzej niż na początku. Minęły następne dwie godziny, upał przez ten czas stał się już prawie nie do zniesienia. Co chwila ktoś siadał w bruździe, próbując jak najdłużej odwlec moment ponownego pielenia. Jedynie o ochronie przed słońcem nie musiałem już przypominać.

– Przerwa!

Tym razem po moim okrzyku nikt już nie pobiegł żwawo w zbawczy cień drzew. Wszyscy wracali powoli, zmęczonym krokiem, potykając się o bruzdy w polu. Pili łapczywie wodę i herbatę, potem kładli się pokotem między drzewami, gdzie popadnie. Odechciało im się nawet rozmawiać. Nie było słychać śmiechów i żartów, normalnych na biwakach czy wyjazdach młodzieży. Słyszałem za to coraz częstsze pochlipywania dziewcząt, pierwsze żałosne: „Mamusiu… Ja chcę do domu”.

Sam wewnętrznie się gotowałem z wściekłości na naszych polskich organizatorów – ale nas wystawili! Nic nie sprawdzili, wysłali w ciemno, jak na rozpoznanie bojem. Myśleli, że będzie podobnie jak w Europie, a to przecież środek Azji. Inny klimat, inna mentalność ludzi, inne zwyczaje, inne warunki pobytu.

Na zewnątrz jednak starałem się okazywać spokój. Jeszcze by tego brakowało, aby moje zdenerwowanie podopieczni zauważyli. Po chwili odpoczynku wstałem, wyszedłem na skraj zagajnika i oceniłem, ile pola wypieliliśmy. Na oko nie więcej niż trzydzieści procent normy, a do piętnastej zostało tylko półtorej godziny.

Wróciłem do odpoczywającej młodzieży:

– Posłuchajcie mnie uważnie. Wiem, jak się czujecie i co myślicie. Jesteśmy jednak cztery tysiące kilometrów od domu i musimy tu jakoś cały miesiąc przetrwać. Początki są zawsze najgorsze. Dzisiaj po powrocie porozmawiam znowu z dyrektorem, może uda się coś zmienić w naszej pracy. Teraz zaś wracajmy na pole. Została tylko godzina.

Powoli się popodnosili, część z wielką niechęcią. Niektórym musiałem pomagać dobrym słowem. Ostatnia godzina okazała się najgorsza, było to bardziej markowanie pracy niż rzeczywiste pielenie. Szło ono gorzej niż po grudzie. Sam nie miałem już zbytniej ochoty do zachęcania najbardziej odstających od innych. Do tego wygląd dwóch dziewczyn mnie zaniepokoił. Nie byłem medykiem, ale nie wyglądały zbyt zdrowo. Czyżby zaszkodziło im słońce? Prażyło cały czas, na niebie nie było nawet najmniejszej

chmurki. Zdecydowałem się nie ryzykować i odesłałem je wcześniej, aby schowały się w cieniu zagajnika. Z westchnieniem ulgi podążyły ku skraju pola. Inni zazdrośnie patrzyli za nimi, popatrywali z niewymowną prośbą na mnie. Nie wydałem jednak polecenia, którego oczekiwali, nie mogłem przecież wszystkich zwolnić. Już niedużo czasu pozostało do piętnastej, jeszcze tylko czterdzieści pięć minut.

Czasem jednak trzy kwadranse to mnóstwo czasu, wiele może się wydarzyć. Musiałem jakoś zareagować, przeciwdziałać. Zawołałem kilku chłopców, którzy najdalej się wysforowali:

– Was dwóch niech wejdzie w te bruzdy. Pozostali pomóżcie dziewczynom, które są ostatnie. Wspólnie musimy wyrównać obrobione pole, aby jakoś to wyglądało.

Kolejny kwadrans nie przyniósł już prawie żadnego postępu w pracy. Dziewczyny, którym zaczęli pomagać chłopcy, całkiem przerwały pielenie i posiadały na ziemi. Udałem, że tego nie zauważyłem; widać było, że są na skraju załamania. Inni stopniowo też zaczęli przerywać pracę. To już nie były przelewki. Pół godziny przed piętnastą zdecydowałem:

– Na dzisiaj kończymy. I tak nie wyrobimy normy. Odpocznijcie przed przyjazdem samochodu, mamy jeszcze trochę czasu.

Odpowiedzią było chóralne westchnienie ulgi.

Równo o piętnastej na horyzoncie pojawił się ogromny kłąb kurzu. Po chwili osinobus, z Hansem za kółkiem

i sowchoźniczką, zatrzymał się przy nas. Pracownica wysiadła, wyjęła miarę i poszła w pole. Pomierzyła, pokiwała głową i wróciła do mnie. Popatrzyła z politowaniem po wszystkich i powiedziała:

– Ledwie trzydzieści pięć procent normy. Do tego niedokładnie oczyszczone. To nasze najmłodsze rebiata, dwunastoletnie malcziszki, w sześć godzin pielą więcej.

– Wy nie jesteście od komentarzy, tylko od obmiaru, jeśli się nie mylę. Jak rozmawiam, to rozmawiam z dyrektorem, a nie z wami. Zrozumiano?!

Już trochę wiedziałem, co na kogo tu działa i jak trzeba rozmawiać. Naczelnik dworca kolejowego w granicznym Brześciu dał mi dobrą lekcję poglądową. Podziałało od razu – pracownica spojrzała na mnie spode łba, ale zamilkła. Machnąłem jej ręką w kierunku samochodu, aby wsiadła do szoferki. Wolałem usiąść z tyłu, razem z młodzieżą. Weszliśmy do środka samochodu. Wszyscy byliśmy umorusani i przepoceni; ciężko opadliśmy na siedzenia. Wielu zaczęło oglądać swoje poranione dłonie, nikt nawet nie chciał rozmawiać. W milczeniu ruszyliśmy w drogę powrotną.

Pierwszy dzień pracy, „krótszy aż o godzinę niż dla tutejszych”, był wreszcie za nami. „Paljaki burżuje” poczuli, co to jest ciężka fizyczna praca. Rozejrzałem się, powiodłem wzrokiem po wszystkich. Domyśliłem się, o czym marzyli; o tym co i ja. Na pewno nie o obiedzie, tylko o cudownie chłodnym prysznicu, a potem o legnięciu. Wyciągnąć się na

łóżku i odpocząć. Koniecznie legnąć, dać odpocząć zmęczonym i bolącym mięśniom; nic więcej.

Niestety, nie dotyczyło to mnie. Rano ustaliłem z dyrektorem sowchozu, że po pierwszym dniu pracy spotkamy się jeszcze raz. Obowiązkowo musiałem z nim porozmawiać.

Zajechaliśmy do sowchozu. Przed naszym barakiem zeskoczyliśmy ciężko na ziemię. Zakomunikowałem:

– Chłopcy, poczekajcie. Pierwsze pod prysznic idą dziewczyny. Tylko dziewczęta, proszę, oszczędzajcie wodę, aby i dla chłopaków starczyło. Po kolei krótko się spłukać, namydlić i ponownie spłukać. Pamiętajcie, ciepłej wody jest tylko tyle co w beczce, a jest nas aż trzydzieścioro jeden. Ja też chciałbym się opłukać. Zabraknie, to ostatni będą się ochlapywać lodowatą wodą z tej rury. A z niej tyle, co do dłoni naleci.

Dziewczyny w pośpiechu zrzuciły bluzki, szorty i sandały. W samych bikini pobiegły pod prysznic. Pierwsza, która dobiegła, w pośpiechu odkręciła kurek i stanęła pod sitkiem lejka, w radosnym oczekiwaniu na odświeżający strumień wody. Uniosła dłonie i… tak została, na podobieństwo żony Lota, oniemiała z wrażenia. Ani kropla wody nie skapnęła na błagalnie uniesione dłonie i zabrudzone, oczekujące lico dziewczyny. Piorunujący widok. Rozpaczliwie krzyknęła do mnie:

– Nie ma!!!

– Jak to, nie ma?!

– No nie ma!

– Musi być, rano sam sprawdzałem, czy jest nalane. Woda była.

– Ale nie ma! Nie ma!!!

Dziewczynie załamał się głos, jeszcze chwila, a zacznie łkać. Pozostałe też zaczęły krzyczeć. Kolejna dopadła kranu, pokręciła. Nic. Tak przez nie oczekiwany cudowny prysznic okazał się zwykłą fatamorganą. Lepiej, żeby nie był oczekiwany, nie byłoby tak strasznego zawodu. To jakby człowiekowi ostatkiem sił wiszącemu nad przepaścią rzucić linę ratunkową, wyciągać go, już prawie rękę podać, a lina nagle w ostatnim momencie się urywa. To jak zabranie ostatniej nadziei człowiekowi utrzymującemu się przy życiu ostatkiem sił.

Nie czekałem dłużej. Dobiegłem do prysznica, sam przekręciłem kurek, raz, drugi. Dalej nic, nawet kropla wody nie ściekła. Wspiąłem się po drabince na górę, podniosłem pokrywę beczki i zajrzałem do środka. Momentalnie odskoczyłem – palące żarem powietrze uderzyło mnie prosto w twarz. Zaglądnąłem jeszcze raz, tym razem ostrożniej, osłaniając się przed gorącem dłonią. W środku nie było widać nawet na dnie resztek wody. Blacha beczki była tak rozpalona, że nie mogłem jej dotknąć gołą dłonią. Co jest, co się stało z wodą? Wyparowała? Z zamkniętej beczki?!

Spojrzałem z wysokości drabinki na młodzież i pokręciłem przecząco głową. Wszyscy stali jak rażeni gromem. Czułem, że sam mam spierzchnięte usta, gorące powietrze wypełniało me płuca przy każdym oddechu.

Opuściłem pokrywę beczki, zszedłem ostrożnie na dół i rozłożyłem ręce:

– Nie ma. Nie ma wody. Nie wiem dlaczego, ale dowiem się. Na pewno nie mogła wyparować. Została nam tylko woda z rurociągu, w umywalni. Opłuczcie się, tylko ostrożnie, bo tam woda jest lodowata. Napijcie się też wody i herbaty, którą mamy jeszcze w kankach. I schowajcie się przed słońcem.

Opłukałem się i ja, przynajmniej poczułem trochę ochłody. Wytarłem się, rozejrzałem. Wzrok mój padł na dwa sąsiednie baraki, po drugiej strony drogi. Szkolnicy! Rzuciłem ręcznik i szybko udałem się do nich. Wszedłem i odszukałem biuro ich komendanta. Wczoraj, po przyjeździe, jeszcze się z nim nie poznałem. Teraz miało to nastąpić, ale w niezbyt sprzyjających okolicznościach.

Siedział w środku nad papierami. Przywitałem się i przedstawiłem. Okazał się nauczycielem ze szkoły dzieciaków. Przeprosiłem, że nie zdążyliśmy wcześniej się poznać z braku czasu. Mrugnąłem porozumiewawczo okiem, obiecując, że jeżeli nic mi nie przeszkodzi, to jutro wieczorem wpadnę „poznakomitsia”. Od razu się uśmiechnął.

Ale nie w tym celu przyszedłem; przystąpiłem szybko do wyjaśnienia sytuacji. Zadałem dwa krótkie pytania i tajemnica braku wody w naszej beczce od razu się wyjaśniła. Okazało się, że każdy barak miał swoje sławojki. Nie dotyczyło to jednak prysznica – beczka była wspólna, jedna na trzy baraki. Jego dwunasto-, trzynasto-

i czternastolatkowie pracowali po sześć godzin; skończyli godzinę przed nami. Miał setkę uczniów. Setka dzieciaków i jedna czterystulitrowa beczka. Opróżniali ją każdego dnia, po powrocie z pola, do ostatniej kropli. I tak ich kamandir musiał srogo pilnować, aby starczyło dla wszystkich. Po obiedzie jeden z sowchoźników napełniał ponownie beczkę wodą. Od dzisiaj, w związku z naszym przyjazdem, miał ją napełniać natychmiast po zużyciu wody przez uczniów z miasta, tak aby moi godzinę później też mogli skorzystać z prysznica. Może niezbyt ciepłego, ale zawsze można by się opłukać, obmyć z kurzu i potu. Pewnie sowchoźnik zapomniał o napełnieniu albo normalnie gdzieś się zawieruszył.

Kamandir uczniaków rozbrajająco rozłożył ręce. Nie jego wina, nie on miał dopilnować ponownego nalania wody. Cholera! Jak zwykle nawaliło najsłabsze ogniwo – czynnik ludzki. Powstrzymałem przekleństwo cisnące mi się na usta, pożegnałem się i wróciłem do swoich:

– Dzisiaj nic się nie da zrobić z prysznicem. Musicie wytrzymać do jutra. Umyliście się w umywalni?

– Co to za mycie! Jesteśmy przepocone, brudne! Chcemy się porządnie umyć! Całe! – odkrzyknęła jedna z moich dziewcząt.

– Tak! Co to jest?! Gdzie my przyjechałyśmy?! – inne dziewczyny również się rozkrzyczały. – Co tu jest, średniowiecze?!

– Możemy krzyczeć i się wyżalać. Nie zmieni to w tej chwili nic. Po obiedzie idę do dyrektora, będę rozmawiał.

A teraz chodźmy już na stołówkę. Potem połóżcie się i odpocznijcie. Przyda się wam na pewno.

Nie zważałem na marudzenia, zwłaszcza dziewcząt. Sytuacji i tak nie można było już zmienić. Z oporami wszyscy się podnieśli i poszliśmy do stołówki. Jedyną osobą wśród nas, która nie wyglądała na niezadowoloną po pierwszym dniu pracy, była moja zastępczyni. Widziałem po twarzach innych, jak jej zazdrościli, że nie pracowała w polu! Znałem jednak jej zakres obowiązków – była zatrudniona jako tłumaczka. W roli zastępczyni mogłem ją wykorzystywać tylko w razie potrzeby. Niepokoiłem się jednak o te dwie dziewczyny, które wcześniej odesłałem z pola. Nie wyglądały dobrze. Zostawiłem pozostałych w stołówce pod opieką zastępczyni. Sam wszedłem z dziewczynami do sąsiedniego budynku. Oprócz sklepu i apteki mieścił się w nim ośrodek zdrowia. Na szczęście nie było innych pacjentów, nie musieliśmy czekać. Dyżurująca młoda lekarka zbadała moje dziewczyny dokładnie. Diagnoza, którą mi oznajmiła, nie była wesoła i potwierdziła obawy – miały udar słoneczny. Niezbyt silny, ale na wszelki wypadek na kilka dni muszą zostać zabrane do szpitala w Nowosybirsku.

Zostawiłem je w ośrodku; lekarka już dzwoniła po samochód. Dziewczyny nie wyglądały na zmartwione, że muszą nas opuścić na tydzień. Rzekłbym, że przeciwnie, na ich twarzach odmalowało się zadowolenie z nieoczekiwanej przerwy w pracy. Trochę to było dziwne, przecież przyjechały tutaj zarobić rubelki, a nie wylegiwać się

w szpitalnym łóżku. Który jednak z mężczyzn może zrozumieć kobiety, zwłaszcza dorastające pannice? Nawet nie chciały pójść przed wyjazdem na obiad.

– Panie komendancie, niech pan się nie martwi. Nie jesteśmy głodne, zjemy coś w mieście. Naprawdę.

Ot, dziewczyny. I zrozum je, człowieku! Jakby się bały, że przez obiad nie pojadą do szpitala.

Wróciłem do stołówki i poinformowałem pozostałych o dziewczynach, uspokoiłem, że ich udar nie jest zbyt groźny. Zaapelowałem ponownie, aby brać ze sobą do pracy nakrycia głowy.

Odpowiedziała mi cisza. Co jest? Zazdroszczą dziewczynom, że przez kilka dni poleżą w łóżkach szpitalnych? Nie, to nie to. Mieli niewyraźne twarze, smętnie schylone nad talerzami. Co znów? Chyba nie to samo co było z wczorajszą kolacją?

Usiadłem bez słowa i nalałem z wazy zupy, spróbowałem. Nawet nie była zła, dość dobrze doprawiona, jadalna. Czemu więc marudzą? Odstawiłem zupę, wziąłem do spróbowania drugie danie. Na talerzu była kasza zmieszana z czymś nieokreślonym, jakieś kluchy-pluchy. Zanurzyłem w tym łyżkę, wpakowałem ją do ust, posmakowałem. Gęsta breja stanęła mi w gardle, obkleiła podniebienie. Smakowała bezsmakowo. Czy oni tu wszystkie potrawy tak robią, na jedno kopyto?! Zmusiłem się jednak i z trudem, ale przełknąłem. Nie mogliśmy przecież nie jeść i ktoś musiał dać przykład, przekonać do jedzenia. Ktoś, kto odpowiadał za całą grupę. Po męsku

nabrałem drugą łyżkę, ponownie przełknąłem. Przeszło. Zachęcająco uśmiechnąłem się do prawie trzydziestu par oczu wpatrzonych we mnie, wepchnąłem w siebie trzecią łyżkę, potem czwartą. Mój wyczyn nie podziałał jednak zachęcająco. Nie widziałem dalej żadnego ruchu, nikt nie wziął ze mnie przykładu. Dość! Bohaterstwo też ma swoje granice, zwłaszcza kiedy nie pociąga za sobą innych ochotników. Nie będę bezowocnie udawał bohatera.

Pogrzebałem jeszcze w talerzu dla zasady, postukałem łyżką.

– Uff. Najadłem się. Za duża porcja jak dla mnie. Kto już zjadł, może wyjść.

Odpowiedzią był zgodny hurkot odsuwanych krzeseł. Nikt nie był już głodny. Wyszliśmy przed stołówkę; tylko z kuchni doszły mnie jeszcze zdziwione i podniesione głosy kucharek. Niezbyt mnie interesowały ich opinie. Wolałem zajrzeć do sowchozowego sklepu.

– Chodźcie, zobaczymy, co tam mają.

O dziwo, tym razem zostaliśmy mile zaskoczeni, pierwszy raz po przyjeździe. W sklepie było wiele konserw rybnych i mięsnych; zakupiliśmy jedne i drugie. Rybne były bardzo tanie, mięsne dużo droższe; od razu można było się domyślić, co samo urosło, a co trzeba było wyhodować i dokarmiać. Dokupiliśmy do konserw chleb, masło i trochę słodyczy. Chyba nie było nikogo, kto by czegoś nie kupił do jedzenia. Wróciliśmy do baraku, rozsiedliśmy się w pokojach i wreszcie rozpoczęła się uczta. Prawdziwa uczta. Pałaszowaliśmy, aż nam się uszy trzęsły. Pacyficzne

ryby w konserwach okazały się bardzo smaczne. Zresztą po tej brei na stołówce każda inna w miarę jadalna potrawa by nam smakowała. Ryby były jednak naprawdę wyborne.

Po tym wreszcie porządnym i smacznym posiłku zebrałem wszystkich:

– Podjedliście? To dobrze. Idę teraz do dyrektora, jestem z nim umówiony po obiedzie. Wy odpocznijcie. Jak wrócę, możemy pojechać nad Ob się wykąpać. Na pewno nas to orzeźwi, lepiej nawet, niż gdybyśmy opłukali się pod prysznicem. Mamy Hansa i osinobus do wyłącznej dyspozycji. To jak, pojedziemy?

– Panie komendancie, może później. My na razie chcemy chwilę wypocząć.

– Dobrze, odpocznijcie. Macie czas do mojego powrotu, wtedy zdecydujemy. Pani Aniu, pójdziemy razem. Dogadać się dogadam, ale lepiej, jeżeli pani będzie.

Doszliśmy do budynku administracyjnego sowchozu. I tu spotkała nas niemiła niespodzianka, drzwi wejściowe zastaliśmy zamknięte. Tylko portier dyżurował. Jednak wiedział, że przyjdę; przekazał nam informację od dyrektora – przeprasza, ale musiał służbowo nagle wyjechać. Dzisiaj już nie wróci.

Czy ten dzień będzie już cały taki? Czy naprawdę pierwszy dzień pracy na Syberii mam zapamiętać na długo?

Wróciliśmy do siebie; szybko zacząłem oswajać się z myślą, że przez najbliższy miesiąc powrót do baraku będzie oznaczał powrót do siebie. Nie miałem dla mojej młodzieży dobrych wieści, gdyż nic nie załatwiłem. Miałem

jednak wielką ochotę pojechać nad Zalew Obski, zanurzyć się w ciepłej wodzie rzeki, popływać. Niestety, nie znalazłem wielu chętnych do wyjazdu. Tylko kilku chłopców chciało jechać. Większość leżała pokotem w łóżkach i nie przejawiała najmniejszego zainteresowania kąpielą w zalewie. Niektóre dziewczęta wyglądały, jakby nie mogły ruszyć nawet palcem u nogi. Trudno, nie będę gnał samochodu tylko dla kilku z nas.

– Dobrze, to dzisiaj zrezygnujemy, jeżeli chcecie odpocząć. Jutro pojedziemy. Zmienię nasz plan dnia. Z rana pójdę jeszcze raz do dyrektora i porozmawiam o innej pracy. Może coś się uda. Dziś faktycznie każdemu z nas przyda się solidny wypoczynek.

Wróciłem do swojego pokoju. Wreszcie miałem wolną chwilę dla siebie. Z ulgą wyciągnąłem się na łóżku, nie czując nawet twardych desek pod cienkim siennikiem. Poleżę z dwie godzinki, później pójdę się przejść przed kolacją…

Momentalnie zasnąłem. Jednak wieloletnia praktyka budzenia się na czas nie zardzewiała i po dwóch godzinach obudziłem się. Czułem trochę mięśnie, bardziej od twardych desek niż od fizycznej pracy w polu. Wstałem i poszedłem wykonać nieprzyjemną, ale konieczną robotę – popodnoszenia, leżącej jak nieżywa, mojej młodzieży. Tak jak przewidywałem, część stworzyła mi znowu problemy. Marudzili, mitrężyli, udawali, że śpią. Robili wszystko, aby tylko nie wstać. Nie dałem im jednak spokoju; wiedziałem, co robię. Jeżeli teraz ich nie podniosę na spacer, to jutro

rano w ogóle mogą nie wstać. Muszą się przejść i rozruszać przemęczone, nieprzywykłe do fizycznej pracy mięśnie.

Po półgodzinie próśb i nakazów wreszcie ściągnąłem wszystkich z łóżek. Puszczałem mimo uszu pojękiwania niektórych i próby protestu. Przeliczyłem nieboraków przed barakiem. Nikomu nie pozwoliłem zostać; jak wszyscy, to wszyscy. Ruszyliśmy spacerkiem przed siebie. Dopiero po godzinie pozwoliłem wrócić do sowchozu, akurat na czas kolacji. Byliśmy przygotowani na kolejną porcję brei, ale zostaliśmy zaskoczeni. Nastąpiła duża zmiana w menu stołówki – zamiast kaszy z kluchami-pluchami dostaliśmy rozgotowane ziemniaki. Z wkładką, a jakże. Tyle że znowu nie mogłem się domyślić, co to była za wkładka. Po smaku, z braku smaku, nie dało się rozpoznać. Powoli godziłem się z myślą, że tutaj nasze kubki smakowe będą prawie bezużyteczne.

Jednak część młodzieży wreszcie zaczęła, choć z oporami, jeść. Sam też zacząłem wpychać papkę do ust. Albo nasze żołądki zaczęły się przyzwyczajać do bezsmakowego jedzenia, albo, co bardziej prawdopodobne, młode organizmy zaczęły domagać się gorącej strawy. Jakiej bądź, ale gorącej.

Większość, znów przede wszystkim dziewczęta, dalej tylko grzebała sztućcami w rozgotowanych kartoflach. Widocznie jeszcze głód ich nie przemógł. Nie będę ich zmuszał do jedzenia, same kiedyś będą musiały się przełamać. Ale dlaczego te posiłki są takie mdłe, tak źle przyrządzone?

Kiedy tylko zjadłem swoją porcję, udałem się do kucharek:

– Dobry wieczór. Możecie mi powiedzieć, dlaczego to, co gotujecie, jest takie mdłe? Potrawy są bez smaku, jakby z jednego kotła, obojętnie, co podajecie. Przecież macie sól, pieprz, inne przyprawy. Nawet ze zwykłych produktów można coś dobrego przyrządzić. Moi ludzie zamiast porządnie zjeść na stołówce, dopychają się konserwami ze sklepu. Tak długo nie pociągną.

– Nie rozumiemy, o co panu komendantowi chodzi! Dlaczego nie chcecie jeść? Przecież gotujemy tak od lat i nikt nie narzeka. Wy pierwsi macie pretensje. I tak towarzysz dyrektor przydzielił wam wyższą stawkę żywieniową. Tylko wam nakładamy więcej, nasi dostają mniej.

Wspaniała wiadomość. Dzięki wyższej stawce dostajemy więcej masy żywieniowej. Masy, której i tak prawie nikt z moich nie chce jeść. Czy te kucharki dla rodziny w domu też tak gotują, bez przypraw? Też rzucają na talerze kleistą breję prosto z chochli?! „Dlaczego nie chcecie jeść? Przecież gotujemy tak od lat i nikt nie narzeka…” One mnie, a ja ich nie potrafiłem zrozumieć. Wcale nie chodziło o kłopoty językowe. To była ta cholerna różnica mentalna.

Machnąłem ręką. Nie dogadamy się. Wychodząc, usłyszałem jeszcze, jak kucharki między sobą skomentowały:

– Wot, Paljaki burżuje. Robotnicze jedzenie im nie smakuje. A pracować to im się nie chce.

Aha, „nasza” sowchoźniczka już podzieliła się z miejscowymi pracownicami swoimi spostrzeżeniami, po obmiarze wykonanej przez nas pracy w pierwszym dniu.

Moja czereda czekała na dworze przed stołówką. Mruknąłem:

– Nie dogadam się z kucharkami. Zobaczymy jutro. – I udałem się do baraku.

Bez słowa powlekli się za mną. Jak na jeden dzień chyba wszyscy mieliśmy dosyć atrakcji. Naprawdę uroczy to był dzień. Wszyscy byliśmy zmęczeni, nie musiałem nawet zaganiać do spania. Część stołówkowych niejadków dożywiła się jeszcze zakupionymi konserwami. Szybko jednak w baraku pogasły światła i zapadła cisza. Chwilę jeszcze odczekałem i sam położyłem się spać. O jutro będę się martwił nazajutrz; na dzisiaj wystarczy wrażeń.

Rano znowu obudziło mnie słońce. Wstając, poczułem zmęczenie mięśni, mimo że do fizycznego wysiłku byłem przyzwyczajony. Jednak praca pracy nierówna, różne grupy mięśni pracują. Do tego twarde posłanie też dało się we znaki. Nie zmartwiłem się tym zbytnio, wiedziałem, że po kilku dniach się przyzwyczaję. Przeciągnąłem się, wykonałem krótką gimnastykę i poszedłem budzić młodzież. Tak jak się spodziewałem, mimo pomocy dwóch chłopców były ogromne problemy z podnoszeniem z łóżek pozostałych. Co chwila tylko słyszałem pojękiwania i żale:

– Wszystko mnie boli.

– Nie mogę się wyprostować.

– Nie mogłam spać, bo plecy mnie parzyły.

– Moje ręce!

– O matko, złamał mi się paznokieć!

Skarżące się uspokajałem w zależności od potrzeby – tę przytuliłem, z tamtą wspólnie się użaliłem, innej nie dosłyszałem albo narzekania puściłem mimo uszu. Cel osiągnąłem, wszyscy wreszcie się podnieśli. No! To już sukces.

Powoli zaczęli wychodzić na zewnątrz. Toaleta poranna była jak na prawdziwej szkole przetrwania. „Cudownie" lodowata woda w umywalni przy pierwszym zetknięciu z twarzą powodowała słyszalny dźwięk szczękotu zębów, na podobieństwo kastanietów. Kto mył kiedyś zęby taką wodą, to wie, jaka to przyjemność.

Po krótkich porannych ablucjach udaliśmy się na śniadanie. Obsługa stołówki utrzymywała równy poziom; wyraźnie nie chciała zaskakiwać naszych żołądków gwałtowną zmianą jadłospisu. Mieliśmy już kaszę i ziemniaki. Minimalna różnica w porównaniu z dniem wczorajszym jednak była – dzisiaj „to to" chlapnięte na talerze było chyba dodatkowo zaciągnięte mąką, o ile znam się na kucharzeniu. Wsadem były pewnie pozostałości tego, czego poprzednio nie zjedliśmy. W przyrodzie nic się nie marnuje, to i na stołówce nie może. Zrezygnowałem z rozmowy z kucharkami. Wczorajsza wieczorna pogaduszka z nimi utwierdziła mnie w przekonaniu, że nasze światy są odrębne i nie mają punktów stycznych.

Nie zachęcałem już nikogo do jedzenia. Sam zjadłem, starając się nie przyglądać zbytnio temu, co było na talerzu. Zauważyłem, że liczba niejadków jednak wyraźnie się zmniejszyła. No cóż, smak smakiem, nawyki żywieniowe nawykami, ale młodego organizmu nie da się oszukać przez dłuższy czas. Kiedy człowiek jest głodny, zje prawie wszystko.

Po śniadaniu poleciłem młodzieży czekać przed barakiem, sam zaś wraz z tłumaczką udałem się ponownie do dyrektora. Tym razem był obecny i czekał już na nas. Przywitaliśmy się i od razu przeszedłem do spraw dla mnie najważniejszych. Wysłuchał mnie z uwagą, coś zanotował w kalendarzu i wyłożył swoje racje:

– Rozumiem pana, towarzyszu (jaka piękna zbitka pojęciowa), robię jednak dla was tyle, ile mogę. A mogę niewiele, przepisy i fundusze mnie ograniczają. Wasi pracują godzinę mniej niż nasza młodzież w tym samym wieku. Nie mam innych kucharek i innych produktów żywnościowych, ale przyznałem wam wyższą stawkę żywieniową. Już i tak moi ludzie zaczynają sarkać, dlaczego to wyróżniam Polaków.

Aha, znów przemiła sowchoźniczka i pewnie kuchareczki swoje trzy grosze wrzuciły tam, gdzie trzeba. Starałem się być uprzejmy, ale nie ustępowałem. Napomknąłem o trudnościach w przyzwyczajeniu się do miejscowych warunków i pracy, o udarze słonecznym dwóch dziewczyn, o przyjaźni, o wspomnieniach i opinii, jakie zawieziemy do domu, o moim przekonaniu, że

Sybiracy są sympatycznymi i gościnnymi ludźmi. Po dłuższym czasie wzajemnego przerzucania się argumentami doszliśmy przynajmniej do częściowego porozumienia. Nie mieliśmy już gołymi rękoma wyrywać zielska, tylko zaczniemy pielić motykami i gracami, na innym polu. Dodatkowo – wyjątkowo, jak wyraźnie zaznaczył – poleci wydać nam rękawice robocze. Cudo! Cenne rękawice robocze, których sowchoźnicza rosyjska dłoń pewnie nie uświadczyła, miały zostać włożone na polskie, burżujsko delikatne rączki.

Dyrektor obiecał też, że już nie spotka nas niemiła niespodzianka w postaci braku wody w prysznicu po powrocie z pola. Ukarze też niesumiennego pracownika, który wczoraj nie nalał wody do beczki. Nie byłem za karaniem, tylko za dopilnowaniem, aby woda czekała na nas. Po minie dyrektora zorientowałem się jednak, że wczorajsza niesumienność jego pracownika nie była związana z jednorazowym zapominalstwem; miała pewnie bardziej przyziemną przyczynę. Też ciekłą, tyle że nie wodną, a procentową. To nie był jednak mój pracownik i nie wypadało drążyć dalej, zmieniłem więc temat. Ustaliłem, że od dzisiaj będziemy bezpośrednio po pracy jechali wpierw nad Zalew Obski. Wykąpiemy się tam każdego dnia, umyjemy. Dlatego na obiad będziemy wracać godzinę później. Kto z moich będzie chciał jeszcze dodatkowo wziąć prysznic z beczki, to weźmie. Przy okazji słońce lepiej podgrzeje wodę w beczce przez tę dodatkową godzinę.

Na początek było dobre i to. Mogłem wrócić do moich z kilkoma drobnymi, ale – po zaskoczeniach dnia wczorajszego – jednak miłymi wiadomościami. Przy pożegnaniu dyrektor przytrzymał moją dłoń i dodał:

– Mieliście wczoraj trudny dzień, jak na pierwszy raz. Mogłem przewidzieć i przydzielić łatwiejszą robotę. No dobrze, tak w ramach małej rekompensaty polecę dzisiaj wydać dla was jajka. Stołówka przygotuje na obiad jajecznicę. Mam nadzieję, że moi ludzie się nie zbuntują. Przecież nie zamknę buzi kucharkom. Zaryzykujemy? – dodał z lekkim uśmiechem.

No jasne, że zaryzykujemy! On mnie rozumiał, a ja jego. Każdy z nas miał swoje ograniczenia i kłopoty z ludźmi. Udało nam się jakoś spotkać w połowie drogi. Rozstaliśmy się na pokojowej stopie.

Wróciłem z tłumaczką do baraku. Sowchoźniczka i Hans już na nas czekali. Zaglądnąłem do osinobusu – dyrektor dotrzymał słowa. W środku leżały grace i motyki, a na siedzeniu piętrzyła się sterta roboczych rękawic. W kilku słowach powiedziałem młodzieży o ustaleniach z dyrektorem. Większość odetchnęła z ulgą. I o to chodzi! Posmakowali prozy innego życia, to od razu cieszą ich nawet małe zmiany na lepsze.

Zostawiłem tłumaczkę w baraku. Jak jej wszyscy zazdrościli! Pewnie wielu postanowiło tego dnia zostać tłumaczami w dorosłym życiu. Na nieszczęście swoje marzenie mogli zrealizować dopiero w przyszłości. Teraz zaś rozpoczynał się nasz drugi dzień pracy na Syberii.

Byliśmy już trochę spóźnieni, wsiedliśmy więc szybko i pojechaliśmy. Tym razem pracownica wolała już nic nie komentować przy mnie. Po przyjeździe na pole powiedziała tylko, co mamy robić, i wskazała „normę dzienną do wykonania”. Wyładowaliśmy narzędzia i kanki z napojami. Kiwnąłem na pożegnanie do Hansa. Wsiadł do samochodu i odjechał, zabierając sowchoźniczkę. Podobnie jak wczoraj, zostaliśmy sami.

Słońce ponownie nie próżnowało. Tym razem nie musiałem nikogo powstrzymywać przed zdejmowaniem koszul i bluzek oraz przypominać o chronieniu głowy. Wczorajsza nauczka poskutkowała. Spojrzałem na zegarek. Czas pracy uciekał. Znowu rozstawiłem ludzi w tyralierę.

– Proszę o uwagę. Dzisiaj powinno być nam łatwiej. Tylko starajcie się iść w miarę równo, bez gonienia, ale i bez zbytniej mitręgi. Każdy ma swój rząd do wypielenia, do tamtego kija. Nikt nie dostanie większej czy mniejszej wypłaty, tylko tyle samo. Starajmy się więc wykonywać w miarę tę samą robotę.

Powiedziałem o lżejszej pracy trochę w ciemno, ale okazało się, że nie skłamałem; nie było porównania z wczorajszą. Pierwsza godzina minęła więc spokojnie, bez narzekań. W kolejnej dały jednak o sobie znać bóle mięśni i pęcherze – pamiątki po pierwszym dniu pracy. Pielenie zaczęło iść niemrawo. Jedni wysforowali się do przodu, widać było, że byli nawykli do pracy w polu. Inni zaczęli znów odstawać. Wystąpiły kolejne nieplanowane przerwy, zdejmowanie rękawic i uważne oglądanie dłoni. Po dwóch

godzinach nadszedł kryzys – dwóch chłopaków odmówiło dalszej pracy, rzuciło motyki i rozsiadło się w bruździe. Dwuosobowy okupacyjny strajk siedzący. Gdyby zastrajkowały dziewczyny, jeszcze bym zrozumiał. Ale to były rosłe byki, żadne tam chuderlaki. Po prostu nie chciało się im pracować i już!

Podszedłem do nich, postawiłem do pionu i porozmawiałem po męsku, jak chłop z chłopem. Nikt ich przecież nie zmuszał do przyjazdu. Wiedzieli, że nie jadą na Florydę opalać się, podrywać dziewczyny i dać się unosić ciepłym falom morza. Dziewczyny trochę narzekają, ale jednak pielą. A oni?! Mam zbyt dużo na głowie, aby jeszcze dryblasów niańczyć! Mogę słabszej dziewczynie pomóc przy robocie, ale na pewno za nich nie będę robił. Chyba że znajdą naiwniaków wśród innych, którzy ich wyręczą. Gdyby mieli paszporty indywidualne, to zostaliby powiadomieni rodzice i mogliby zaraz wracać do domu. Są jednak na moim paszporcie zbiorowym, jesteśmy więc tu razem. Razem przyjechaliśmy i wszyscy razem wrócimy.

– No więc? Długo będę czekał? Bierzcie się do roboty, ale już. Wczasy będziemy mieli po powrocie. Chyba że sami załatwicie sobie papiery na wcześniejszy wyjazd. Powodzenia. Ja palcem nie ruszę.

Pomogło, dogadaliśmy się. Z niechęcią, ale podnieśli się, wzięli porzucone motyki i wrócili do pracy. Powolutku tyraliera znowu ruszyła. Tu i tam odzywały się stękania, chwilowe narzekania, marudzenie na krzywą motykę lub bardziej zarośnięty rząd do wypielenia niż u sąsiadki czy

sąsiada. Jednak w stosunku do dnia wczorajszego to był po prostu pryszcz, rzecz niewarta większego zainteresowania. Dotrwaliśmy w jako takim spokoju do końca pracy i przyjazdu samochodu. Zdziwiłem się, że przyjechał sam Hans. Uśmiechnął się porozumiewawczo i, na moje niewypowiedziane pytanie, odrzekł, że sowchoźniczka nie mogła przyjechać. Przyjedzie później i obmierzy wykonaną przez nas pracę. Po mrugnięciu oka naszego kierowcy domyśliłem się, że wolała już nie wchodzić ze mną w wymianę zdań. Na wszelki wypadek, w obecności Hansa, sam pomierzyłem wypielone pole. Wyliczyłem, że dzisiaj wykonaliśmy prawie pięćdziesiąt procent normy. To był już duży postęp w stosunku do wczoraj wykonanej pracy. W poprawieniu wydajności mojego hufca nie przeszkodziło nawet powczorajsze zmęczenie oraz zmniejszenie stanu osobowego o dwie chore dziewczyny. Zawsze jakaś iskierka optymizmu. Może z czasem przyzwyczaimy się do pracy na syberyjskich polach?

Hans już rano ode mnie dowiedział się, że będziemy teraz po pracy jeździć nad rzekę. Był z tego bardzo zadowolony – dodatkową godzinę pracy mu dopiszą, w czasie której wraz z nami będzie się wylegiwał na brzegu i pluskał w wodzie. Pogwizdywał więc wesoło. Znał dobre miejsce nad zalewem, z łagodnym zejściem i małą, trawiasto-piaszczystą plażą. Dojechaliśmy tam w kilkanaście minut. Rozejrzałem się z góry skarpy – znajdowaliśmy się nad szeroko rozlanym zalewem, zwanym Obskoje Morie. Z lewej strony majaczyła w oddali potężna

zapora hydroelektrowni, przecinająca naturalny bieg rzeki. Drugi brzeg ledwie majaczył na lekko zamglonym horyzoncie. Podobno w tym miejscu szerokość zalewu wynosiła ponad dziesięć kilometrów.

Chwilę syciłem wzrok pięknym widokiem. Nie mieliśmy jednak zbyt dużo czasu do obiadu. W ślad za Hansem szybko zeszliśmy z kilkunastometrowej skarpy ścieżką w dół. Nad samym brzegiem rzeki była mała plaża, częściowo skryta w cieniu rzucanym przez rosnące naokoło drzewa i krzewy. W pośpiechu zrzuciliśmy z siebie robocze spodnie i koszule, z rozbiegu wskoczyliśmy do wody. Była jak marzenie wędrowca na pustyni, cieplutka, ale orzeźwiająca. Pluskaliśmy się, ochlapywaliśmy, radośnie krzyczeliśmy. Wreszcie, tego nam brakowało! Mijało zmęczenie, przestawały boleć dłonie i krzyże. Jakie wspaniałe uczucie odprężenia. Woda, woda… zmywaliśmy w niej nasze smutki i żale, chłodziliśmy oparzenia i bąble, chlapaliśmy się nawzajem wodą jak dzieci. Zdziwiłem się tylko, że rzeka była bardzo płytka, woda sięgała nam ledwie do kolan.

Spytałem o to Hansa. Wytłumaczył, że przed zbudowaniem zapory i hydroelektrowni była tu płaska, szeroka nizina nadbrzeżna. Została ona płytko zalana przez powstały zalew, ale dalej, bliżej starego koryta rzeki, jest głębiej. Miałem ogromną ochotę chociaż chwilę popływać, postanowiłem więc pobrodzić w stronę środka rzeki. Nakazałem wszystkim, aby się nie rozchodzili. Na wszelki wypadek wyznaczyłem też na szefa jednego z bardziej

rezolutnych chłopaków, zapamiętanego jeszcze z poszukiwań Sławka na granicy. Sam zaś poszedłem szukać tej głębiny. Szedłem, szedłem, a dno wcale się nie obniżało. Ciągle woda nie chciała sięgnąć wyżej moich kolan. Co jest?

Dopiero po dobrych dwustu metrach zacząłem się głębiej zanurzać. Po następnych stu woda sięgnęła mi do piersi. Dobre i to, można już popływać. Rzuciłem się wpław, zagarniałem ramionami wodę z dziką rozkoszą. Jak mi tego brakowało, jakie poczucie wolności, bezmiaru przestrzeni…

Niestety, nie byłem tutaj sam, odpowiadałem za innych. Wolałem nie zostawiać mojej młodzieży na zbyt długo samej sobie. Po kilku minutach wróciłem w stronę brzegu. Obskoczyło mnie od razu kilku chłopców, zarzekających się, że potrafią dobrze pływać. Egoista ze mnie! Sam popływałem, a oni musieli się taplać na płyciźnie, jak małe dzieci. Uległem ich prośbom, poszedłem z nimi jeszcze raz w stronę głębszej wody. Od małego brzdąca znałem uroki pływania, rozumiałem więc i moich chłopców. Tyle że pilnowałem ich w miejscu, gdzie można było jeszcze sięgnąć dna. Dwa razy w życiu ratowałem z wody ludzi i więcej nie miałem zamiaru.

Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Pół godziny, które przeznaczyłem na kąpiel, minęło. Odmieniło jednak wszystkich, od razu odżyli. Po wczorajszej „Saharze” nawet miska wody byłaby cenniejsza niż złoto, a my mieliśmy jej nagle aż w nadmiarze. Wycierając ciało ręcznikiem i przebierając się, spojrzałem w jedną i drugą stronę wzdłuż

brzegu. Tak daleko, jak mój wzrok sięgał, ciągnęły się prawie pionowe, podmyte przez fale skarpy, wysokie na kilka do kilkunastu metrów. Wyglądały jak prawdziwe klify morskie. Piękny widok, prawie jak na oleodruku. Wzdłuż brzegu można było przejść, u podnóża klifów ciągnęła się piaskowa plaża, szeroka na dwa–trzy metry. Gdybym nie wiedział, myślałbym, że jestem nad brzegiem Bałtyku w Redłowie.

Dziewczyny jeszcze się przebierały, poszedłem więc z kilkoma osobami w jedną stronę kilkadziesiąt metrów. Tak tu cicho i spokojnie. Idąc, spojrzałem w górę skarpy. Zaniepokoiły mnie nawisy nad nami. Niebezpieczne, przecież to tylko słabo związane ziemia z piaskiem, a nie twarda lita skała.

Zawróciliśmy i zapytałem Hansa o te nawisy. Potwierdził:

– Lepiej tam nie chodźcie. Tutaj co roku kilkunastu ludzi ginie zasypanych pod oberwaną ziemią ze skarpy. O tam, ze dwieście metrów, dwóch chłopaków zasypało w ubiegłym tygodniu.

– O kurde!

Po takim dictum zakazałem kategorycznie oddalania się poza plażę, na której byliśmy. Zresztą wszyscy usłyszeli, co Hans mówił. Po nagle spoważniałych twarzach widziałem, że nie będę musiał już prawić morałów jak babcia pilnująca wnuków.

Przeliczyłem młodzież. W porządku, nikogo nie brakowało. Odświeżeni, niepamiętający już o zmęczeniu,

obtarciach, pęcherzach na dłoniach, bólu krzyża i piekących po wczorajszym słoneczku plecach, wsiedliśmy do samochodu. Po wjechaniu na polną, piaskową drogę znowu wznieciliśmy tuman kurzu za osinobusem. Byłem już porządnie zgłodniały, pozostali pewnie też. Z każdą minutą byliśmy bliżej sowchozu, gdzie, zgodnie z obietnicą dyrektora, miała na nas czekać jajecznica. Gorąca, pachnąca, z wkrojonym boczkiem lub wędzonką, z podsmażoną cebulką. Do tego świeżutki chlebek i masełko. Na samą myśl ślinka ciekła, a soki żołądkowe zaczynały intensywniej pracować…

Samochód podskakiwał na nierównościach drogi. Kiszki zaczynały już nam porządnie marsza grać, na szczęście nie żałobnego, a obiadowego. Z marzeń o smakowitej jajecznicy na obiad wyrwał mnie nagle okrzyk zdziwienia pomieszanego z oburzeniem:

– Gdzie moje klapki?!

Kto to tak wrzeszczy?! Spojrzałem do tyłu. No tak, któżby inny? Sławek, Sławeczek. Dwa dni był już z nim spokój. Widocznie o dwa za długo, postanowił o sobie przypomnieć.

– Nie krzycz tak, uszy bolą. Nie jesteśmy na wiecu. Co się stało?

– Nie ma moich klapek!

– Mówiłem, że słyszę. Uszy mam świeżo umyte. Jakich klapek?

– Moich! No na nogi, moich japonek.

– A miałeś je? Może zostawiłeś w pokoju?

– Nie, panie komendancie. Na pewno miałem. Jak chodziliśmy na brzegu, to je założyłem. A teraz nie mam.

– No dobrze, wrócimy po nie. Masz szczęście, że ujechaliśmy ledwie kawałek. Hans, zawróć.

Powróciliśmy nad zalew, zszedłem z nim ze skarpy. Klapki leżały na brzegu, równiutko ułożone, jeden obok drugiego, jak na paradzie. Oczy Sławusia roziskrzyły się radośnie, jakby odnalazł zagubiony skarb. Rzuciłem pośpiesznie:

– Zabieraj je i wracajmy. Szybciej, bo jajecznica nam wystygnie.

Wskoczyliśmy do osinobusu. Pogoniłem kierowcę:

– Dawaj, Hans, dawaj. Jajecznica stygnie.

Samochód przyspieszył, rzucając nami na nierównościach i dziurach w drodze jak workami ziemniaków. Kurz wzbijany za osinobusem mógłby dać zasłonę całemu pułkowi wojska ruszającemu do natarcia.

– A gdzie moje kąpielówki?!

No nie! Tego już za wiele. Znowu Sławek?

– Co znowu? Teraz jeszcze kąpielówki? Może masz je na sobie?

– Nie. Przebrałem się po kąpieli.

– Może kąpałeś się w tym, co masz?

– Nie. Te są w paski, a kąpielówki są w kwadraciki. Nie mam ich!

Odwróciłem się i wzrokiem zlustrowałem jego „niewymowne”. Były faktycznie w paski, do tego suche.

Byliśmy już jednak w połowie powrotnej drogi. Kąpielówki to nie jest żaden skarb, aby specjalnie po nie wracać.

– Hans, nie zatrzymuj się, jedziemy dalej.

– Panie komendancie, wróćmy po moje kąpielówki.

– Teraz już za późno. Mogłeś pamiętać. Na stołówce jajecznica stygnie. Jutro po pracy znów nad Ob pojedziemy. Może będą leżały tam, gdzie je zostawiłeś.

– Ale…

– Żadne ale. Chyba że pozostali zgodzą się jeść zimną jajecznicę.

Spojrzenia „wywołanych do odpowiedzi”, jakie spoczęły na dwumetrowym Sławusiu, nawet jego przygięły do ziemi. Usiadł pokornie, stłamszony tymi spojrzeniami, mrucząc coś pod nosem. Minę miał tak nieszczęśliwą, jakby własną matkę pozostawił na bezludnej wyspie. Widocznie rozmyślał o być może niepowetowanej stracie. Byłem jednak niewzruszony jak ostaniec. Nie, nie byłem samotny w swoim postanowieniu – czułem milczące poparcie jeszcze dwudziestu siedmiu głodomorów. Wszyscy pewnie już przełykali ślinkę na myśl o czekającym na nas obiedzie. Z powodu braku kawałka materiału z kwadracikami nie będziemy przecież rozwiązywać kwadratury koła – jak odzyskać kąpielówki i jednocześnie zdążyć zjeść gorącą jajecznicę, z unoszącym się wokół cudownym zapachem wędzonki i podsmażanej cebulki…

Hansa nie musiałem już poganiać. W kilka minut byliśmy w sowchozie i z fasonem zajechaliśmy przed stołówkę. Nikt nie myślał o przebieraniu się wpierw

w baraku z roboczych ubrań. Nawet dziewczyny zrezygnowały z umycia włosów pod beczkowym prysznicem. To wszystko mogło poczekać, jajecznica nie. Wbiegliśmy hurmem do jadalni, nawet mnie nogi poniosły. Odsunęliśmy z hałasem krzesła i usiedliśmy. Talerze już stały na stołach; widać dopiero przyniesione, bo parował z nich gorący posiłek, wprawiając w drgania powietrze nad nimi. Spojrzeliśmy…

– Gdzie jest jajecznica?!

Na talerzach leżały duże kawały… czego? To ciasto czy co? Zaskoczony, jak wszyscy, przysunąłem bliżej talerz i przypatrzyłem się. Nie, to nie było ciasto. Konsystencja białawej masy wyraźnie świadczyła, że była wykonana z kaszy, ale wyrośnięta jak drożdżówka.

Gwałtownie odsunąłem krzesło i podszedłem do lady, odgradzającej stołówkę od kuchni. Za nią, nieruchome jak posągi o rubensowskich kształtach, stały cztery kucharki.

– Co to jest na talerzach?!

Ponadwymiarowe rozmiary „ósemek”, podtrzymujące potężne biusty ukryte pod fartuchami indagowanych, gwałtownie zafalowały od nagłych, głębokich wdechów spowodowanych… zaskoczeniem? Świętym oburzeniem? Przeżytym wstrząsem psychicznym?

– Jak to co? Jajecznica!

– To ma być jajecznica?

– A co innego?!

Wziąłem na wstrzymanie, policzyłem w myśli do czterech i jeszcze raz zapytałem:

– Jak wy robicie tu jajecznicę?

– No jak, jak? Najpierw zarabia się kaszę z mąką, trochę wody, potem dodaje jajca, jeszcze raz wyrabia i piecze na blasze. Dali dla was aż dwanaście jajców! Tylko dla was. Miały być duże kawały dla każdego, to dwie blachy musiałyśmy zrobić. Na jedną blachę aż sześć jajców! A jajca bardzo drogie, z daleka przywożone. Bardzo drogie!

Ponownie wziąłem głęboki oddech, aby uspokoić rozdygotane nerwy. Znowu jaskrawo uwidoczniła się różnica kulturowa. Znów zderzyły się dwie odrębne społeczności, o całkiem innych nawykach żywieniowych. W domu potrafiłem zjeść jajecznicę z ośmiu jajek, obficie okraszoną wędzonką i kiełbasą. Jajecznicę, a nie jakieś nie wiadomo co, do którego zużyto ledwie dwanaście jajek na prawie trzydziestu głodomorów. Czy widział ktoś jajecznicę z niecałego pół jajka na głowę?! Popatrzyłem wściekły na kucharki. Szybko się jednak zreflektowałem. Właściwie cóż te kobiety są winne? Zrobiły jajecznicę taką, jaką zawsze robiły. Nie pomyślałem, że jajecznica może tutaj oznaczać całkiem inną potrawę. Do tego te jajca takie drogie.

Nie powiedziałem już nic więcej, wróciłem do stołu i z westchnieniem usiadłem. Nie musiałem młodzieży nic tłumaczyć, wszyscy słyszeli moją rozmowę. Na tyle język rosyjski każdy znał ze szkoły. Mruknąłem:

– Spróbujcie to to zjeść, póki ciepłe. Dziś nic nie da się zmienić, dyrekcja pewnie już zamknięta – i wbiłem widelec w „jajecznicę”.

W ślad za mną kilkunastu śmiałków także wbiło sztućce w jedzenie. Włożyłem pierwszy kęs do ust; od razu urósł mi w buzi. Cholera! Znowu mdławe, kompletnie bez smaku. Czy tu nigdy nie doprawiają potraw? Nawet niby-jajecznicy? Przypraw nie mają czy co?!

Poprosiłem kucharki o sól. O dziwo, miały ją w kuchni. Posoliłem, dużo jednak nie pomogło. Przecież nie jedliśmy zupy, aby można było sól wymieszać i rozpuścić. Zdesperowany, próbowałem wyłączyć zmysł smaku i zacząłem przełykać kęs za kęsem. Byłem po pracy w polu głodny jak pies. Podobnie i pozostali. Większość dziobała już widelcami w talerzach i zjadała „jajecznicę”. Kilka dziewcząt jednak, tak jak poprzednio, po pierwszym kęsie przestało jeść. Wyłamywały się z kolektywu, jeszcze nie pojęły w pełni znaczenia tego słowa. Znowu pewnie pójdą do sklepu i zakupią puszki rybne. Czy one nie rozumieją, że długo tak nie wytrzymają, bez gorących posiłków? A tam, niech robią, jak chcą, nie jestem niańką. Za kilka dni, kiedy wydadzą przywiezione pieniądze i porządnie zgłodnieją, to przywykną nawet do miejscowego, stołówkowego jedzenia.

Rozdział 6.

Nie tylko pracą człowiek żyje

Po obiedzie w minorowych nastrojach wróciliśmy do baraku. Byliśmy kompletnie rozczarowani tak wyczekiwanym wcześniej dzisiejszym obiadem. Nasze wyobrażenia o jajecznicy rozminęły się z miejscowym daniem, jak dzień mija się z nocą. Dobrze, że chociaż wypełniliśmy żołądki.

Sprawdziłem jeszcze nasz wspólny prysznic. O dziwo, woda do beczki była nalana. Widocznie odpowiedzialny za to pracownik został postawiony do pionu przez dyrektora i nagle poczuł się odpowiedzialny za tę tak dla nas ważną sprawę. Miałem cichą nadzieję, że nie będzie to z jego strony słomiany zapał. Nikt już nie chciał korzystać z tuszu wodnego. Wszyscy czuli się odświeżeni, choć dalej zmęczeni, po kąpieli w Zalewie Obskim.

Na popołudnie nic nie planowałem i dałem wszystkim wolny czas. Każdy mógł robić, co chciał. Zauważyłem, że stopniowo dziewczęta i chłopcy zaczęli nawiązywać

pierwsze znajomości z miejscową młodzieżą. Odwiedzali też uczniaków z sąsiedniego baraku. To było zrozumiałe i normalne. Jedynie zacząłem się dziwić, kiedy do pokojów mojej młodzieży zaczęli też zachodzić starsi mieszkańcy wioski. Jednak nie interweniowałem; byłem nawet zadowolony. Niech moi nawiązują kontakty z miejscowymi, rozmawiają ze sobą, poznają się wzajemnie. Łatwiej będzie im przeżyć ten miesiąc i nie będą tak odczuwali oderwania od swoich w Polsce. Może też zmniejszy się zauważalne wzajemne boczenie się na siebie i utrwalanie stereotypów – o nas jako „Paljakach burżujach”, a nasze o miejscowych Sybirakach jako nieznających „współczesnych standardów życia”.

Kilka dziewczyn wybrało się do znanego nam już sklepu, będącego lokalnym centrum handlowym sowchozu. Wróciły po półgodzinie z niewyraźnymi minami. Zapytałem, czy coś się stało. Zbyły mnie zdawkowo, że „nie, nie, panie komendancie, nic się nie stało”. Widziałem jednak po ich minach, że nie powiedziały prawdy. Zaniepokoiłem się, przypuszczając, że może zostały zaczepione przez miejscowych chłopaków. Ponownie zapytane, tym razem zdecydowanie zaprzeczyły. O co więc chodzi? Nie chcą, to niech nie mówią, widocznie jakaś drobnostka. Wróciłem do swojego pokoju. Zaniepokoiłem się jednak ponownie, kiedy zobaczyłem przez okno, że wyszły na ulicę i zaczęły zatrzymywać przechodzące kobiety, o coś je pytać. Wyraźnie czegoś próbowały się dowiedzieć, rozmawiając nieporadnie w szkolnym języku rosyjskim. Z przeczącego

kręcenia głowami miejscowych sowchoźniczek i ich zdziwionych min widać było, że nie mogą się jednak porozumieć.

Coś było na rzeczy. Coś się musiało stać, a dziewczęta nie chciały mi powiedzieć. Wszedłem do pokojów dziewczyn i spytałem pozostałe. Odpowiedziały, że nic nie wiedzą. Teraz już nie na żarty zacząłem się niepokoić. Albo też nie wiedziały, albo nie chciały powiedzieć. Podejrzewałem to drugie. Co one ukrywają? Po minach chłopców widziałem, że oni nie są zorientowani. Kurde! Czy nie będzie nawet jednego dnia bez problemów?

Nie czekałem dłużej. Nie wiedziałem, co się stało albo szykowało, a niespodzianek dotychczas miałem aż nadto. Wolałem wiedzieć zawczasu o czymś nieprzyjemnym, niż zostać znów zaskoczony. Zawołałem do swojego pokoju dziewczyny, ciągle stojące na ulicy, i zacząłem przyciskać je pytaniami. Kręciły w odpowiedziach, zbywały, lawirowały, jak mogły. Mnie chciały oszukać?! Widziałem po ich twarzach, że naprawdę coś się stało. Byłem coraz bardziej zdenerwowany. Nie wytrzymałem:

– Co się stało, do jasnej ciasnej?! Powiecie wreszcie? Nie mam zamiaru być tym, który dowie się jako ostatni. Odpowiadam za was i mam prawo wiedzieć. Nie wyjdziecie z mego pokoju, dopóki nie powiecie, o co chodzi.

Pomogło. Nie ma to jak zastosowanie starych, sprawdzonych metod, kiedy gładzenie po główkach nie pomaga.

– Panie komendancie, bo nie możemy nigdzie kupić tego, no wie pan…

– Dziewczyno, gdybym wiedział, to bym nie pytał, prawda?

– No tak, no bo widzi pan…

– Wykrztuśże wreszcie!

– Bo nie możemy nigdzie kupić tego dla nas… No nie możemy nigdzie dostać podpasek czy choćby waty.

Uff. Od razu zeszło ze mnie całe napięcie. Wyobrażałem sobie nie wiadomo co, a to tylko zwykła, przyziemna sprawa. Ledwie powstrzymałem się od uśmiechu. Ale dla dziewczyn to przecież naprawdę był problem. Nie pomyślałem o tym. Tyle że kto miał o tym wcześniej myśleć, jak nie same dziewczyny? Może jednak tylko dlatego nie kupiły, że nie znały dobrze języka i nie wiedziały, jak zapytać?

– Byłyście w sklepie?

– Tak.

– A w aptece pytałyście?

– Pytałyśmy. W kiosku obok też. Wszystko obeszłyśmy. Pytałyśmy też te kobiety na ulicy, gdzie kupują podpaski, ale chyba nie mogłyśmy się dogadać.

– No właśnie, może tylko o to chodzi. Poczekajcie chwilę.

Wszedłem do pokoju mojej tłumaczki i zapytałem, jak nazywa się po rosyjsku „podpaska”, tak niezbędna każdej kobiecie. Zapisałem na kartce i wróciłem do dziewczyn. Dla pewności sprawdziłem jeszcze w swoim starym,

podręcznym słowniku polsko-rosyjskim. Niestety, takiego słowa jak „podpaska” nie przewidzieli autorzy. Możliwe, że nie znali, gdyż wydanie było sprzed dwudziestu lat. To różnica całej epoki cywilizacyjnej. Poszukałem w słowniku innych słów. Na szczęście „lignina” i „wata” już w nim były. Dobre i to.

Wziąłem ze sobą dziewczyny i poszliśmy do sowchozowego sklepu. Weszliśmy do środka, potem do apteki, na końcu spytałem w kiosku. Za drugim i trzecim razem powtórzyła się kalka rozmowy ze sklepu:

– Szto? Cziewo? Nie panimaju, szto wy chaczecie.

Może źle wymawiam rosyjskie słowa? Chociaż do tej pory nie miałem z tym większego problemu. A może tu używają innych nazw, miejscowych albo gwarowych? W końcu jesteśmy ogromny szmat drogi od Europy. Zapytałem jeszcze raz o podpaski, pokazałem zapisane na kartce słowo. W odpowiedzi zobaczyłem zdumione oczy sprzedawczyń. Nie, one nigdy nie słyszały takiej nazwy. O co ja w ogóle pytam? Zrezygnowany, pokazałem w moim słowniku rosyjskie słowo „wata”, brzmiące tak samo jak po polsku. Sprzedawczynie przeczytały, uśmiechnęły się, widząc znajomą nazwę, ale pokręciły przecząco głowami.

– Niet. Waty u nas niet.

Nie mieli waty. Może jednak mają coś innego?

– A lignina?

– A szto eto?

Opadły mi ręce, takich odpowiedzi się nie spodziewałem. To było nie tylko kilka tysięcy kilometrów

odległości od Polski. To był naprawdę środek Azji, w innych realiach toczące się życie. Do tego byliśmy na wsi. Mieszkają tu prości ludzie, nie znają ligniny ani podpasek; watę znają, lecz w sklepie nie mają. Ale przecież, do cholery, są kobietami, coś muszą więc używać „w te dni”.

Zrezygnowałem jednak z dalszej rozmowy ze sprzedawczyniami. Dowiem się może jutro w administracji sowchozu, tam pracują bardziej wykształceni ludzie.

Zniechęcony odwróciłem się do moich panien:

– Dziewczyny, musicie jakoś poradzić sobie same do jutra. Rano, przed wyjazdem, pójdę do dyrekcji. W administracji pracują kobiety po szkołach, dowiem się od nich, gdzie możecie się zaopatrzyć.

Wróciliśmy do siebie. Do kolacji miałem wreszcie i ja wolny czas. Nie powiem, abym był z tego powodu niezadowolony, chwila wypoczynku bardzo mi się przydała. Wieczorem poszliśmy na kolację. Nic się nie zmieniło, posiłek nas nie zaskoczył, było to co zwykle. Zjadłem już bez zbędnych ceregieli. Inni też, nawet dotychczasowe niejadki. Czyżby powoli rozumieli, gdzie jesteśmy? A może głód wreszcie zniwelował brak smakowitości potraw? Jednak przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

Po kolacji zrobiłem porządek w dokumentacji. Włączyłem telewizor, który wstawiono mi do pokoju. Co u nich nadają? Od razu poczułem się jak u nas – w wiadomościach większość czasu zajął spust surówki żelaza, uroczyste otwarcie czegoś tam, „walka” na froncie

zbiorów płodów rolnych. O nie, dziękuję, mam tego aż nadto w Polsce. Postanowiłem się przejść.

Większość młodzieży porozchodziła się. Nie dziwiłem się, wieczór był bardzo ciepły. Przeszedłem się po sowchozie, porozmawiałem z napotkanymi miejscowymi. Zatrzymywali się bardzo chętnie, odpowiadali, sami mieli dziesiątki pytań. Byliśmy dla nich nie z tego świata. Dotychczas mieli swój uporządkowany, a jednocześnie zastygły mikroświat. Tu się rodzili, dorastali, pracowali, pobierali się, płodzili dzieci, a w końcu umierali. Nic nie zakłócało ich dotychczasowego życia, prostego, ale znajomego od dzieciństwa aż do śmierci. Nagle przyjeżdżają jacyś obcy z dalekiej Europy, wnoszą odmianę w ich codziennym bytowaniu. Byliśmy podobni do średniowiecznych wędrowców, których tuziemcy oglądali jak jakichś dziwolągów, a jednocześnie zachłannie wysłuchiwali ich opowieści w przydrożnych karczmach, kiedy ci opowiadali o życiu w zamorskich krajach.

Po powrocie wyciągnąłem z podróżnej torby przywieziony z domu „rozmowny poczęstunek” i poszedłem do komendanta grupy szkolników. Przywitał się ze mną, wskazał miejsce przy stole; usiedliśmy. Na początku rozmowa niezbyt się kleiła, ale przyniesiony poczęstunek szybko przełamał lody. Trochę porozmawialiśmy o rodzinach, tak jak trzeba. Poznaliśmy się lepiej, ustaliliśmy kilka spraw. Na koniec napomknąłem o podglądaniu przez jego uczniów moich dziewcząt, kiedy

korzystały ze sławojek. Westchnął, podrapał się po głowie i rozłożył ręce.

– Tawariszcz Zdisław, no jak mam wszystkich upilnować? Dorastają moje chłopaki. A czy u was dzieciaki są inne? Też pewnie próbują podglądać starsze dziewczyny.

W myśli musiałem przyznać mu rację. Pod każdą szerokością i długością geograficzną biologia rządzi się tymi samymi prawami. Komendant obiecał jednak przeprowadzić rozmowę ze swoimi chłopcami, zdyscyplinować ich. Dobre i to, ale już wiedziałem, że będziemy dalej musieli sami zapewniać minimum intymności naszym dziewczętom.

Zasiedziałem się u sąsiada dość długo. Wyszedłem, kiedy słońce zachodziło już za horyzont. Spojrzałem na zegarek – była dwudziesta trzecia. Taką tu mieli strefę czasową, że w lipcu słońce zachodziło bardzo późno. U mnie już wszyscy spali. Fizyczna praca jednak sama zagoniła ich do łóżek o rozsądnej porze, nie musiałem przynajmniej tego pilnować. Czas był i mnie odpocząć, jutro czekał kolejny długi dzień.

Rano wstałem wypoczęty. O dziwo, krzyż i mięśnie już tak nie bolały. Nawet twardość desek, odczuwana przez cienki siennik, nie przeszkodziła mi w twardym i zdrowym śnie. Rację mają ortopedzi, którzy zawsze zalecają spanie na twardym łożu i na wznak. Bez poduszki, najwyżej z małym jaśkiem pod głową.

Wyszedłem przed barak, ochlapałem się lodowatą wodą w umywalce i wróciłem budzić moich mołojców. Popytałem

o samopoczucie. Także lepiej spali, mniej już odczuwali dolegliwości fizyczne i zmęczenie pracą w polu. Nawet dziewczyny mniej narzekały. Było to jeszcze jedno potwierdzenie prawdziwości odpowiedzi na pytanie, dlaczego to człowiek stał się dominującym gatunkiem na naszej planecie – potrafił przystosowywać się do życia w każdych warunkach.

Po ablucji porannej, gdzie znowu w praktyce sprawdziliśmy, jak hartuje się ciało w lodowatej wodzie, udaliśmy się na śniadanie. Niestety, nie było przyjemnej niespodzianki, kucharki sumiennie utrzymywały dla nas żywieniowe constans. Nie byłem tym zaskoczony, inni też nie; nawet dotychczasowe niejadki mniej marudziły, a więcej zjadły. Po śniadaniu wraz z tłumaczką udałem się do budynku administracyjnego. Dyrektor przyjął nas nawet bardziej miło niż poprzednio. Nie dał po sobie poznać, czy jesteśmy serdecznie oczekiwanymi gośćmi, czy upierdliwymi petentami. Może coś trzeciego, może miał w tym swój interes? W każdym razie bardzo uprzejmie posadził nas w fotelach, zawołał sekretarkę i zaproponował:

– Kawy, herbaty?

– Tak, dziękuję, z chęcią się napijemy. Dla pani Ani… pani Aniu? Herbatę. Dla mnie poproszę kawę. Jeżeli można, z dwiema łyżeczkami cukru i śmietanką.

– No i jak tam praca, towarzyszu Zdisławie? – Szybko przechodzili na używanie imienia zamiast nazwiska. – Dostaliście rękawice?

– Dostaliśmy. Mojej młodzieży trudno jednak przyzwyczaić się do tutejszych warunków pracy. Nie było już tak ciężko jak w pierwszym dniu, ale jeszcze są kłopoty. Zobaczymy. Myślę, że z każdym dniem powinno być lepiej. Mam jednak kilka innych spraw. Po pierwsze, jak długo idą stąd listy do Polski? Moi ludzie się pytają.

– O, teraz za towarzysza Michaiła Siergiejewicza dużo szybciej. Ledwie miesiąc, a czasem nawet szybciej.

Pięknie, ledwie miesiąc. Czasem nawet szybciej! Gorbaczow wyraźnie zbliżył Syberię do Europy. Nawet jeżeli ich poczta się nie spóźni, to po powrocie sami zdążymy odebrać wysłane przez nas listy i pocztówki.

– No tak… Druga sprawa. Muszę skontaktować się telefonicznie z moimi przełożonymi w Polsce. Czekają na mój telefon.

– To będzie kłopot. Mówiłem już, że trzeba rozmowę do Europy zamawiać dużo wcześniej. Czasem czekanie trwa kilka godzin, a nieraz nie uda się przez cały dzień uzyskać połączenia. Może poczekacie do jutra? Pojedziecie po pracy do Nowosybirska. O tym właśnie miałem was powiadomić. Nasze władze obłasti nowosybirskiej chcą się z wami spotkać. Stamtąd będzie łatwiej uzyskać połączenie, poproście na spotkaniu.

To dlatego jest tak miły. Kawka, herbatka. Chociaż nie mogłem powiedzieć, aby na pierwszym spotkaniu był nieżyczliwy. Kazali mu, to nas przyjął i zakwaterował, zorganizował pracę; co mógł, to załatwił. Jakoś dogaduję się z nim.

– Dobrze, towarzyszu dyrektorze, zostawię telefon na jutro. To lepsze niż gdybym miał siedzieć kilka godzin w pokoju bez pewności uzyskania połączenia. Mam kolejną sprawę, dla was może mniej ważną, ale jednak. Nie możemy się przyzwyczaić do jedzenia na stołówce. Sam mam z tym problemy. Inne jedzenie, inne smaki. Ta wczorajsza jajecznica…

– Co?! Stołówka nie zrobiła?! Przecież wczoraj wydałem polecenie. Zaraz to załatwię.

– Co to, to nie. Kuchnia przygotowała. My jednak całkiem inaczej ją robimy. Okazało się, że wasza jajecznica a nasza to dwie różne potrawy. Tylko nazwa jest ta sama.

– Co ja mam z wami począć? Wiecie, jak drogie są u nas jajka? I tak macie o połowę wyższą stawkę żywieniową. Wczorajsze jajka już spowodowały przekroczenie stawki dziennej.

– Rozumiem, ale przecież chcecie, towarzyszu dyrektorze, abym po powrocie w sprawozdaniu napisał o was dobre słowo. No i napomknął jutro u waszych władz w Nowosybirsku…

– Ech, wy, tawariszcz Paljak… – Nasrożył się, ale szybko mu minęło. Uśmiechnął się, klepnął dłońmi po kolanach i kontynuował: – Nu ładna. Każę wydać jutro na obiad aż po dwa jajka na głowę dla was. Po dwa! Wiecie, jaki to koszt? Mam nadzieję, że moje władze mnie nie zabiją za taką rozrzutność. Doceńcie to. Tylko niech wasze dziewczyny pokażą moim kucharkom, jak u was ta jajecznica jest

robiona. Przy okazji czegoś nowego się nauczą. Faktycznie gotują ciągle na jedno kopyto.

– Nie potrzeba. Rozmawiałem już z dziewczynami. Same usmażą jajecznicę po naszemu. Byle tylko mogły skorzystać z kuchni.

– Załatwione. Czy to wszystko?

– Już ostatnia sprawa, taka bardziej prywatna. To znaczy niezwiązana z pracą, ale ważna dla moich dziewczyn. Tyle że… czy moglibyście, towarzyszu dyrektorze, poprosić na chwilę którąś z pracownic? Obojętne, kadrowa, księgowa czy inna rachmistrzyni. Byle była kobietą. Tylko nie sprzątaczkę.

Zdziwił się, ale nie oponował. Wyszedł i za chwilę wrócił z księgową, którą przedstawił nam jako swoją prawą rękę od buchalterii. Prezentowała się bardzo okazale, miała co najmniej sto kilo żywej wagi. Nawet kucharki ze stołówki mogły się przy niej schować.

Po przywitaniu się poprosiłem panią Anię, aby zapytała księgową, gdzie kupuje te żywotnie konieczne potrzeby dla kobiet, a więc i dla naszych dziewczyn. Dłuższą chwilę na boku rozmawiały. Wyraźnie nie mogły się porozumieć, na tyle się domyśliłem. Księgowa jest przecież wykształcona, a też nie wie, o co pytamy? Zniecierpliwiony wtrąciłem się do rozmowy:

– Tak się nie dogadamy. Proszę powiedzieć, co pani używa, kiedy ma pani okres, period po waszemu.

– A też tawariszcz zadaje takie pytania. Jak to co, każda żeńszczina ma swoje szmatki. Takie kawałki płótna. Po

użyciu się pierze, suszy i od nowa.

Gdybym już nie siedział w fotelu, to bym usiadł z wrażenia. W końcu dwudziestego wieku, w cywilizowanym jednak kraju, takie coś usłyszeliśmy. Nie jesteśmy przecież w środku Amazonii, wśród pierwotnych plemion. Do tego jeszcze tłumaczy mi, co to jest szmatka – ot, taki kawałek płótna.

Odetchnąłem głęboko:

– Nie używacie waty czy czegoś podobnego?

– A jak to potem wyprać? Nie da się. Przecież trzeba by było watę wyrzucać po pierwszym razie. Kogo stać na taką rozrzutność?

Tak mnie ponownie swoją odpowiedzią zaskoczyła, że na moment straciłem koncept. Nie miałem już do księgowej więcej pytań. Znów wyrosła między nami bariera mentalna. Czyżbyśmy naprawdę przenieśli się w średniowiecze? Poprosiłem moją tłumaczkę, aby wytłumaczyła pracownicy, czego u nas „w Jewropie” kobiety używają. Ta wreszcie zrozumiała i aż wytrzeszczyła oczy:

– Wot burżuje! Tyle waty tylko na raz marnować?!

Nie było już sensu dalej z księgową rozmawiać, to byłaby strata czasu. Podziękowałem jej za próbę pomocy. Wyobrażałem sobie, co po powrocie do swego biura naopowiada o nas innym pracownicom. Tym się nie kłopotałem. Zmartwieniem było co innego.

Na szczęście jeszcze raz dyrektor okazał się bardziej cywilizowany od swoich podwładnych. Już wiedziałem, że

dawniej mieszkał w dużym mieście. Pokiwał głową i powiedział:

– Zamiast wołać miejscową chaziajkę, trzeba było od razu mnie spytać. Tutaj, na wsi, nowinki tak łatwo się nie przyjmują. Spróbuję jakoś zaradzić. Zgłosicie się zaraz do ośrodka zdrowia, polecę wydać zapas waty, który mają. Do jutra dziewczynom powinno wystarczyć. Nazajutrz zaś będziecie przecież w Nowosybirsku, to kupicie watę, a może są też i te wasze podpaski. Nie wiem tego, ale w mieście w aptekach czy drogeriach się dowiecie.

Spadł mi kamień z serca. Moim dziewczynom też się zaraz humory poprawią, kiedy im powiem. Serdecznie podziękowałem dyrektorowi za uczynność. Było za co. Jednak chłop starał się pomóc na tyle, na ile mógł. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy z budynku. Praca w polu czekała, byliśmy już spóźnieni z wyjazdem prawie pół godziny.

Przyspieszyliśmy kroku, po drodze weszliśmy do ośrodka zdrowia. Kierowniczka była wielce zdziwiona, po co nam tyle waty. Nie miałem ochoty jej tłumaczyć. Była już na szczęście po rozmowie telefonicznej z dyrektorem, więc nie zmarnowałem czasu na kolejną rozmowę. Wydała nam cały zapas waty – trzy paczki. Od razu rozdałem je dziewczynom. Na „potrzebujące” nie dzieliłem. Miały same między sobą sprawiedliwie rozporządzić zdobytym przeze mnie skarbem.

W końcu wsiedliśmy pośpiesznie do czekającego samochodu, byliśmy już dzisiaj bardzo spóźnieni. Praca była

na tym samym polu co wczoraj. Znowu machaliśmy gracami i motykami, ponownie przeżyłem chwilowy strajk kilku osób, dwóch chłopaków złamało trzonki od motyk. Nie wiedziałem nawet, czy pękły w pracy, czy z braku chęci do pracy. Nie dochodziłem zbytnio, nie dociskałem. Za to od razu wspomogłem tymi chłopakami najsłabsze dziewczyny. Przyjęły pomoc z ulgą, w przeciwieństwie do dwóch „sabotażystów", którzy wyraźnie liczyli na nieplanowaną przerwę w pracy. Powoli przyzwyczajałem się do myśli, że już do końca pobytu będę się znajdował między młotem oczekiwań mojej młodzieży a kowadłem tutejszego życia. Tak co do pracy, jak i zwykłych spraw życiowych. „Jeżeli nie możesz zmienić miejsca życia, to spróbuj dostosować się, aby uczynić to życie znośniejszym" – ta dewiza, naprędce skomponowana, stała się moim hasłem przewodnim na pozostałe dni pobytu.

Mimo wszystko kolejny dzień pracy przy pieleniu zaliczyć mogłem jako nie gorszy niż wczorajszy. To już był sukces. Według mojej oceny mimo opóźnienia znów wykonaliśmy naszą normę. To znaczy pięćdziesiąt procent normy miejscowej. Poćwiczą moi robotę w polu jeszcze kilka dni, to powinni stopniowo zwiększać wydajność. Przydałoby się tylko trochę cienia i zelżenie upału. Niestety, towarzysz Słońce nie opuszczał nas ani na chwilę. Od momentu przyjazdu nie widzieliśmy najmniejszej chmurki na niebie.

Hans przyjechał po nas punktualnie. Zacząłem doceniać jego dyscyplinę czasu. Widać krew przodków, przywykłych

do porządku, przeważała w nim nad miejscowymi zwyczajami. Zawiózł nas nad Obskoje Morie, w znane nam już miejsce. Po zejściu na brzeg już z daleka zobaczyliśmy rozpostarte na krzewie gatki Sławusia. Te w kwadraciki. Trzeba było widzieć odbicie rajskiej szczęśliwości, które odmalowało się na jego twarzy. Jakby milion w totka wygrał. Tak bezcenne „kwadraciki" wczoraj bez opieki zostawił, a nikt obcy się nie połakomił. Co za radość!

Nie chciałem już mieć ponownych problemów z naszym Sławusiem. Wyznaczyłem spośród dziewczyn dwie pierwsze dyżurne do jego pilnowania. Ich zadaniem było dokładne przeliczanie wszystkich sztuk ubrania i obuwia na nim oraz trzymanych w ręku. Miały liczyć przy wyjściu z samochodu oraz po kąpieli, przed powrotem. Nawet nie napotkałem zbytniego oporu przed nałożonym obowiązkiem; nikt nie miał zamiaru uatrakcyjniać każdego codziennego wyjazdu kilkukrotnymi powrotami po jego zapomniane rzeczy.

Woda w zalewie była wspaniałym orzeźwieniem i odpoczynkiem po dniu pracy. Wykąpaliśmy się, popływaliśmy, zmyliśmy kurz i zmęczenie. Słońce pięknie grzało, nic tylko wypoczywać. Musieliśmy jednak wracać. Wsiadaliśmy do osinobusu pełni nadziei – wreszcie zjemy jajecznicę. Prawdziwą jajecznicę!

Zerknąłem na Sławka – służbistki rzetelnie wykonywały swoje obowiązki. Liczyły na Sławku wszystko, chociaż zapierał się, że nic „tym razem" nie zapomniał. Byłem przewidujący – po przeliczeniu oznajmiły, że brak jednej sztuki.

– Sławek, co zostawiłeś?

– Nic, panie komendancie. Przysięgam, że mam wszystko.

– Dziewczyny, nie pomyliłyście się?

– Na pewno nie. Każda z nas oddzielnie liczyła za pierwszym razem. Teraz też. Na pewno czegoś brakuje, tylko nie wiemy czego.

– A niech to… chodźcie tu wszyscy! Szukamy w promieniu trzydziestu metrów. Jeżeli Sławek coś zostawił, to leży gdzieś tutaj na plaży lub pod jakimś krzakiem.

Nie minęła minuta, a zguba się odnalazła – niedaleko leżała bluza robocza Sławka. Na siebie włożył czystą koszulkę polo, a kolejny dzień pracy miał przecież być jutro. Czy Sławuś musi o wszystkim pamiętać? Zwłaszcza o tym, co będzie potrzebne dopiero nazajutrz?

Już uspokojeni pojechaliśmy do sowchozu. Po drodze nie było okrzyku „zapomniałem!”, a więc dziewczyny dobrze wykonały postawione przed nimi zadanie. Pogratulowałem w myśli – im za pracę, sobie za pomysł. Dzięki temu szybko znaleźliśmy się przed stołówką. Cztery dziewczyny zaoferowały się usmażyć jajecznicę. Dodatkowo zrobiliśmy składkę pieniężną na dokupienie puszek mięsnych. Jak szaleć, to szaleć! Jajecznica będzie taka, jaka powinna być. Prawdziwa, nasza.

Wróciliśmy do siebie. Przezornie najpierw wszedłem na drabinkę sowchozowego prysznica. Nie byłem pewien, czy sytuacja z przedwczorajszego dnia nie powtórzyła się. Otworzyłem pokrywę beczki i zajrzałem do środka. Od razu

odczułem ulgę. Woda była nalana, lekko już nagrzana od słońca. Pomachałem z góry do dziewcząt patrzących na mnie z nadzieją w oczach, z uśmiechem kiwnąłem potakująco głową. Od razu się zaśmiały, chyba pierwszy raz od przyjazdu; niektóre aż zaklaskały. Jak czasem niedużo trzeba do małych radości!

Szybko pozrzucały z siebie wierzchnie odzienie i z piskiem zaczęły po kolei wskakiwać pod ciepły strumień wody. Mogły wreszcie porządnie umyć się pod prysznicem, zwłaszcza że chłopcom wystarczyła kąpiel w rzece. Zamiast przepychania się pod jednym sitkiem woleli na chwilę położyć się w pokojach. Po kwadransie podniosłem wszystkich:

– Idziemy, jajecznica czeka. Na pewno dziewczyny spisały się na medal.

Doszliśmy do stołówki. Już z daleka wyczuliśmy wspaniały zapach. Zapach, którego tak długo nie czuliśmy i o którym marzyliśmy – smażonych jajek, gorącego mięska, przysmażonej cebulki. Trudno opisać słowami, co wtedy poczuliśmy. Nareszcie! Wreszcie coś znajomego, pachnącego, coś, co lubimy. Moment wniesienia talerzy z jajecznicą był cudownym obrazem, godnym uwiecznienia pędzlem znakomitego malarza. Te zachłannie wyciągnięte ku talerzom ręce, te rozanielone twarze, z lubością wdychające zapach prawdziwego posiłku… Takiego obrazu długo nie da się zapomnieć.

Uczta. To była prawdziwa uczta. Pięć minut nie trwało, a po obiedzie nie było nawet śladu. Niektórzy bez

skrępowania wylizywali talerze do czysta. „Ten tylko to przeżył, kto wtedy był z nami”. Kochane dziewczyny, spisały się na medal. Szczerozłoty! Jedynie z głębi kuchni dochodziły mnie podniesione głosy kucharek:

– Widziałaś, Masza, kakaja rozpusta?! Adno jajco dwadcat’ piat’ kopiejek. Dwadcat’ piat’ kopiejek! A oni po dwa jajca na każdego dali. Bez niczego, ani kaszy, ani mąki. Nic. Gołe jajca usmażyli i zjedli! Jeszcze mięso dali do jajec. W głowie się nie mieści!

Skłamałbym, gdybym powiedział, że bardzo mnie interesowało, co sądzą kucharki o naszej rozpuście. Byłem zaaferowany ważniejszym zajęciem – właśnie do czysta glansowałem chlebem swój talerz. Nie wiedziałem, czy przed powrotem będziemy mieli możliwość jeszcze raz sprawić sobie taką ucztę.

Najedzeni i zadowoleni wróciliśmy do siebie. Jak mało nieraz trzeba człowiekowi do pełni szczęścia. Tak mało, a jednocześnie tak wiele to znaczy. Nasze cztery kucharki chłopcy zanieśli na ramionach od stołówki do baraku, prosto „na pokoje”. Zasłużyły stukrotnie. Ten dzień był świętem.

Świątecznie dałem wszystkim wolne.

– Odpocznijcie, zróbcie przepierkę, idźcie się przejść. Róbcie, co chcecie. Do kolacji wszyscy mają czas wolny. Pamiętajcie, że jutro po pracy i obiedzie jedziemy do Nowosybirska. Mamy tam jakieś spotkanie z władzami, ale później będziecie mogli pochodzić po sklepach.

Mało kto jednak się wylegiwał. Większość wyszła na przechadzki. Przychodzili do nas również miejscowi, zarówno młodzi, jak i starsi. Coraz bardziej mi się to nie podobało. Zacząłem podejrzewać, że nie przychodzą wyłącznie w celach towarzyskich. Moja młodzież przy wyjeździe z Polski miała naprawdę mocno wypchane bagaże. Nie chciałem być zbyt dociekliwy; w Polsce w tym czasie brakowało wielu rzeczy, większość z wyjeżdżających za granicę Polaków jechała nie tylko w celach turystycznych. Mogłem przymknąć oczy na mały handelek. Obawiałem się jednak, aby nie wynikły z tego handlu z miejscowymi jakieś nieprzyjemności. Na to zaś nie mogłem sobie pozwolić, nie byliśmy przecież zwykłą wycieczką. Postanowiłem o tym porozmawiać z moją młodzieżą, gdyby „wycieczki" stały się zbyt ostentacyjne. Nie chciałem mieć dodatkowych kłopotów, wystarczały mi dotychczasowe.

Wczesnym wieczorem udaliśmy się do stołówki. Kolacja szybko sprowadziła nas na ziemię, przywróciła poczucie tutejszej rzeczywistości. Kucharki dalej utrzymywały równy poziom i nie odeszły od niego nawet na jotę. Swój czy obcy, kakaja raznica? O wysokości tego poziomu już wiedzieliśmy. Zjeść jednak zjedliśmy, już się przyzwyczajaliśmy.

Wieczorem ponownie poszedłem do komandira szkolników, z małym „rozmownym" poczęstunkiem pod pachą. Przyszedł też miejscowy milicjant, z którym dotąd zamieniłem ledwie kilka oficjalnych słów. Była okazja lepiej się poznać; to było potrzebne i mogło się przydać. Jak się

dowiedziałem, u nich w każdej wsi był jeden stały milicjant, rekrutowany przeważnie spośród mieszkańców. Nie było to dziwne, musiał znać wszystkich i miejscowe stosunki. Nasz okazał się całkiem miłym, sympatycznym młodym chłopakiem. Miał z dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Szybko zaproponował:

– Przepijemy? Wot, mów mi Wania.

Z dala od domu dobrze mieć miejscowych po swojej stronie. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka znajomość może się przydać. To sprawa przezorności. Stuknęliśmy się stakanikami, przepiliśmy. Jak to u Rosjan było w zwyczaju, większość nie używała kieliszków, tylko małych szklaneczek – stakaników. Na wsi nowinki nie przyjmowały się szybko, o czym już wiedziałem od dyrektora. Widocznie kieliszki też uznawano za nowinki. Ot, takie miastowe fanaberie.

Po spełnieniu w miarę przyjemnego obowiązku „zadzierzgiwania osobistych więzów przyjaźni między przedstawicielami obu bratnich narodów” wróciłem lekkim krokiem do swojego pokoju. To był pierwszy tak nudny dzień, prawie nie było żadnych nieplanowanych atrakcji. Nawet Sławusia udało się przypilnować. Byłem zadowolony. Nie spełniło się, przynajmniej tego dnia, chińskie życzenie – obyś żył w ciekawych czasach – ciekawych dni miałem do tej pory aż nadto.

Wyciągnąłem się na łóżku i, jak zwykle u mnie, w pięć minut zasnąłem snem sprawiedliwego.

Rozdział 7.

Nowosybirsk

Poranek znowu przywitał nas upałem. Przy porannych ablucjach cudownie lodowata woda powodowała, że zęby szczękały – raz o siebie, innym razem o kubek przy ich płukaniu. Śniadanie, o dziwo, było dużo lepsze – pojawił się nawet kawałek kiełbasy i żółty ser. Niechybnie prezent od dyrektora, oznaka, że dziś jedziemy do ich władz w Nowosybirsku. Kucharki na pewno miały następny temat do rozmowy, ile to „dzieńgów idzie na tych Polaków kosztem naszych”.

Hans przyjechał jak zwykle punktualnie. Pojechaliśmy na inne pole, ale robota ta sama; rozpoczął się kolejny dzień pielenia. Znowu miałem problemy z niektórymi – po godzinie przynieśli kilka połamanych narzędzi. Dziwne było, że akurat psuły się tym samym osobom, co w poprzednim dniu. Musiałem kolejny raz prowadzić wyjaśniające rozmowy. Dwie dziewczyny miały ponownie dosyć pracy w polu, wolałyby już wrócić do domu. Dobrze wiedziały, że

paszport mamy zbiorowy, że nikt nie może sam wrócić… ale one nie i nie. One wracają! Machnąłem zniecierpliwiony ręką:

– No to wracajcie, dziewczyny, droga wolna! – Przestałem się nimi przejmować. Pomogło, za chwilę wróciły do pracy.

Narzekania tych, którzy w domu nie byli przywykli do fizycznej pracy, ich chwilowe „nieplanowane przerwy w pracy” stały się już dla mnie normalnością. Zacząłem je traktować jak okresowo powtarzający się ból głowy, dokuczliwy, ale z którym można pracować. Trzeba umieć go tylko zneutralizować i przeczekać. Neutralizowałem go więc i przeczekiwałem. Niestety, nasza wydajność pracy nie zwiększała się, dalej oscylowała na poziomie pięćdziesięciu procent normy przewidzianej dla miejscowych. Jakby moi zablokowali się na tym poziomie. Co będzie pod koniec miesiąca pobytu, kiedy przyjdzie do wypłaty naszego zarobku? Wiedziałem już, ile mamy dostać, ale pensja była obliczana na sto procent wykonanej normy.

Wreszcie minął czas dzisiejszej pracy, Hans znów przyjechał równo o godzinie piętnastej. Jeszcze ani razu nie spóźnił się nawet o minutę. Zebraliśmy narzędzia i własne rzeczy, wsiedliśmy i pojechaliśmy nad rzekę. To była najprzyjemniejsza część naszych dni – kąpiel, trochę pływania, wylegiwanie się na piasku i trawie. Na szczęście nie musiałem już przestrzegać przed zbyt intensywnym opalaniem się w czasie pracy i nad wodą. Nauczka z pierwszego dnia została dobrze zapamiętana. I tak już

skóra przyciemniła nam się wyraźnie; powoli zaczęliśmy wyglądać jak Europejczycy z południa naszego kontynentu. Jeżeli taka słoneczna i skwarna pogoda utrzyma się do końca pobytu, to po powrocie będą mogli nas pomylić z Włochami, Grekami czy Hiszpanami.

Po kąpieli usadowiliśmy się w samochodzie. O dziwo, nowo wyznaczone dziewczyny do dyżurowania przy Sławusiu oznajmiły, że nic tym razem nie zapomniał. Pomny poprzednich doświadczeń, poleciłem jeszcze raz, aby przeliczyły każdą rzecz na Sławku i w jego rękach. Dalej się zgadzało. Tym razem nic nie zostawił na plaży ani w krzakach. Czyżby nasz wyjątkowy chłoptyś zaczął normalnieć? Wolałem jednak nie ryzykować. Zbyt dużo mnie już nerwów kosztował, wolałem więc dalej dmuchać na zimne – postanowiłem nie rezygnować z wyznaczania dyżurnych przy nim.

Co dzisiaj przygotowała nam stołówka na obiad? Wspomnienie wczorajszego wspaniałego posiłku z jajecznicy to już było tylko wspomnienie. Postęp jednak zauważyliśmy – kucharki zaczęły wreszcie lepiej doprawiać potrawy. Nie mieliśmy już w ustach bezsmaku. Zresztą po kilku dniach fizycznej pracy nasze żołądki zaczynały przede wszystkim domagać się bardziej obfitości posiłku, mniej jego jakości. Wysublimowaną francuską kuchnię można smakować po zaproszeniu na wernisaż, a nie po kilkugodzinnym waleniu motyką w wyschniętą ziemię.

Po powrocie do baraku poleciłem przebrać się na wyjazd do Nowosybirska. Na planowaną godzinę zebrałem

grupę i oniemiałem. Dziewczyny wystroiły się jak na bal.

– Moje panie, w coście się poubierały?!

– Miałyśmy się przecież przebrać – zaoponowała jedna z dziewczyn.

– Ale nie tak! Nie jedziemy przecież na zabawę sylwestrową ani na raut u prezydenta. Do teatru też nie jedziemy.

– To kiedy będziemy mogły się pokazać?

– Pokazać, pokazać… jeszcze będzie na to czas. Paznokcie, fryzury, to jeszcze mogę zrozumieć. Ale te wystrzałowe sukienki, te szpilki na nogach? To tym miałyście wypchane walizki? Rozumiem, że chcecie się pokazać. Ale nie dzisiaj. Daleko zajdziecie w tych szpilkach z zakupami w rękach? To po pierwsze. Po drugie, mówiłem już, że najpierw będziemy mieli spotkanie z władzami tego województwa. Domyślam się, co o tym myślicie, też nie lubię oficjałek. Ale pewne rzeczy trzeba przyjąć jako dopust boży i je przetrzymać. Przebierajcie się więc w normalne ciuchy. Zamiast bluzek obowiązkowo nasze mundurki. Na spotkaniu trzeba je mieć na sobie, musimy porządnie wyglądać jako hufiec. Po trzecie, kiedy się rozejdziecie po sklepach i zagubicie, to będzie łatwiej was odnaleźć na ulicy. Nawet przy pomocy milicji. Oby nie, ale lepiej przewidywać. Sławek, jest taki upał, że nie musisz brać kurtki. Wystarczy mundurowa koszula.

– Panie komendancie, ale ja wcale nie chciałem…

– Dobra, wiem, że nie chciałeś. Tak mi się tylko powiedziało. Dziewczyny, na co jeszcze czekacie? Czas

ucieka. Wróćcie i przebierzcie się.

Obawiałem się ich protestów, namów, tłumaczeń, ale nic takiego nie nastąpiło. Widocznie i moje dziewczyny zaczęły w przyspieszonym tempie dojrzewać do Syberii, rozumieć ograniczenia i uwarunkowania naszego pobytu. Inaczej słucha się opowiadania o żelaznym wilku w zaciszu domowym, inaczej na własnej skórze odczuwa się bezpośrednie z nim spotkanie.

Po kilkunastu minutach miałem już hufiec porządnie ubrany, w jednolitych koszulkach-mundurkach. Całkiem ładnie wyglądali, nie było się czego wstydzić. W sam czas podjechał nasz osinobus. Hans okazał się kolejny raz porządnym facetem – w środku siedzenia były umyte, okna lśniące, podłoga wyczyszczona. Można było spokojnie usiąść, bez obawy o wybrudzenie spodni i spódnic.

Wszyscy weszli do środka, wsiadłem do szoferki i ruszyliśmy. Kilkanaście kilometrów piaszczystej drogi szybko przejechaliśmy, przed samym miastem pojawił się nawet asfalt. Wjechaliśmy w rogatki nieoficjalnej stolicy Syberii, potem na jej główną arterię. Gdybym o tym nie wiedział, to bym ją pomylił z pasem startowym lotniska – asfaltowa ulica była szeroka na dobre trzydzieści metrów i ciągnęła się przed nami na przestrzał przez kilka kilometrów. Miałem przykład tych słynnych „syberyjskich miar” – wszystko tu było „bolsze”. Miejscowi nie mogli narzekać na ciasnotę w mieście, na brak przestrzeni. Budynki z obu stron były od siebie oddalone na ponad sto metrów, między nimi a ulicą były jeszcze pasy zieleni

i szerokie chodniki. Stały na przemian wieżowce z wielkiej płyty oraz domy pięciopiętrowe, o jedną kondygnację wyższe niż u nas. Podobno, według ich przepisów budowlanych, mogły być bez windy. Zastosowana technologia wielkiej płyty była ta sama co i u nas, więc i budynki podobne do naszych; tyle że z jednym piętrem więcej. Widocznie miejscowi projektanci uważali, że jak starszy mieszkaniec wdrapie się na czwarte piętro, to i na piąte powolutku doczłapie. Emeryt czy rencista nie musi się śpieszyć, ma mnóstwo czasu na wspinaczkę. Młodszym też przyda się trochę ruchu. Prawie jak u nas. Wystarczyło jednak spojrzeć w okna, zobaczyć w wielu z nich gazety zamiast firanek i już człowiek wiedział, że tu nie jest Polska.

Rozglądałem się na boki z szoferki samochodu. Spojrzałem przed siebie. A niech to! Jak oni tu jeżdżą?! „Lotniskowa arteria” nie miała namalowanego ani jednego pasa rozgraniczającego kierunki ruchu. Samochodów na ulicy było sporo – osobowe, furgonetki, ciężarówki mniejsze i większe. Niby podobnie jak u nas, ale jednak inaczej – każdy z samochodów jechał, jak chciał, nikt nie trzymał się w linii kolumny. Jeden odstawał metr w lewo, drugi dwa metry w prawo. Z naprzeciwka jechali podobnie. Dobrze, że kierowcy pamiętali chociaż o przestrzeganiu prawostronnego ruchu. Niektórzy się śpieszyli i trąbiąc, wyprzedzali slalomem inne samochody, raz z lewej, innym razem z prawej strony. Tak jak było im wygodniej, bez baczenia na przepisy.

– Co tu u was jest, Hans? Nie zdążyli wymalować po zimie od nowa pasów na jezdni? Przecież już lipiec.

– Jakich pasów? Ach… nigdy tu pasów nie było.

– I tak wszyscy jeżdżą? Nikt nie utrzymuje się w kolumnie?

– Taki zwyczaj.

– A wypadki? Przy takim czymś pewnie jest sporo.

– No są. Zwyczajnie, są samochody, to są i wypadki.

Ot, filozoficzne, stoickie podejście do życia. Jednak Hans, mimo niemieckiego pochodzenia, przesiąkł trochę inną, nieeuropejską mentalnością. Są samochody, to są i wypadki. Jakbym znalazł się w jakimś Bombaju czy Kalkucie, z hinduskim fatalizmem i zdaniem się na łaskę losu. Ale przecież to nie Indie, a już Syberia. Inna kultura, ale bliższa naszej. Dlaczego więc nie malują zwykłych pasów? Tak małym kosztem bezpieczeństwo na ulicach by się zwiększyło.

Nie był to jednak mój problem, zresztą nie miałem dużo czasu na rozważania. Podjeżdżaliśmy właśnie pod budynek ich lokalnej władzy. Widoczny był z daleka, zbudowany w stylu neoklasycznym. Przed wejściem czekał już na nas przewodnik; przywitaliśmy się i poszliśmy za nim. Zaprowadził nas do dużej sali. Na środku królował ogromny stół na kilkadziesiąt osób, z blatem pokrytym politbiurem, to znaczy politurą. Słońce odbijało się w nim jak w lustrze. Na stole stały termosy z kawą i herbatą, na talerzykach były wyłożone ciasteczka.

W sali czekało już kilkuosobowe miejscowe naczalstwo. Jeden z nich wyszedł nam naprzeciw, podał mi rękę, przedstawił się i zagaił:

– Witajcie, serdecznie witamy, miło was poznać. Siadajcie. Jak się u nas czujecie? Jak zapoznajecie nasz kraj, Syberię? Wielkie u nas przestrzenie, co?

– Mnie też jest miło. Przyzwyczajamy się. Przyrodę macie piękną. A przestrzenie są naprawdę ogromne. Wystarczy spojrzeć na mapę, ale trzeba to zobaczyć na własne oczy, aby poczuć tę wielkość.

Nie przeczyłem, przestrzenie u nich wielkie, ziemi na Syberii nie brakuje; z tym mogłem się zgodzić. Nie byłem tu jednak prywatnie, na gościnnych występach. Wolałem więc zacząć od czegoś innego, bardziej oficjalnego. Wyjąłem z teczki suweniry, metaloplastykę z wizerunkami naszych miast. Okazało się szybko, że też byli przygotowani, nawet lepiej niż ja. Wymieniliśmy między sobą drobne upominki.

Po wymianie kurtuazyjnych uprzejmości spróbowałem w dalszej rozmowie przemycić moje spostrzeżenia i uwagi. Przyjmowali je uprzejmie, jak gospodarzowi wypadało. Wyraźnie byli dobrze zorientowani „w temacie pobytu i pracy Polaków w sowchozie”. Po chwili rozmowy byłem już trochę zdegustowany. Liczyłem, że uda mi się więcej spraw nas trapiących załatwić, jednak gorzkie żale nie zrobiły na nich większego wrażenia. Pewnie ich informatorzy podobnie poskarżyli się na nasze „burżujskie” wymagania. Dyplomatycznie napomykając o chęci wywiezienia przez polską młodzież z Syberii miłych wspomnień, udało mi się

wreszcie załatwić kilka drobniejszych spraw. Gospodarze zapewnili mnie też, że będę mógł co kilka dni uzyskać połączenie z Polską, z telefonu zainstalowanego w moim pokoju. To już obiecał mi wcześniej dyrektor sowchozu, ale przynajmniej otrzymałem zapewnienie, że będę miał priorytet w połączeniach. Dobre i to.

Po półgodzinie rozmowy główny gospodarz nagle mi zaproponował:

– Towarzyszu komendancie, a może chcecie teraz porozmawiać z Polską? Ode mnie będzie dużo szybciej, poczekacie na połączenie najwyżej godzinę–półtorej. Zajmiemy się waszą grupą w tym czasie.

– Dziękuję za propozycję, ale mamy dzisiaj mało tego czasu. Moi chcą poznać miasto, pochodzić po nim. W innej sytuacji z chęcią bym skorzystał.

– Jak uważacie. W razie czego możecie liczyć na naszą pomoc.

W miejscowych warunkach połączenie w ciągu godziny–półtorej musiało być naprawdę bardzo szybkie. Jednak aż tak na natychmiastowej rozmowie z moją władzą w kraju mi nie zależało. Dużo na odległość nie pomogą, jakoś sobie na początku radzę. Problemy, które występowały, musiałem rozwiązywać sam; po to zostałem wysłany. Wolałem więc grzecznie odmówić miejscowemu szefowi. Szkoda mi było też marnować czas na siedzenie i oczekiwanie na otrzymanie połączenia. Po drugie, wolałem w innych warunkach rozmawiać z moim szefostwem w kraju, na osobności. Nie miałem złudzeń co do zachowania tajności

moich przyszłych telefonicznych rozmów, ale chciałem mieć przynajmniej minimum odosobnienia.

Gospodarz nie naciskał i reszta spotkania minęła już w miłej, chociaż dalej dość formalnej atmosferze. Dowiedziałem się jeszcze, że w soboty i niedziele będą nas obwozić po obozach studentów, odpracowujących obowiązkowy miesiąc na polach sowchozów, oraz po pionierskich „łagieriach”. To był u nich jeden z najważniejszych punktów przy planowaniu przyjmowania gości – obowiązkowe odwiedziny w miejscowych organizacjach i instytucjach, gdzie na pewno zostaniemy przez oficjeli i zebranych uczestników serdecznie przywitani.

Na zakończenie wizyty gospodarze poprosili mnie o powstanie i przypięli do bluzy mundurowej kilka odznaczeń i mniejszych odznak. Nie wiem, czym na nie zasłużyłem, ale były bardzo ładne. Mieli w tym zwyczaju już kilkadziesiąt lat praktyki – lepiej zamiast dodatkowego wynagrodzenia wyróżnić zasłużonego człowieka plakietką czy odznaczeniem. Taniej i na pewno ładniej. Jakby taki wyróżniony wyglądał z przypiętym do piersi banknotem sturublowym?

Podziękowałem za wyróżnienie, przyjmując je w imieniu całego polskiego hufca. Przeszkadzać nie przeszkadzały, za to od razu wyglądałem na bardziej ustosunkowanego. Przypuszczałem, że nie są to ostatnie „blaszki”, które tu otrzymam. Mogły się jeszcze przydać. Jednak nawet nie przewidziałem, jak bardzo…

Wreszcie skończyła się oficjalna część wyjazdu do miasta. Pożegnaliśmy się z miejscowymi szychami władz i wyszliśmy z budynku. Mieliśmy mieć pozostałą część popołudnia wyłącznie dla siebie. Dziewczyny od dłuższego czasu aż przebierały nogami. Wiedziałem, czemu się niecierpliwią.

– Hans, teraz jazda do centrum. Tam, gdzie macie dużo sklepów.

– Na zakupy?

– A na co? Nie wiecie, co jest najważniejsze dla kobiet? Prędzej zrezygnują z czego innego niż ze sklepów. Zwłaszcza w innym kraju.

– Ha, ha, ma komendant rację. Piętnaście młodych kobiet na głowie to częsty ból tej głowy.

– Mam ten ból, mam. To jak posiadanie dużego haremu, ale bez związanych z tym przyjemności. Same obowiązki. Wolałbym mieć tylko chłopaków, połowa problemów by odpadła. Ale cóż, życie jest jedno, ale płcie są dwie.

– Co prawda, to prawda. U Arabów mają jedno i drugie.

– Chciałbyś mieć taki harem?

– A w życiu! Czasem jedna daje tak popalić, że przyjemności wybije z głowy. A kilkanaście? To już wolę jedną.

– I więcej ci u nas nie pozwolą oficjalnie mieć. Jak widzisz, są plusy i minusy. Do tego w islamie musiałbyś je utrzymywać. Stać by cię było na to?

– Gdybym był arabskim szejkiem…

– Ale nie jesteś. Ja też nie. Więc zostańmy przy jednej kobiecie.

– Oficjalnej…

– To ty powiedziałeś. Jak cię na to stać…

– Ha, ha, nie trzeba wtedy wszystkich utrzymywać.

– Dobra, lepiej uważaj na drogę. Kurde, jak u was jeżdżą. Chcę ze wszystkimi wrócić zdrowymi.

Jechaliśmy w sznurze samochodów. Nagle już z daleka, po lewej stronie skrzyżowania, do którego dojeżdżaliśmy, zobaczyliśmy zbiegowisko ludzi. Zwolniliśmy i podjechaliśmy, wymijając kierującego ruchem milicjanta. Spojrzałem i aż mnie ciarki przeszły; widok był makabryczny – w bok tramwaju wbił się Ził, duża wywrotka załadowana gruzem. Zmiażdżył blachy tramwaju, który złamał się prawie w pół. Na asfalcie było widać duże plamy krwi. Lekarze właśnie opatrywali rannych, sanitariusze wynosili poszkodowanych do karetek pogotowia. Krzyki, szlochy, nawoływania, wycie syren. Spojrzałem wymownie na Hansa.

– Tak się zdarza – westchnął ze stoickim spokojem.

– Ale tragedia. Zdarza się i u nas. Tyle że chyba mniej. Popatrz, jak tutaj jeździcie. Brak pasów, każdy jedzie jak chce, trąbi, wpycha się. Nie chcę się wymądrzać, ale to też powoduje dużo wypadków.

– Ech…

– Jedź już dalej, bo mi się dziewczyny pochorują od tego widoku.

Naprawdę Hans już tak się uodpornił, że mało go taka tragedia wzrusza? Pewnie widział niejeden podobny wypadek. Spojrzałem w tył do kabiny – moje dziewczyny pozasłaniały oczy, chłopcy wyglądali przez okna, ale też wyglądali nieswojo. Każdego z nas ten widok wstrząsnął.

Jak dowiedziałem się później, w tym tragicznym wypadku zginęło kilka osób, a kilkanaście było rannych. Dobrze, że nie mieliśmy dużo czasu na oglądanie; milicjant niecierpliwie nakazywał nie zatrzymywać się i szybciej przejeżdżać.

Pojechaliśmy więc dalej, do centrum miasta. Tam zebrałem grupę i poinformowałem:

– Teraz wszyscy mają dwie godziny wolnego czasu. Tylko się nie pogubcie. Spotykamy się w tym samym miejscu. Dwie godziny, ani minuty dłużej.

– Panie komendancie, jaki straszny wypadek. Nie mogłam na to patrzeć – wtrąciła się jedna z dziewcząt.

– Widzieliśmy wszyscy. Tragedia dla rodzin. Lepiej tego jednak nie rozpamiętywać, bo w nocy nie zaśniecie. Tak jak powiedziałem, macie dwie godziny wolnego. Zapamiętajcie nazwy tych dwóch ulic na skrzyżowaniu. Gdyby ktoś się zagubił, niech zapyta miejscowych o te ulice. Aha, Asia i Ewa, dzisiaj wy chodzicie razem ze Sławkiem. Nie dyskutujcie, na was wypadła kolej. Nie martwcie się, pójdziecie, gdzie chcecie. To on będzie chodził z wami, a nie wy z nim. Sławek, idziesz z dziewczynami. Spróbuj się oddalić od nich na metr, to nie wiem, co z tobą zrobię. Zapamiętaj, idziesz z nimi i wpierw tam, gdzie Asia i Ewa

chcą. A wy dziewczyny, kiedy już się obkupicie, to pójdziecie tam, gdzie Sławek będzie chciał. Przynajmniej ponosi wasze zakupy. I do wszystkich mówię, przypominam, że nie zdejmujemy koszul. To nasz jedyny znak rozpoznawczy, widoczny z daleka. No, to na co czekacie? Czas ucieka.

Grupa szybko się rozeszła. Ze mną poszło kilka dziewczyn, papużek nierozłączek. Były to te bardziej nieśmiałe; przy mnie czuły się pewniej. Nie chciały się zagubić w ogromnych przestrzeniach obcego miasta. Na szczęście w centrum budynki były blisko siebie, zabudowa gęstsza, bardziej przypominała nasze europejskie miasta. Nie byłem jeszcze specjalnie zainteresowany zakupami, więc chodziłem jak Sławek – tam, gdzie dziewczyny miały chęć pójść. Szybko się domyśliłem, czego szukają, kiedy tylko jedna z nich się odezwała:

– Panie komendancie, znajdźmy aptekę albo drogerię.

– To chodźmy przed siebie. Na pewno znajdziemy, a jak nie, to spytam kogoś.

To była jednak stolica Syberii, więc sklepy były naprawdę dobrze zaopatrzone. Aptekę szybko sami znaleźliśmy. Nie zawiedliśmy się, była zaopatrzona w „cywilizacyjne nowinki”. Zakupiły dziewczyny to, czego ostatnio tak bardzo pożądały – duże ilości waty. Prawie cały miesiąc pobytu był jeszcze przed nami, więc lepiej, aby znów nie zabrakło. W sowchozie już się przekonaliśmy, że nie ma co liczyć na zakupy w ich sklepie.

Z już uspokojonymi spacerkiem dziewczynami poszliśmy ulicą dalej. Najważniejszy artykuł pierwszej potrzeby już zakupiły, nigdzie nie musieliśmy się śpieszyć. Zaglądaliśmy do sklepów po drodze – zaskoczyła nas obfitość towarów, zarówno spożywczych, jak i przemysłowych. Półki były pełne i żadnych kolejek kupujących, do których byliśmy w Polsce przyzwyczajeni z powodu ciągłego braku towarów. Poczuliśmy się trochę, jakbyśmy znaleźli się na Zachodzie. Tyle że w kieszeniach mieliśmy ruble, a nie zachodnie marki, funty czy dolary. Widocznie władza radziecka w dalszym ciągu lepiej zaopatrywała w towary duże miasta niż mniejsze miejscowości czy wsie. Różnica sama rzucała się w oczy; widzieliśmy w sowchozie, co można było tylko kupić w tamtejszym sklepie.

Oprócz pełnych półek czymś jeszcze różniły się ich sklepy od naszych – w każdym z większych, obojętnie, spożywczym, przemysłowym czy z towarami AGD – było też stoisko z sokami. Stały tam charakterystyczne przezroczyste słoje, po trzy lub cztery obok siebie, w formie odwróconych stożków, wąskich i wysokich na metr, z kranikiem na dole. Soki w nich były do wyboru – jabłkowy, wiśniowy, ananasowy, również z innych owoców południowych, których rosyjskie nazwy nic mi nie mówiły. Ceny za szklankę soku były umiarkowane, więc zaczęliśmy kupować i pić w każdym takim sklepie. Lekko schłodzony, świetnie gasił nasze pragnienie wywołane upałem panującym w mieście. Najbardziej jednak smakował mi

napitek, który pamiętałem z lat dzieciństwa, kiedy mama sama robiła go w domu na lato – pyszny kwas chlebowy. U nas nie do kupienia, tutaj można go było dostać w sklepach, ale równie często był sprzedawany na ulicy, prosto z samochodu-cysterny.

Szliśmy bez pośpiechu dalej, od sklepu do sklepu. Po drodze dołączyło do naszej gromadki kilku chłopców. Mimo że zakupy odłożyłem na późniejsze dni, z ciekawością rozglądałem się po półkach sklepowych. Jeszcze jedno mnie zaskoczyło – w sprzedaży była ogromna ilość towaru produkcji japońskiej. Szybko się jednak zreflektowałem – Syberia była zapleczem surowcowym nie tylko dla swego kraju, lecz także dla Japonii, nieposiadającej prawie żadnych własnych surowców. Do Nipponu Sybiracy sprzedawali konserwy rybne, drewno, węgiel i inne bogactwa, w które ich ziemia była przez naturę obficie zaopatrzona. Stamtąd zaś płynęły statki pełne przemysłowego dobra. Moim chłopcom aż oczy się zaświeciły; rzucili się zwłaszcza na japońskie elastyczne, składane teleskopowo wędki z włókna szklanego. Złożone mierzyły ledwie metr, rozłożone sięgały na pięć. Takiego cuda w Polsce jeszcze nie widzieliśmy. Chłopcy byli zapalonymi wędkarzami i nasłuchałem się ich zachwytów nad tym „ustrojstwem”, które od razu kupili.

Nie brakowało też sprzętu radiowo-telewizyjnego oraz AGD, produkcji radzieckiej. Mnie samemu wpadł w oko aparat fotograficzny „made in USSR”, z malutką lampą błyskową. Była schowana w obudowie, do pstryknięcia

zdjęcia wysuwało się ją jednym ruchem. Długo się nie zastanawiałem i kupiłem ten aparat, nie nadwerężając zbytnio swojego budżetu. Nie planowałem robić nim na miejscu zdjęć – nasłuchałem się, że podobno na granicy dokładnie sprawdzają wszystkie naświetlone błony fotograficzne. Nigdy nie wiadomo, co celnikom może się nie spodobać na zdjęciach. Odpowiadałem za grupę, więc wolałem nie ryzykować.

Zrezygnowanie z wykonywania zdjęć nie było wtedy dobrą decyzją; po latach żałowałem tego.

Kiedy zobaczyłem, ile sprzętu zaczęła kupować moja młodzież, zacząłem się zastanawiać, skąd mają tyle pieniędzy. Brali radzieckie i japońskie radioodbiorniki, magnetofony, aparaty fotograficzne; nawet małe, turystyczne czarno-białe odbiorniki telewizyjne. Przebierali w sklepach do wyboru, do koloru. Niektórzy z mojej gromadki robili po kilka kursów do naszego samochodu i z powrotem. Jak my się z tym bogactwem zabierzemy? Jeżeli i inni tyle pokupowali, to możemy mieć kłopot. Mniej się obawiałem o powrót do sowchozu. Przyjechaliśmy osinobusem, miejsca jest w nim dosyć, zmieścimy. Ale jak wrócimy z całym zakupionym towarem do domu, do Polski?

Naprawdę dużo pieniędzy niektórzy wzięli ze sobą. Kiedy jednak przypomniałem sobie zawody i stanowiska tatusiów, przestałem się dziwić. Każdy z nas miał przy sobie wymienioną oficjalnie liczbę rubli; załatwiłem też dla wszystkich zaliczkę na konto wypłaty u dyrektora sowchozu. Reszta, a właściwie większość pieniędzy to

widocznie było dodatkowe kieszonkowe od rodziców. Ja, komendant hufca, kupiłem tylko aparat fotograficzny i słodycze, a moi uczniowie po kilka sztuk sprzętu za naprawdę poważne pieniądze. I kto tu komu mógł zaimponować?

Przewóz zakupionego sprzętu do domu był jednak zmartwieniem dopiero na przyszłość. Teraz uzupełnialiśmy jeszcze zakupy słodkościami, chałwą, cytrusami. Kto pamięta tamte czasy w Polsce, wie, dlaczego czuliśmy się, jakbyśmy niespodziewanie znaleźli się w Sezamie. Sam kupiłem pięć kilogramów orzeszków arachidowych oblewanych lukrem oraz inne smakołyki. Chciałem, jak i inni, zawieźć to słodkie bogactwo do domu.

Bardzo bliska przyszłość pokazała, że nikt z nas nie wytrzymywał długo w postanowieniu. Dziwnie szybko, w miarę jak mijały kolejne dni w sowchozie, zapasy zakupionych słodyczy błyskawicznie się kurczyły. Na szczęście mogliśmy je uzupełniać podczas kolejnych pobytów w mieście.

Dwie godziny, które przeznaczyłem na zakupy, szybko minęły. Wróciłem z moją gromadką dziewcząt i chłopców, inni też powoli nadchodzili. W oddali widziałem już ostatnią grupkę w naszych mundurkach. W porządku, chyba nikt się nie zagubił. Po przypatrzeniu się zaniepokoiła mnie jednak ta ostatnia grupka, w której widziałem też wyznaczone dyżurne do pilnowania naszego roztrzepanego Sławka. Opiekunki były, tylko nie mogłem dojrzeć naszego dryblasa,

wyrastającego zawsze wzrostem nad innymi. Sławusia nie widziałem!

Kiedy tylko podeszli bliżej, moje zaniepokojenie przemieniło się w skrajne zdenerwowanie – dziewczyny były zapłakane. Próbując mówić spokojnie, zapytałem:

– Dziewczyny, gdzie jest Sławek?

– Paa… panie komendancie, pilnowałyśmy go, ale… – łkając, zaczęła jedna.

– Co ale? Przestań szlochać i mów, gdzie wam zginął.

– Pilnowałyśmy go cały czas, ale jak weszłyśmy na chwilkę do sklepu z damską odzieżą, to…

– Na chwilkę weszłyście? Taa, na chwilkę. Ale przecież miał być cały czas z wami! W sklepie się zgubił?

– Nie. Do poprzednich sklepów wchodził z nami, ale do tamtego już nie chciał. Powiedział, że usiądzie na murku przed sklepem i poczeka na nas. Solennie obiecał.

– No tak. Weszłyście tylko na chwilkę. Co ja wam mówiłem?! Długa była ta chwilka?

– Tylko pół godzinki, nie więcej.

– O matko naturo! No dobrze, przestańcie się już mazgaić. Wszystko jasne. Rozumiem, że jak wyszłyście, po Sławku nie było śladu.

– Właśnie. Pobiegłyśmy w jedną i drugą stronę, ale nigdzie go nie było. No to wróciłyśmy, bo pan komendant przecież kazał wrócić na czas.

Byłem niesamowicie wkurzony, nawet mniej na dziewczyny, a bardziej na samego siebie. Dlaczego popełniłem taki głupi błąd? Przecież mogłem przewidzieć,

że moje panienki dostaną amoku, kiedy zobaczą sklepy pełne rzeczy tak pożądanych przez każdą kobietę. Dzisiaj wypadł dyżur Asi i Ewy, ale przecież mogłem go zamienić i wyznaczyć chłopaków do pilnowania Sławusia w mieście.

Mleko już się jednak rozlało. Czasu mieliśmy jeszcze dużo, ale bez odnalezienia dryblasa nigdzie nie można było się ruszyć. Zostawiłem kilka osób pod opieką zastępczyni przy samochodzie. Pozostałym poleciłem szukać zguby w promieniu kilometra, ale tak, aby nie stracili z oczu naszego samochodu. Nie miałem zamiaru później szukać kolejnej zguby w obcym mieście.

Rozeszliśmy się. Po półgodzinie, wyznaczonej na poszukiwania, wszyscy wrócili. Niestety, z zerowym efektem. Sławka jak nie było, tak nie było. Nie mogłem dłużej bezowocnie czekać, zdecydowałem się.

– Krzysiek i Piotrek, zostaniecie tutaj i kołkiem siedzicie. Nie ruszajcie się z miejsca, może Sławek sam tu dotrze. Pozostali wsiadają do osinobusu. Hans, jedziemy na komendę milicji.

Powoli wchodziliśmy do samochodu, gdy nagle powietrze rozdarł przenikliwy pisk jednej z dziewczyn:

– Jest, jest!!! Widzę niebieski mundurek! Tam! – Wzniesiona ręka wskazała nam kierunek.

Spojrzałem, osłaniając dłonią oczy przed słońcem. W oddali, po drugiej stronie ulicy, dobre sto pięćdziesiąt metrów od nas, zobaczyłem biegnącą ciężkim truchtem zwalistą sylwetkę.

– Sławek, Sławek! Tutaj! – na wyścigi zaczęła krzyczeć cała grupa. Usłyszał, przystanął, zobaczył nas, przebiegł ulicę i ostatkiem sił dobiegł do samochodu. Ciężko dysząc, oparł się rękoma o własne uda, otwartymi ustami chwytając w płuca gorące letnie powietrze.

– Gdzieś ty był?!

– Pa… panie komendancie, ja, jaa… czekałem na dziewczyny. Aa… ale tak długo nie wychodziły ze sklepu, że… że… postanowiłem się przejść kawałek. A jak wróciłem, to dziewczyn nigdzie nie było. Ani przed sklepem, ani w środku. To zacząłem ich szukać. No i zabłądziłem.

– Nie pamiętałeś, co mówiłem?! Kiedy ktoś by się zagubił, miał spytać miejscowych o skrzyżowanie ulic. Tu, gdzie stoi nasz samochód. Dlaczego nie pytałeś?

– Bo zapomniałem.

– Spytać zapomniałeś?! Sławek, a niech cię…

– Nie. Zapomniałem nazw ulic.

– Nazwy ulicy Lenina zapomniałeś? I drugiej? Przecież jesteśmy w centrum przy głównych ulicach. Jakie mogą tu być inne nazwy? Dobra, przestań dychać jak parowóz. Jak nas w takim razie odnalazłeś?

– No, biegałem po różnych ulicach, w ciemno. Bałem się, że mnie zostawicie i odjedziecie. I tak biegałem, aż usłyszałem, jak mnie wołacie.

– Ciebie, Sławuś, mielibyśmy zostawić? Co my byśmy bez ciebie poczęli? Jesteś przecież naszym oczkiem w głowie. Widzicie? Gdyby nie mundurki, które poleciłem

wam włożyć, moglibyśmy Sławka nie dostrzec. Chyba przywiążę od jutra dyżurnych do ciebie. Dobrze, koniec z tym. Przestańcie na niego krzyczeć! Jest, i to najważniejsze. To jak? Co teraz robimy? Mamy jeszcze kilka godzin wolnego czasu. Wracamy już do sowchozu?

– Panie komendancie, zostańmy. Pochodźmy jeszcze. Jesteśmy w mieście, a w sowchozie nie ma co robić – młodzież była wyjątkowo zgodna.

– Dobrze, to zostajemy. Może jednak wpierw Hans powozi nas trochę po Nowosybirsku. Więcej zobaczymy niż na piechotę. Potem, jeżeli będziecie chcieli, możemy jeszcze pochodzić. Dzisiaj nic nas nie gna, nie musimy się śpieszyć.

Zdałem się na Hansa; pojechaliśmy wolno przed siebie. Właściwie nie było dużo do oglądania. Jakiś charakterystyczny budynek, muzeum, pomników bez liku. Jak w każdym innym dużym mieście na świecie. Jedyną różnicą były te syberyjskie miary – wszystko dość daleko od siebie oddalone, wszystko duże. Nawet rzeka była „skrojona” według wielkości syberyjskich. Gdyby nie samochód, nie zdążylibyśmy zobaczyć nawet cząstki Nowosybirska. Poczuliśmy się jak prawdziwi turyści, wożeni tu i tam. Słońce, nasz nieodłączny towarzysz od początku przyjazdu, jeszcze grzało nam twarze, ale już nie prażyło. Pogoda była w sam raz na turystyczną przejażdżkę.

W jednej z dzielnic handlowo-usługowych zrobiłem małą przerwę na lody. „Morożenoje”, jak tu je nazywali, były naprawdę wspaniałe, o różnych smakach, do wyboru, do koloru, i bardzo tanie. O takich lodach u nas w tym

okresie nie można było nawet marzyć. Wszyscy zaczęli je kupować i smakować jeden po drugim. Byłem zmuszony przemówić niektórym do rozumu:

– Opanujcie się. Nie jesteście dziećmi, a obżeracie się lodami, jakbyście w życiu ich nie jedli. Chcecie załatwić sobie gardła? Dwie dziewczyny jeszcze nie wróciły ze szpitala. Nie mam zamiaru wysyłać kolejnych jutro na podmianę.

– Ale takich lodów u nas nie ma.

– Dzięki temu może mniej chorujecie w domu, co? Nie jestem waszą niańką, ale miarkujcie z jedzeniem.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta, mieliśmy więc jeszcze trochę czasu. Kolację tego dnia wstępnie umówiłem dopiero na dwudziestą trzydzieści, z zaznaczeniem, że możemy być trochę później. Nie chciało nam się jeszcze wracać – temperatura zrobiła się bardzo przyjemna, idealna na spacer. Zresztą zmierzch w tej strefie czasowej w lipcu zapadał godzinę później niż u nas, dopiero po dwudziestej trzeciej. Zaproponowałem:

– To co, może przejdziemy się trochę? Co będziemy o tej porze robić w sowchozie? Najeździć jeszcze się najeździmy. Domy wszędzie podobne, na oficjałki też będą nas wozić, nie unikniemy tego. Teraz zaś mamy czas tylko dla siebie. Zakupy porobione, listy i kartki do domu wysłane. To jak?

Wszyscy potakująco kiwnęli głowami. Ruszyliśmy przed siebie spacerowym krokiem, w stronę słońca. To był pierwszy prawdziwie wycieczkowy spacer od momentu przyjazdu. Dopiero teraz zrozumieliśmy, że bez własnego

samochodu lub komunikacji miejskiej pieszy nigdzie by na czas nie zdążył. Chyba że wyszedłby kilka godzin wcześniej. Przeszliśmy jedną przecznicę, potem następną, aż wyszliśmy na inną arterię, poprowadzoną prosto na przestrzał. Kolejna bardzo szeroka ulica, wyglądająca jak pas startowy lotniska; nowe wieżowce mieszkalne po obu stronach były oddalone od siebie na ponad sto metrów. Nawet chodnik miał dobre trzy metry szerokości.

Odwróciłem się do moich i pokazując ręką ulicę, biegnącą prosto, jak narysował ją przy liniale projektant, opowiedziałem im zapamiętaną anegdotkę. W drugiej połowie XIX wieku car kazał zbudować pierwszą w Rosji linię kolejową, z ich ówczesnej stolicy, Petersburga, do Moskwy. Podobno sprowadził nawet z Zachodu inżynierów kolejnictwa. Po pół roku ich wezwał, aby dowiedzieć się, ile już wiorst kolei położyli. Ci zaczęli tłumaczyć carowi, że na razie rysują plany, którędy tory poprowadzić. Przecież po drodze są wzgórza, miasta, sioła, rzeki i inne przeszkody. Muszą to wszystko dokładnie uwzględnić w projektowaniu trasy i na to potrzebują jeszcze dużo czasu. Kiedy car to usłyszał, spurpurowiał z wściekłości. Nakazał przynieść mapę Rosji, wziął długi liniał, przyłożył do mapy, narysował prostą linię od Petersburga do Moskwy – tak ma iść kolej! Car każe, rab słucha. Poprowadzili więc inżynierowie tory przez środek miast, wyburzając przeszkadzające budynki, zasypywali bagna, niwelowali wzgórza. Prostą trasą, jak car narysował. Tylko w jednym miejscu linia tworzyła łuk, akurat tam, gdzie był pusty teren, bez żadnych przeszkód

terenowych. Tyle, że w tym miejscu carowi przy rysowaniu na mapie wystawał palec poza obrys liniału. Car tak narysował, car każe, sługa rozkaz cara wykonać musi bez głupich pytań.

Po puencie cała moja grupa wybuchnęła śmiechem; wyraźnie nastrój wszystkich się poprawił. Ulżyło i mnie, bo pojawiła się nutka optymizmu. Może następne dni nie będą już tak uciążliwe? Może to pierwsze oznaki przywykania podopiecznych do miejscowych warunków? Przydał się ten wypad do miasta. Przestali myśleć o pracy, do której nie byli przyzwyczajeni ani przygotowani, zapomnieli o odparzeniach, bąblach, zmęczeniu mięśni i zdrowych dla ciała, ale twardych łóżkach.

Poszliśmy dalej przed siebie, w stronę widocznego kilometr przed nami, stawianego nowego wysokiego biurowca lub hotelu. Budynek miał już z dwadzieścia pięter. Zwróciłem się do młodzieży:

– Dojdziemy do tego wieżowca i wrócimy. Na dzisiaj wystarczy. Pewnie już wszyscy jesteście głodni.

Kiedy doszliśmy na sto metrów od wieżowca, doszło do naszych uszu czyjeś wołanie, stłumione przez odległość. Trudno było zrozumieć, coś jak: „…ichuu! …ichuu!” Zażartowałem:

– Zupełnie jakby ktoś mnie po polsku, po imieniu wołał. Dobre, co? Jesteśmy cztery tysiące kilometrów od domu, a mnie się zdaje, że ktoś do mnie woła. Jak to echo człowieka może zmylić.

– Panie komendancie, ale niech pan spojrzy, tam, na szczyt tego budowanego wieżowca! – Jeden z chłopców wskazał mi kierunek.

Wytężyłem wzrok. Dostrzegłem sylwetkę człowieka wyraźnie machającego rękoma. I znów doszło jeszcze raz wołanie:

– …ichuu! …ichuu!

Co jest, naprawdę mam złudzenia? Znów zdawało mi się, że ktoś wykrzykuje moje imię po polsku.

– Do mnie woła czy co? Dobra, idziemy pod ten wieżowiec. Wygląda, jakby ktoś na nas machał i do nas krzyczał. Pewnie jakaś pomyłka, ale przecież nikogo innego tu nie ma. Podejdźmy, zresztą i tak tam chcieliśmy dojść.

Ruszyliśmy szybszym krokiem. Osobnik, który machał rękoma, wszedł do windy towarowej zainstalowanej przy ścianie budynku i zaczął zjeżdżać. Nie przestawał machać, tym razem już wyraźnie w naszą stronę.

Spotkaliśmy się na dole prawie równocześnie. Mężczyzna wybiegł z windy, krzycząc po polsku:

– Zdzichu, to naprawdę ty?! A niech mnie! Skąd się tu znalazłeś?!

Zaskoczony, przyjrzałem się obcemu uważnie. Rysy twarzy jakby znajome, chociaż sylwetka za bardzo nie pasowała. Czyżby to był…

– Heniek?

– Ja, byku krasy! Ja chromolę, od podstawówki się nie widzieliśmy, a spotkaliśmy się w środku Azji. Ale zdarzenie! Co tu robisz?

– Heniek, to naprawdę ty! W pierwszej chwili nie poznałem, poprawiłeś się, jak widzę.

– Mówisz o wadze? Trochę przytyłem. No i tyle lat. Byliśmy przecież wtedy dzieciakami.

Otarłem pot, początkowe zaskoczenie już mi minęło. Niesamowite spotkanie, to naprawdę był kolega ze szkoły podstawowej; prawie dwadzieścia lat się nie widzieliśmy. Kto by pomyślał – Polska była dla nas za duża na spotkanie, a Azja okazała się tak malutka, że nie było możliwości, aby na siebie nie wpaść. Sprawdziło się powiedzenie, że życiem ludzkim rządzi przypadek.

Nie bawiliśmy się już w dalsze ceregiele i przywitaliśmy się serdecznie. Usiedliśmy wszyscy na chwilę. Rozradowany Heniek nie przestawał perorować. Jak się okazało, wieżowiec budowała firma budowlana z Polski, z Bydgoszczy. Kolega pracował w niej od wielu lat i skorzystał z atrakcyjnego finansowo i zaopatrzeniowo wyjazdu. Przebywał na kontrakcie już kilka miesięcy. Nie było tutaj jemu i kolegom źle, doskwierała jedynie odległość od domu i rozłąka z rodzinami. Byli skazani na listy przychodzące z miesięcznym opóźnieniem, chyba że akurat ktoś z nich leciał do Polski lub wracał z kraju. Z uzyskaniem połączenia telefonicznego mieli też duże problemy. O tym jednak już sam wiedziałem.

– Dobra, Heniek. Powiedz mi jednak, jak tyś mnie rozpoznał, tam, z wysoka? Przecież cholernie długo się nie widzieliśmy, byliśmy wtedy chłopakami. Do tego przecież to Azja, a nie Polska czy nawet Europa.

– Mówiąc szczerze, sam nie wiem. Akurat kończyliśmy robotę na dziś. Spojrzałem w dół i zobaczyłem waszą grupę. Szedłeś z przodu i coś mnie w twojej postaci zastanowiło. Nie wiem, twój chód czy też co innego. W każdym razie coś jakby znajomego. Przecież twojej twarzy nie widziałem z takiej odległości. Odwróciłem się do kumpli i rzekłem – zobaczcie, ten w dole wygląda jak mój kolega z klasy w podstawówce. Ha, ha, ale przecież nie jesteśmy w Polsce! No to oni do mnie – a krzyknij po imieniu, jak je pamiętasz. Cóż ci szkodzi. No to krzyknąłem. Wtedy spojrzałeś w górę, słońce cię oświetliło, i znów coś znajomego. Zacząłem się przypatrywać. Kiedy zaś podeszliście bliżej, to już prawie byłem pewny. A niech cię, ale spotkanie, co?! W kraju nie widzieliśmy się od podstawówki, musieliśmy aż w Azji na siebie trafić.

Był to naprawdę przypadek z tych wyjątkowych. Przecież nawet nie wiedziałem, że w Nowosybirsku są jacyś Polacy. Porozmawialiśmy dłuższą chwilę, opowiedziałem, dlaczego i jak znalazłem się tutaj z młodzieżą. Powspominaliśmy stare, szkolne dzieje.

Niestety, czas szybko mijał, pora była już późna. Napisałem na kartce Heńkowi mój adres, on dał mi swój; umówiliśmy się, że jeszcze spróbujemy się spotkać. Na odchodne dopowiedziałem:

– Do zobaczenia, mam nadzieję. Pozdrów od nas swoich kumpli z roboty.

Serdecznie się z nim pożegnałem i wróciłem do swojej młodzieży. Co za traf, co za spotkanie!

Do osinobusu wróciliśmy już szybszym krokiem. Na wieść o moim niespodziewanym spotkaniu Hans aż ze zdziwienia pokiwał głową. Czas było nam już jednak jechać. Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy z powrotem do sowchozu.

Ruch na ulicach miasta wciąż był spory. Udało się jednak Hansowi dość szybko przejechać przez centrum; zbliżaliśmy się już do przedmieść Nowosybirska. Przed nami jechała, jak dla mnie zbyt blisko, duża ciężarówka kraz z przyczepą, załadowana piaskiem.

– Nie siedź mu tak na ogonie, nie lubię, jak nic z przodu nie widzę – odezwałem się do Hansa.

– Zawsze tak jeżdżę, przecież widzę.

– Hans, odpowiadasz za samochód, a ja za ludzi w samochodzie. Puść go bardziej.

Zwiększył odstęp. Wjechaliśmy na wiadukt i w tym momencie usłyszeliśmy głośny zgrzyt, a potem trzask. Załadowana przyczepa kraza gwałtownie odbiła w lewo, następnie w prawo i znów w lewo, ponownie w prawo. Bujała się na boki jak wprawione mocno w ruch wahadło. Mało brakowało, a przewróciłaby się od gwałtownych zwrotów i przechyłów. Kierowca kraza gwałtownie przyhamował, całym samochodem także zarzuciło. Hans odruchowo nacisnął z pełną siłą na pedał hamulca. W środku osinobusu rozległy się krzyki i piski dziewczyn, kilkoro z młodzieży pospadało z siedzeń. Udało się, zatrzymaliśmy się dwa metry przed przyczepą. Niesamowite szczęście czy moje przeczucie? Uratowało nas

to zwiększenie odległości i przypadek, że nikt nie jechał z naprzeciwka.

Głęboko odetchnąłem, otarłem pot, który nagle wystąpił mi na czoło. Przed oczyma stanął mi tragiczny wypadek sprzed kilku godzin – ciężarówka wbita w bok tramwaju, zabici i ranni wynoszeni do karetek pogotowia. Mało brakowało, a sami zamiast świadkami bylibyśmy poszkodowanymi.

Wyskoczyliśmy z samochodu i podbiegliśmy do ciężarówki. Tamten kierowca także wysiadł. Wystarczył rzut oka, aby zrozumieć, co się stało – przyczepa miała sztywny hol w kształcie trójkąta. Czubem był przyczepiony do haka holowniczego kraza, pozostałe dwa końce do przodu przyczepy. Jeden z tych końców oderwał się, prawdopodobnie puścił spaw. Skutek widzieliśmy przed chwilą.

Jeszcze rozdygotany z nerwów Hans zaczął krzyczeć na szofera ciężarówki. Ja, już uspokojony, że dla nas skończyło się tylko na strachu i kilku siniakach, położyłem dłoń na ramieniu naszego kierowcy:

– Dobra, starczy, Hans. Wyrobiłeś, nie walnąłeś. To najważniejsze. Ruszamy, jedź tylko wolniej i ostrożniej. Na dzisiaj każdy chyba ma już dosyć wrażeń. Mam nadzieję, że dziewczyny jednak zjedzą kolację.

Kiedy spojrzałem w ich twarze, nie byłem już tego pewny. Nie z powodu spóźnienia, tylko ich wyglądu. Niektóre wyraźnie poszarzały, inne były blade i bliskie omdlenia. Tak, dzisiaj na pewno miały już dosyć silnych

przeżyć. Miał być taki przyjemny popołudniowy wypad do miasta, a kończył się jak u Hitchcocka. Na szczęście najedliśmy się tylko strachu.

Poleciłem wsiąść młodzieży do samochodu i pojechaliśmy. Aby rozładować napiętą atmosferę, zapytałem:

– Wysłaliście do domu listy i pocztówki? Tak? To świetnie. Jeżeli dobrze pójdzie, to zdążycie je w domu sami odebrać po powrocie.

Odpowiedzią był stłumiony śmiech. Na szczęście już wyjechaliśmy z miasta. Dalej była piaskowa wiejska droga, której byliśmy jedynymi użytkownikami; nie groziło nam już zderzenie z innym samochodem. Po krótkim czasie dojechaliśmy do sowchozu. Zjedliśmy szybko późną kolację i poszliśmy spać. Wrażeń jak na jeden dzień było aż nadto. Mnie nie robiło to różnicy, jak zwykle zasnąłem w kilka minut. Noc jest na spanie, a nie na ponowne przeżywanie minionych już zdarzeń.

Rozdział 8.

Nieodłączny atrybut pobytu — wizyty

Ranek niczym się nie różnił od poprzednich, znowu powitało nas słońce. Codzienny towarzysz, jak brat łata, jeszcze ani razu nie zapomniał o pokazaniu swojej pełnej, jaśniejącej oślepiającym blaskiem pucołowatej twarzyczki; nawet na chwilę nie chował się za chmurkę. Jakbyśmy przebywali na Saharze.

Był to jednak inny dzień niż dotychczasowe – wolna od pracy sobota. Tyle że wolna tylko od pielenia w polu, ale nieprzeznaczona na lenistwo. Gospodarze cały dzień już nam dokładnie zaplanowali. Mieliśmy odwiedzić dwa obozy pionierskie, jedną fabrykę czy też instytut naukowy, na zakończenie zaś jeszcze obóz studentów.

– Tam na was już czekają – zostałem poinformowany rano przy śniadaniu.

Odetchnąłem z ulgą, że tylko tyle. Nowosybirsk to ogromne miasto. Sam „Akademgorodok”, centrum nauki syberyjskiej, to wielka dzielnica pracowników i naukowców. Poprzedzielana lasami i połączona szosami, powstała z siedmiu wcześniej odrębnych osiedli. Ta jedna dzielnica była jak duże miasto. Poza nią fabryk, zakładów naukowo-produkcyjnych i instytutów było jeszcze do wyboru, do koloru. Nie narzekałem więc, mogli nam przecież jeszcze inne miejsca do odwiedzin zaplanować. Pewnie kierownictwa wielu z tych zakładów z chęcią by oglądnęły ludzi z dalekiej Europy. Taki przerywnik od codzienności życia w sercu Syberii. Na dzisiaj, na szczęście, gospodarze przewidzieli tylko cztery miejsca, gdzie miano nas ugościć. W zupełności na początek wystarczyło. Wiedziałem, że i tak co się odwlecze, to nie uciecze; były jeszcze kolejne soboty i niedziele.

Już rano na stołówce przekonaliśmy się, że to nie jest zwyczajny dzień. Zjedliśmy dużo lepsze śniadanie; dyrektor znów musiał nadwerężyć fundusz socjalny. To nie był nasz kłopot, a ze zmiany w jadłospisie byliśmy zadowoleni. Coś za coś – musieliśmy poświęcić wolną sobotę na obowiązkowe wizyty, to przynajmniej zjedliśmy porządny i dość smaczny posiłek.

Wystrojeni w nasze koszule-mundurki wsiedliśmy do osinobusu. Wiedziałem, jakie wrażenie na tuziemcach robią odznaczenia i w ilu sprawach mogą pomóc. Przypiąłem więc do mojej koszuli „blaszki”, którymi wczoraj zostałem odznaczony przez ich lokalne władze. Pyszniły się w słońcu

wszelkimi barwami, nadawały powagi i ważności osobie, która je nosiła.

Za kierownicą samochodu siedział dumnie rozpostarty nasz Hans. Podobnie jak wczoraj, był odświętnie wystrojony, w garniturze i pod krawatem. Po tym poznałem, że to znów ważny dla miejscowych władz wyjazd. Nie powstrzymałem się jednak od komentarza:

– Ho, ho! Widzę, Hans, że od wczoraj wreszcie zrozumiałeś, jakich dostojnych gości wozisz. Od razu wiadomo, że w samochodzie siedzą jakieś szychy.

– A komendanta to tylko szutki się trzymają. Dopiero bym się miał w robocie z pyszna, gdybym w codziennym ubraniu was woził do władz i po obozach.

– Miałbyś, na pewno. No dobra, jedziemy. Mam nadzieję, że obędzie się bez wczorajszych wrażeń.

Wszyscy wsiedli i pojechaliśmy. Wyjazd zaplanowałem na wcześniejszą porę, niż była potrzeba, aby zdążyć na godzinę pierwszej wizyty. Dlatego po przyjeździe do miasta mieliśmy jeszcze trochę wolnego czasu. Nie przepuściłem okazji – weszliśmy do sklepu muzycznego, który wczoraj był zamknięty. Znów zaskoczyła nas różnorodność utworów i wykonawców na płytach gramofonowych. Nie sama ich liczba, tylko posiadane w sprzedaży utwory – mieli, wydane u siebie, płyty bardzo dobrych artystów zachodnich, o których w Polsce mogliśmy tylko pomarzyć. Najlepsze piosenki z minionych kilkudziesięciu lat, wykonywane przez Franka Sinatrę, Deana Martina, Louisa Armstronga i wielu innych. Do tego płyty były bardzo tanie, kilkakrotnie tańsze

niż u nas. Widocznie Rosjanie nie słyszeli o prawach autorskich i tantiemach albo ich państwo dotowało sprzedaż. Mało nas to jednak interesowało; rzuciliśmy się do półek. Tym razem nie wstrzymywałem się już z zakupem na późniejszy czas. Kolejki miejscowych klientów nie było, ale doświadczenie krajowe było silniejsze – od razu kupiłem z dziesięć płyt.

Po zakupach pojechaliśmy w umówione miejsce, gdzie czekali już dzisiejsi gospodarze – oficjel z miejscowej władzy i przewodnik. Przywitałem się z nimi:

– Dzień dobry. Wszystko bez zmian? Od czego zaczniemy?

– Dzień dobry, towarzyszu komendancie. Nic się nie zmieniło. Możemy jechać. Czekają już na was.

Wsiedli i wskazali drogę – Hans zawiózł nas w pierwszej kolejności na ogromny plac miasta. Przy nim warszawski plac Defilad wyglądałby jak małe podwórko. Rozmiarami chyba mógł konkurować z placem Tiananmen w Pekinie. Na środku stał ogromny pomnik poświęcony, jak powiedział nam oficjel, bohaterom Wojny Narodowej.

Gospodarze wszystko dla nas już przygotowali – otrzymaliśmy wiązankę kwiatów z biało-czerwonymi wstążkami. Ustawiłem porządnie hufiec i poszliśmy złożyć kwiaty pod pomnikiem. Takie uhonorowanie poległych żołnierzy przez odwiedzających oficjalnych gości było nam znane, nie odbiegało od podobnych w Polsce i w innych krajach. Zaskoczyła nas tylko warta honorowa przed pomnikiem – trzymali ją nie żołnierze, tylko dziesięcio-,

góra dwunastoletnie dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Widać było, że to dla nich ogromne przeżycie – wystrojeni odświętnie w wyprasowane mundurki szkolne, dziewczynki z ogromnymi białymi kokardami we włosach, prężyli się dumnie, trzymając w rękach prawdziwe karabinki automatyczne Kałasznikowa.

Takiej warty honorowej jeszcze w życiu nie widziałem, więc ukradkiem z ciekawością się im przypatrzyłem. Po złożeniu kwiatów odeszliśmy na bok i – na prośbę oficjela: „Poczekajmy, za kilka minut będzie zmiana warty” – przystanęliśmy, aby popatrzeć. To było dla nas coś całkowicie nowego, nieznanego w kraju. Chwilę potem nastąpiła zmiana uczniowskiej warty honorowej. Na końcu podejścia do pomnika, w odległości kilkudziesięciu metrów, szła już nowa czwórka dzieci, prowadzona przez starszego chłopca. Maszerowali jak prawdziwi dorośli żołnierze – idealnie równo, rosyjskim krokiem defiladowym, z wyrzucaną do poziomu wyprostowaną nogą. Dokładnie tak samo, jak czasem pokazywali w telewizji, przy zmianie warty honorowej przy ich Grobie Nieznanego Żołnierza w Moskwie.

Nowa czwórka, z prowadzącym na czele, doszła do pomnika, zatrzymała się przy pełniących wartę, wykonała żołnierski zwrot w miejscu. Zwolniona warta odmaszerowała, ponownie prezentując idealny krok defiladowy. Widać było, że dzieci musiały to długo ćwiczyć. Wykonywały marsz z wielkim przejęciem, które malowało się na ich twarzach.

Byłem pod wrażeniem. Po zakończeniu zmiany uczniów zagadnąłem przewodnika:

– Pierwszy raz widzę przed pomnikiem wartę złożoną z dzieci, nie z żołnierzy. W Polsce takiego zwyczaju nie ma.

– U nas to normalne.

– A jak ich wybieracie? Uczniowie sami się zgłaszają czy jak?

– Nie. Pełnienie warty przed pomnikiem to największe wyróżnienie dla uczniów ze wszystkich szkół w Nowosybirsku. Dyrektorzy ich zgłaszają do władz. Tylko naprawdę najlepsi dostępują tego zaszczytu.

– Muszę przyznać, że pięknie się prezentują. Proszę przekazać im, że wprawili mnie w podziw. Zasługują naprawdę na uznanie.

– O, z przyjemnością im to powiem, ale później. Pierwsza warta już odeszła, a pełniącym nie wolno przeszkadzać.

– Oczywiście, to zrozumiałe.

Nie pytałem już więcej. Cóż, co kraj, to obyczaj.

Wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy dalej. Następnym punktem w sobotnim programie była duża fabryka. Jak poinformował przewodnik, był to jeden z ważniejszych zakładów naukowo-produkcyjnych na Syberii. Nie mówił konkretnie, co produkują. Gospodarze już czekali, przywitali nas w bramie fabryki i poprowadzili przez ogromną halę produkcyjną. Nie widziałem nic specjalnego ani ciekawego, tylko typowe tokarki, szlifierki, prasy i suwnice. I to ma być zakład, który prowadzi też

badania naukowe? Szliśmy przez zwykły wydział produkcyjny, a nie dział prototypów czy projektowania. Gospodarze nie wysilili się dla nas. Zwykłymi tokarkami chcą nas zadziwić?

Dość długo trwało, nim doszliśmy wreszcie do dyrekcji. Tu czekała nas miła niespodzianka – w sali konferencyjnej zobaczyliśmy duży stół, zastawiony nie tylko kawą i herbatą w termosach, ale i tym, co niezbyt często widzieliśmy – mnóstwem południowych owoców. Mieliśmy w pamięci obraz naszych sklepów w kraju, więc teraz syciliśmy oczy tym bogactwem, przygotowanym specjalnie dla nas.

– Prosimy, siadajcie, częstujcie się. Jak wam się u nas podoba?

Podobało się bardzo, sądząc po reakcji moich podopiecznych. Z wielką ochotą skorzystaliśmy z zaproszenia. Nie wnikaliśmy, czy gościnnym gospodarzom chodziło o nasze spojrzenie na ich kraj, czy też o zastawiony stół. Nas interesowały przede wszystkim owoce. Nie wypadało odmawiać zaproszeniu, szybko zajęliśmy krzesła. Miejscowe naczalstwo fabryki widocznie nie wiedziało o naszych problemach z zaopatrzeniem w prowiant w sowchozie. Otrzymali z góry prikaz przyjęcia młodzieży z dalekiej, zaprzyjaźnionej Polski, więc stanęli na wysokości zadania – czym chata bogata. Bardzo nam to odpowiadało.

Ciąg dalszy wizyty był już przewidywalny. Pogawędziliśmy dobrą godzinę, nie zapominając o pałaszowaniu owoców. Mili ludzie, nawet bardzo mili,

zwłaszcza że jeszcze zapakowali nam do toreb resztę owoców. Jak zaznaczyli – na drogę. Trochę się wzbranialiśmy, ale nie wypadało odmówić; jeszcze gospodarze by pomyśleli, że nie jesteśmy zadowoleni z odwiedzin. Do tego nie mogłem dopuścić, w końcu nie przyjechaliśmy aż z innego kontynentu wyłącznie do pracy. Reprezentujemy w Nowosybirsku całą polską młodzież. Musiałem pamiętać o reperkusjach międzynarodowej wymiany. Młodzi Sybiracy byli przecież w tym czasie w Polsce. O ile orientowałem się w ich zwyczajach, pewnie prezentowali u nas wzorową postawę na pokaz i wszystko im się musiało podobać…

Przy pożegnaniu nastąpił stały punkt programu. Zostałem poproszony na środek sali, wypiąłem dumnie pierś, do której dyrektor fabryki przypiął mi kilka nowych odznaczeń. Zerknąłem na nie z góry kątem oka – prezentowały się bardzo ładnie. Pewnie zakładowe, a może nawet i resortowe. Co jak co, ale te metalowe błyskotki potrafili dobrze wykonywać. Byłem na to przygotowany; w rewanżu wręczyłem gospodarzowi kilka przywiezionych plakietek i metaloplastykę. Był bardzo zadowolony, na pewno znajdzie dla nich poczesne miejsce w swoim gabinecie.

Czas przeznaczony na wizytę się skończył. Pożegnaliśmy się z miłymi gospodarzami, dyrektor odprowadził nas aż do bramy. Na pewno była to forma wyróżnienia, nie każdego z gości odwiedzających zakład

spotykał taki zaszczyt. Dobrze być czasem cudzoziemcem z dalekiego kraju…

Zadowoleni z poczęstunku i toreb pełnych owoców, wsiedliśmy do oczekującego osinobusu. Usiadłem i dopiero na spokojnie mogłem przyjrzeć się dokładniej nowym blaszkom na mojej piersi. Naprawdę były ładne. Szczególnie jedno odznaczenie się wyróżniało – było pokryte błękitną emalią, na obwodzie widniała nazwa zakładu, a w samym środku pyszniła się złota rakieta startująca na słupie ognia. Cudo, świeciło się w słońcu jak prawdziwy klejnot wśród innych, pomniejszych. Zaraz tę odznakę umieściłem w bardziej godnym miejscu na mojej piersi – nad wszystkimi innymi. Cóż ten zakład produkował, że takim czymś mnie udekorowali?! Chyba nie rakiety, do takiej fabryki by nas nie wpuścili. Pewnie wykonywali ważne podzespoły jako poddostawca, może oprzyrządowanie. Symbolika odznaki o tym świadczyła, nie na próżno w centrum umieścili rakietę.

Przed nami był punkt trzeci dzisiejszego programu. Ruszyliśmy i pojechaliśmy dalej. Przewodnik poprowadził Hansa – minęliśmy miasto i wjechaliśmy w las. Po niedługiej jeździe stanęliśmy u bramy obozu pionierów, rozłożonego na dużej polanie. Bliżej ściany drzew były rozstawione duże zielone namioty. W środku stało kilka starych, drewnianych domków z pięknie rzeźbionymi okiennicami, werandami i poręczami. Dzieci już czekały na zapowiedzianych gości z dalekiej Polski – dwustu pionierów, ustawionych po wojskowemu w podkowę. Byli ubrani tak,

jak się spodziewałem – białe bluzki i koszule, ciemne spódniczki i spodnie, dziewczynki z ogromnymi białymi kokardami we włosach. Wszyscy na szyi mieli zawiązane obowiązkowe czerwone pionierskie chusty.

W bramie powitał nas dość młody komendant obozu. Przywitaliśmy się z jego kadrą. Gospodarz poprosił, aby mój hufiec stanął w szyku na czwartym, wolnym boku czworokąta. Sprawiliśmy się szybko i zaczęła się część powitalna wizyty. Uroczyście wciągnięto na maszty flagi naszych państw, werbliści załomotali pałeczkami na bębenkach, chłopczyk stojący przy masztach odegrał na trąbce hejnał. Bardzo czyściutko, bez najmniejszego fałszu w melodii, z przejęciem. Zuch chłopak! Kolejne punkty programu wizyty były do przewidzenia – nastąpiły przemówienia starszyzny obozowej i głośne powitania gości przez wydelegowanych pionierów. Musiałem i ja przemówić. Pozdrowiłem miłych gospodarzy, podziękowałem za serdeczne przyjęcie. W końcu ich komendant zakrzyknął i w odpowiedzi usłyszeliśmy nieodłączne: „Urrra! Urrra! Urrra!” – tym razem nie w ataku na wroga, tylko na cześć młodzieży przybyłej z dalekiej, zaprzyjaźnionej Polski.

Oficjalna część wizyty była dość uciążliwa, ale wytrzymaliśmy. Obawiałem się o zachowanie mojej młodzieży, jednak spokojnie postali w dwuszeregu. Takie uroczystości to jak tran wmuszany przez nasze troskliwe mamusie w dzieciństwie – mdły obowiązek, ale do przetrawienia.

Wreszcie zakończyła się część powitalna. Gospodarze zaprosili nas, abyśmy zwiedzili ich obóz. Poprowadzili alejkami usypanymi z białego żwirku, pokazali mozaiki, kunsztownie ułożone z różnokolorowych kamyków i szyszek. Tutaj nie było niczego, czego byśmy nie znali. W obozach harcerskich w Polsce, także w skautowych w innych krajach – wszędzie było podobnie, tylko hasła i obrazy były inne.

Moja młodzież zaczęła się wyraźnie nudzić. Nie wypadało tego okazywać, ale nawet ja już miałem dosyć; wolałbym wolną sobotę inaczej zagospodarować. Na szczęście nasz czas był ograniczony i wyliczony co do minuty – mieliśmy jeszcze w planie odwiedziny dwóch obozów, pionierskiego i studenckiego. A program to rzecz święta! Zwłaszcza u nich. Nasz przewodnik pilnował punktualności – znacząco wskazał komendantowi pionierów na swój zegarek. Pomogło. Skręciliśmy do stołówki i zjedliśmy jeszcze wspólny obiad. Kiedy po posiłku poproszono wszystkich o ustawienie się w dwuszeregu, a mnie o wystąpienie naprzód, domyśliłem się, jaki będzie ostatni punkt odwiedzin. Moja pierś wzbogaciła się o kilka nowych blaszek. Poczułem, że koszula stała się znacząco cięższa. Trochę się zaniepokoiłem. Moja mundurowa bluza coraz bardziej przypominała średniowieczną bojową kolczugę, coraz mniej prześwitując niebieskim płótnem. Zwłaszcza po lewej stronie, chroniąc to, co biło mi najcenniejszego w piersi.

Zrewanżowałem się komendantowi obozu naszą metaloplastyką. Rzuciłem jeszcze okiem na drewniany domek, pięknie rzeźbiony w rustykalnym stylu, i zagadnąłem swoich:

– Chodźcie, zrobimy sobie wspólne zdjęcie. Siądźmy na stopniach tego domku, tu będzie ładnie.

Usiedliśmy całą grupą, uśmiechnęliśmy się. Uczynny komendant pstryknął aparatem zdjęcie. Gotowe, będziemy mieli pamiątkę.

– Zrobimy duże odbitki dla każdego i wam podeślemy, tawariszcz Zdisław – obiecał. Podziękowałem i wreszcie pożegnaliśmy się.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do kolejnego obozu. Znowu dwie godziny upłynęły na znanym nam już rytuale. Moja bluza znów przybrała na wadze. Jeszcze kilka takich wizyt i szwy mogą nie wytrzymać! Dobrze, że udało nam się wymówić od wspólnej kolacji:

– Dziękujemy, ale jeszcze studenci na nas czekają. Nie możemy się spóźnić.

Dojechaliśmy do nich, już trochę umęczeni poprzednimi odwiedzinami. Ich obóz był ukryty na małej polance nad jeziorem. Studentów nie było dużo, z trzydziestka chłopaków i dziewczyn. Od razu moi się ożywili – byli prawie w podobnym wieku, obyło się bez sztywnych powitań i przemówień. Krótko i luzacko nas przywitali, bez zbędnych ceregieli zapraszając do przygotowanego ogniska. Studencka wiara była sama sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Musieli, podobnie jak wszyscy

w regionie, odrobić miesięczną pańszczyznę przy robotach polowych. W pozostałym po pracy czasie byli jednak wolni jak ptaki. Formalnie jeden z nich, asystent na ich uczelni, był komendantem obozu. Tyle że tylko „na bumadze”. Bardziej był trochę starszym kolegą niż szefem. W swoim gronie sami wszystko ustalali.

Spotkanie u studentów okazało się najprzyjemniejszym punktem w programie dzisiejszych wizyt. Posiedzieliśmy przy ognisku, popiekliśmy kiełbaski, pośpiewaliśmy piosenki, nasze i rosyjskie. Gospodarze przygrywali na gitarze, bałałajce, akordeonie i harmonijce ustnej; mieli całą orkiestrę. Tego nam do tej pory brakowało! Nawet przydzielony do nas przedstawiciel władzy z Nowosybirska się rozruszał, chociaż początkowo krzywo patrzył na taki brak zrozumienia „ważności międzynarodowych odwiedzin”, okazywany przez studentów. No jak tak mogli? Prosto z marszu zapraszać do ogniska?! A gdzie przemowy? Szef studentów nie był jednak w ciemię bity – klepnął go w plecy i szybko wyprostował, wskazując z uśmieszkiem jemu i przewodnikowi miejsce przy ognisku.

Miło mijał nam u nich czas. Pod koniec ogniska jeden ze studentów, brodacz o potężnej posturze, wyraźnie rozochocony zaczął śpiewać Wysockiego. Pozostali studenci podchwycili i zaczęli wtórować. Bez najmniejszej obawy, na pełen głos. Widać byli już zachłyśnięci „głasnostią” Gorbaczowa. To był dopiero pierwszy objaw pieriestrojki, który zaobserwowałem na Syberii. Rozpoczęła się ona już dwa lata temu, jednak Związek Radziecki to ogromny kraj.

Na wszystko potrzebny jest czas, ludzie tak szybko się nie zmieniali. Im dalej było od Moskwy, tym słabiej wiały nowe wiatry historii, tym wolniej zmiany się przyjmowały wśród starszych ludzi, lokalnych władz oraz urzędników. Tacy przeważnie nie lubią gwałtownych zmian. Natomiast studenci, jak we wszystkich krajach, byli za „uskorenijem”, czyli przyspieszeniem. Ich nie interesowało, jak było dawniej. Ich interesowało, co zmieni się teraz i jak będzie w przyszłości.

Próbowaliśmy śpiewać razem ze studentami; niektórzy z nas znali pieśni Włodzimierza Wysockiego. Sławuś od razu się włączył – strasznie fałszował, ale przecież nikt nie jest we wszystkim dobry. Miał za to inne walory. Do tego dzisiaj nigdzie się nie zgubił, nie stworzył żadnych problemów. To już był z jego strony wyraźny postęp w nauce życia w naszej grupie.

Tym razem czas minął nam zbyt szybko. Chętnie byśmy jeszcze posiedzieli, gospodarze nie mieli nic przeciwko temu, ale musieliśmy wracać. Serdecznie się z bracią studencką pożegnaliśmy, umówiliśmy na jeszcze jedno, nieplanowane wcześniej spotkanie. Obyło się tym razem bez wręczania kolejnych odznaczeń, zostawiłem im za to kilka plakietek z metaloplastyki, z wizerunkami naszych miast.

To była ostatnia, najprzyjemniejsza z wizyt, które zaplanowali nam gospodarze na sobotę. Pomachaliśmy studentom na pożegnanie i odjechaliśmy. Poprosiłem Hansa, aby jechał spokojnie; chciałem wrócić do sowchozu

bez żadnych niespodzianek i zdarzeń. O dziwo, biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, nic się nie zdarzyło w powrotnej drodze.

Po przyjeździe do sowchozu chciałem wypocząć. Jutro była niedziela i planowane leniuchowanie, ale całodzienny wyjazd i oficjalny program, który przygotowali dla nas gospodarze, był dość męczący. Młodzież sprawiła mi jednak niespodziankę. Dowiedziała się, że w sowchozowym domu kultury zaczęła się cosobotnia zabawa. Kiedy tylko rozeszła się wśród nich wieść o tym, od razu zaczęli mnie nagabywać:

– Komendancie, pójdźmy, pobawimy się trochę. Należy nam się przecież.

– Nie macie na dzisiaj dosyć? W samochodzie już spaliście, a teraz…

– A teraz chcemy skoczyć na zabawę. Przecież musimy zobaczyć, jak się tutaj bawią. I sukienki wreszcie założymy!

Dziewczyny sukienki wreszcie założą! To był argument nie do zbicia; pewnie miały całe walizki fatałaszków. Ustąpiłem, mimo że bardziej myślałem już o łóżku niż tanecznych podskokach. Moje biedniachy pewnie marzyły od kilku dni o wystrojeniu się i zaszpanowaniu wśród miejscowych. Niech im tam będzie, chcą, to idziemy.

– Dobrze, umyjcie się i przebierzcie. Za pół godziny wychodzimy. Nie zapomnijcie wziąć pieniędzy na bilety. Pani Aniu, pani też idzie? Nie? Czy ktoś jeszcze chce zostać? Nikt więcej? No proszę, a tak ciągle narzekacie, że jesteście zmęczeni. Tylko… dziewczyny, mam prośbę. Nie

chcę być ojcem chrzestnym za dziewięć miesięcy. Nie chichoczcie pod nosem. Nie jestem waszym stróżem, ale lepiej, żeby żadna nie przywiozła nieplanowanej pamiątki z Syberii.

Wszyscy pobiegli do swoich pokojów. Przebrałem się i ja. Kiedy wszyscy byli gotowi, poszliśmy spacerkiem na sowchozową zabawę. Dziewczyny się wyszykowały, wyraźnie chciały zaszpanować. Ale miałem eleganckie panienki! Mogły od razu startować na misski, przynajmniej tutaj.

Niedaleko mieliśmy do domu kultury, ledwie kilka minut drogi. Przy drzwiach stała grupa miejscowych, część z nich już znaliśmy z widzenia. Rozstąpili się, a bileter machnął do nas zachęcająco:

– Paljaki, wchodźcie, dla was darmowe wejścia. Towarzysz dyrektor tak zarządził, na wszystkie zabawy u nas. Chciałem już chłopaka po was posyłać.

To była przyjemna niespodzianka. Weszliśmy do środka. Muzyka już grała, miejscowy disc jockey nie oszczędzał na wzmacniaczach. Spodziewaliśmy się miejscowego folkloru, a usłyszeliśmy znane zachodnie przeboje. Globalizacja kulturowa zawitała nawet do centrum Syberii. Długo nie trwało, a moje dziewczyny ruszyły do tańca w rytm głośnej muzyki. Były stęsknione zabawy, wreszcie mogły się wyszaleć.

Disc jockey puszczał też przeboje rosyjskich idoli młodzieżowych. Nagrane były według „wsiemirnoj mody”, tylko język je odróżniał. To był kolejny paradoks, który mnie

zaskoczył – mieliśmy od tygodnia do czynienia z niewspółczesną w naszej ocenie mentalnością starszych Sybiraków, urzędową obrzędowością w stylu socrealistycznym, a jednocześnie młodsi bawili się już w rytm dyskotekowej zachodniej „burżujskiej” muzyki.

Starałem się mniej tańczyć, mimo że przy wolniejszej muzyce co chwila jakaś dziewczyna prosiła mnie do tańca. Takim zaproszeniom nie mogłem odmówić. Ograniczałem tylko swój udział w grupowych tańcach przy szybkich, dyskotekowych rytmach. Znałem nasze zabawy na wsi; różnie się one kończyły, kiedy tancerze zbyt dużo wypili. Tutaj dochodziło jeszcze normalne zainteresowanie moimi dziewczynami ze strony miejscowych chłopców. Nie odmawiały, chętnie z nimi tańczyły. Cały czas byłem więc czujny. Widziałem, że co chwila któryś z nich wychodził na zewnątrz i po chwili wracał. Domyśliłem się powodu, znałem ten ich zwyczaj, spowodowany regulaminem obowiązującym na takich zabawach – w środku nie wolno było pić alkoholu, więc wyskakiwali na zewnątrz „na stakanika”.

Niepotrzebna była moja czujność. Przez całą zabawę nie było najmniejszych incydentów, nikt się nie upił, nie awanturował. Dyskoteka zakończyła się późno w nocy. Ogłuszony głośną muzyką i zmęczony długim dniem, marzyłem już tylko o spaniu. Dziewczyny i chłopcy też chyba mieli dosyć, ale wracali zadowoleni. Nareszcie się wybawili.

Zmęczony, szybko się umyłem i wskoczyłem do łóżka. Jutro niedziela, więc wypocznę. Będę miał błogi spokój. Poleniuchujemy, pojedziemy nad Morze Obskie, może uda mi się dłużej popływać. Słońca na pewno nie zabraknie, będzie znów grzać, tak jak od początku naszego przyjazdu. Dotąd nawet chmurki na niebie nie widzieliśmy.

Ostatnią myślą, która przebiegła mi przez głowę przed zaśnięciem, było natrętne przeczucie. Coś za spokojnie dzisiaj było, nawet Sławuś się nie zgubił. Złożyłem to jednak na karb dotychczasowych niemiłych doświadczeń. Czym się martwię? Powinienem być zadowolony, że wreszcie jest spokojniej. Zasnąłem szybko snem sprawiedliwego.

Rozdział 9.

Mocna głowa

Niedzielny poranek przywitał nas, jak zwykle, piękną bezchmurną pogodą. To był pierwszy od przyjazdu prawdziwie wolny dzień. Bez nużącej pracy, bez obowiązkowych, zorganizowanych wizyt. Cieszyłem się na ten dzień jak dziecko. Słońce, woda i luz. Cóż trzeba więcej w tak piękną lipcową niedzielę?

Zjedliśmy śniadanie. Jadłospis nie różnił się od poprzednich, ale – o dziwo – już nie było dąsów. Wszyscy zjedli posiłek bez marudzenia, wyraźnie się przyzwyczajali do miejscowego jedzenia.

Nadjechał Hans. Zabraliśmy rzeczy na plażę i pojechaliśmy. Wreszcie mieliśmy wypoczynek bez ciągłego zerkania na zegarek. Kąpaliśmy się, pływaliśmy, opalaliśmy. Na to ostatnie nie musiałem już zwracać dziewczynom uwagi, aby były ostrożne – dwie ich koleżanki nie wróciły jeszcze ze szpitala po udarze słonecznym w pierwszym dniu pobytu. Większą uwagę zwracałem na niektórych chłopców,

którzy zapewniali mnie, że są wytrawnymi pływakami. Nie miałem jednak chęci puścić ich samych. Zebrałem więc grupę tych „wytrawnych pływaków” i poszliśmy razem po wodzie kilkaset metrów dalej, aż dotarliśmy do dawnego koryta rzeki. Na szczęście woda była stojąca, zapora zatrzymywała nurt rzeczny. Mogliśmy spokojnie, bez obawy popływać.

Po kilku godzinach wylegiwania się nad zalewem wróciliśmy do sowchozu na obiad, a po posiłku znów wyjechaliśmy nad Obskoje Morie. Piękny dzień. Ponownie leniwie spędziliśmy czas nad wodą, aż do kolacji. Taki dzień był mi potrzebny – żadnych trosk, zmartwień, obowiązków, wykłócania się i rozwiązywania problemów.

Późnym wieczorem skończyliśmy plażowanie; słońce już tak nie prażyło. Dzień był jednak długi, kończył się dopiero przed dwudziestą trzecią. Po kolacji dałem wszystkim wolny czas, według własnego uznania. Część poszła na spacer po okolicy, inni zostali w pokojach. Znów zauważyłem wizyty wielu z miejscowych sowchoźników, zwłaszcza sowchoźniczek. Coraz bardziej mnie to niepokoiło. Już wcześniej się domyślałem, że miejscowi nie przychodzili wyłącznie w celach towarzyskich. Wielkość toreb w ich rękach na pewno nie służyła tylko do przynoszenia miejscowych smakołyków. Moi też nie same ubrania przywieźli w swoich przepastnych plecakach i walizkach. Granicę przekroczyliśmy bez kontroli bagażu, paradoksalnie dzięki opóźnieniu spowodowanemu szukaniem Sławusia; mundurki też się wtedy przydały.

Teraz jednak zbyt liczne odwiedziny miejscowych mieszkańców przestawały mi się podobać. Mogły z tego wyniknąć kłopoty. Zdecydowałem jednak przymknąć jeszcze oko na to, co się działo w pokojach młodzieży. Może byłem przewrażliwiony, a z drobnym międzynarodowym handelkiem liczyłem się już przed wyjazdem. Znałem realia życia, nasze i miejscowych.

Po zmroku poszedłem spać. Jutro miał się zacząć drugi tydzień pracy, drugi tydzień Syberiady. Twarde deski łóżka już mnie nie uwierały, szybko się przyzwyczaiłem. Od połowy minionego tygodnia wstawałem wyspany. Lekarze nie oszukiwali, kiedy zalecali takie spanie jako najbardziej zdrowotne. Choroby mnie na szczęście nie dopadały, nie narzekałem na zdrowie, ale lepiej nie zapominać o profilaktyce.

Wypoczęty po niedzielnym leniuchowaniu i zadowolony, że kolejny dzień minął bez nieprzyjemnych zdarzeń, szybko zasnąłem.

Poniedziałkowy ranek i nowy dzień roboczy niczym mnie już nie zaskoczył, nie było żadnych niespodzianek. Do nieuzasadnionych przerw w pracy ze strony tych samych kilku dziewcząt i chłopców zdążyłem się przyzwyczaić. Traktowałem je już jako nieodłączny folklor. Oni zaczynali swoje, ja powtarzałem swoje i po chwili wracali do pielenia zagonów. Te „przerwy” nawet urozmaicały mi monotonną, nużącą pracę.

O piętnastej przyjechał po nas Hans. W Polsce przed wojną regulowano zegarki według przyjazdu na stację

pociągów, tutaj mogłem to robić według naszego kierowcy. Znowu zajechaliśmy nad rzekę, zmyliśmy z siebie kurz, wykąpaliśmy się. Sławuś od wczorajszego dnia nie wywinął żadnego numeru, nie zagubił się, nic nie zostawił. Wyznaczeni do jego pilnowania dyżurni nie musieli nawet przejawiać zbytniej czujności. Rozleniwiałem się. Byłem zadowolony. Pierwszy tydzień dał mi wystarczająco porządnie w kość. Wyglądało, że kolejne dni będą już tylko jak koraliki nanizane na rzemyczek – identyczne, najwyżej z lekkimi odcieniami barw. Dotrwam spokojnie do końca pobytu i powrócę do domu. Widocznie pierwszy tydzień wyczerpał już zapas niespodzianek i kłopotów, przewidzianych przez los na cały miesiąc naszego wyjazdu.

Wróciliśmy do wsi i wpierw podjechaliśmy pod stołówkę. Spokojnie dzień mijał, pracę odbębniliśmy, teraz mogliśmy mieć czas wolny. Po obiedzie spacerkiem udaliśmy się w kierunku naszego baraku.

Weszliśmy do środka. Sam udałem się do swojego pokoju, z ulgą wyciągając się na łóżku. Chwilę odpocznę, a potem zobaczę, co z wolnym czasem zrobić.

Jak szybko się położyłem na łóżku, tak szybko z niego wyskoczyłem, usłyszawszy przenikliwe krzyki dziewcząt i wrzaski chłopców. Podziałały na mnie jak smagnięcie batem na konia. Wbiegłem do pierwszego pokoju dziewczyn:

– Czego wrzeszczycie?! Co się stało?!

– Okradli nas! Panie komendancie, okradli!

– Mnie aparat fotograficzny!

– A mnie złoty pierścionek z oczkiem z szafiru!

– Ja nie mam radia!

– A ja aż dwóch sukienek!

– Zaraz, uciszcie się! Po kolei. Na pewno nie macie? Może schowałyście w innym miejscu?

– Na pewno! Miałam pierścionek schowany w…

W tym momencie wbiegli do pokoju inni uczestnicy:

– Panie komendancie, okradli nas!

– Wiem już, wiem. Spokojniej. Co ci ukradziono?

– Torbę z rzeczami…

– A mnie szpilki, w których byłam na dyskotece!

– Ja nie mam wędki! Tej japońskiej, którą kupiłem w mieście!

– Mnie też taką zwinęli!

– A mnie portfel z rublami, miałem ponad sto!

Kakofonia wrzasków chłopców i pisków przeplatanych szlochami dziewcząt mało mnie nie ogłuszyła. Wziąłem głęboki oddech, przeciągnąłem ręką po twarzy:

– Przestańcie wrzeszczeć, nie jestem głuchy. Uspokójcie się na chwilę, dajcie pomyśleć. Drzwi rano pozamykaliście na klucz?

– Tak, tak! Dopiero jak wróciliśmy, to zobaczyliśmy że wszystko jest poprzewracane i powyrzucane!

– Ja miałem w poduszce schowane pięćdziesiąt rubli, to też ukradli!

– Prosiłem, przestańcie krzyczeć. Dajcie mi chwilę. Sam zobaczę. Wy nie dotykajcie niczego.

Obejrzałem zamek w drzwiach do pokoju dziewcząt. Nie było widocznych uszkodzeń. Oglądnąłem okno. Wszystko stało się jasne – klamki były wygięte od pchnięcia z zewnątrz baraku. Poszedłem obejrzeć w innych pokojach. W większości zamknięcia okien wyglądały podobnie. Ale co to były za klamki; bardziej klameczki, jak w drewutni. Nie były porządnym zamknięciem. Wiedziałem o tym, ale gospodarze na samym początku zapewnili mnie, że „u nas w sowchozie nie kradną, nie obawiajcie się”.

To jak to nazwać? Tylko zmianą właściciela przedmiotów, a nie kradzieżą?! Może jeszcze inaczej?

Oglądnąłem wszystkie pokoje – tylko w moim, tłumaczki i w jednym z pokojów chłopców nie było śladów włamania. Nie wiedziałem jednak, czy i u nas czegoś nie ukradziono. Jeżeli okaże się, że nie, to już będę wiedział, w jaki sposób dokonano kradzieży. Te trzy pokoje były od frontu, od ulicy. Natomiast ślady włamania zauważyłem tylko w pokojach od podwórza. Z tamtej strony teren był niezamieszkały, nie stały żadne budynki. Rosły tylko krzaki, chaszcze, a dalej widoczny był skraj lasu. Świetny teren dla złodzieja. Nie, nie złodzieja, tylko złodziei. Zbyt wiele rzeczy zostało jednocześnie ukradzionych, aby tylko jeden włamywacz miał tyle czasu i mógł zdążyć wszystko wynieść. Na pewno ktoś jeszcze musiał stać na czatach. Miejscowi przecież przed południem po sowchozie chodzili, mogli zauważyć ludzi kręcących się przy naszym pustym baraku.

Zaglądnąłem do swojego pokoju i szybko sprawdziłem własne rzeczy. Wyglądało, że rzeczywiście mnie nic nie

skradziono. Wróciłem do pokoju dziewcząt, gdzie wszyscy w napięciu na mnie czekali:

– Bez dwóch zdań mieliśmy włamanie. Powstrzymajcie krzyki, trzeba to uporządkować. Ilu z was zostało okradzionych?

Zobaczyłem las rąk w górze – poza moją, pani Ani i chłopców z pokoju od frontu. Potwierdzało się to, co podejrzewałem. Trzy pokoje od strony ulicy pozostały nietknięte, do pozostałych włamywacze się dostali.

– Robimy po kolei. Jacek, tobie nic nie ukradziono. Pruj po Wanię, no, tego miejscowego milicjanta. Wiesz, gdzie mieszka. Niech w te pędy przychodzi. I niech nie marudzi! To jego teren i on jest również odpowiedzialny, że nie upilnował. A reszta… Idźcie teraz do swoich pokojów i niech każdy dokładnie sprawdzi wszystkie własne rzeczy. Czego brakuje, to zapisać. Potem po kolei przychodźcie do mnie. Zrobię całe zestawienie, co ukradziono i komu.

Trochę się uspokoili, chociaż dziewczyny dalej pochlipywały. Wraz z innymi wyszedłem z pokoju i wróciłem do swojego, po drodze ocierając pot z czoła; byłem cały mokry. Tylko kradzieży jeszcze mi brakowało do pełni szczęścia. Te natrętne myśli, od przedwczoraj mnie prześladujące, spełniły się w rzeczywistości. Uśpił mnie wczorajszy spokojniutki, rozleniwiający dzień.

Usiadłem przy stole, wziąłem papier, zatytułowałem. Po chwili zaczęli przychodzić pierwsi okradzeni. Cierpliwie zapisywałem – kto zgłosił, w którym pokoju mieszka, co zginęło, jak ukradziona rzecz wyglądała, jakie miała

charakterystyczne cechy, na ile okradziony właściciel ocenia wartość przedmiotu. Przydało się kierowanie internatem w moim rodzinnym mieście. Pojedyncze kradzieże w nim też się zdarzały, więc wiedziałem, co robić i co przy zapisywaniu było ważne.

W międzyczasie wrócił wysłany chłopak z wezwanym Wanią. Pokrótce mu przedstawiłem, co już ustaliłem. Jacek opowiedział milicjantowi po drodze o kradzieży, więc skupiłem się na tym, co ukradziono. Wania westchnął i podrapał się po głowie. Podumał i popatrzył na mnie pytająco:

– Nu, i szto paczniemy?

– Nie rozumiem. Jak to co? Ty się mnie pytasz?!

– Chyba lepiej nie zgłaszać naczalstwu. Nie wiadomo, czy wtedy co gorszego nie wyniknie.

– Co ty gadasz, Wania?! Na um ci padło?! Co może być gorszego? Zostaliśmy okradzeni. Nie rozumiesz? Okradzeni!

– No wiesz, tawariszcz Zdisław. Tu różni przychodzili. Przychodzili moi z sowchozu, twoi chodzili do moich. Może lepiej nie ruszać?

– Wania, albo tobie rozum odjęło, albo już nie wiem co. Nas tu okradli! Rozumiesz? U ciebie, na twoim terenie okradli!

– No właśnie. Ale twoi i moi…

– Przestań pieprzyć. To skandal międzynarodowy. My przyjechaliśmy do was w ramach wymiany młodzieży, wasza młodzież pojechała do nas. Wiesz, co z tego może

wyniknąć? Ruszaj więc tyłek i dzwoń do swojego naczalstwa w mieście. W te pędy, póki sprawa jest świeża. Może wasi spece znajdą włamywaczy.

– A może jeszcze się zastanowimy, co? Po co tak od razu naczalstwo niepokoić?

– Kurde, co ty kręcisz, Wania? Może chcesz to powiedzieć mojej okradzionej młodzieży? Stoją za drzwiami. Słyszysz ich?

– No nie, wolę nie wychodzić. Ale jeszcze raz…

– Nie ma jeszcze raz. Biegnij do siebie i niech wasi kryminalni jak najszybciej przyjeżdżają. Ja już moim zakazałem dotykać okien i wychodzić na zewnątrz, aby śladów za barakiem nie zadeptali.

– No jak chcesz, ale uprzedzałem. Nie będzie dobrze.

– A co? Teraz jest dobrze?!

Wania wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Z ociąganiem wyszedł. Zaniepokoiłem się. Różne myśli zaczęły mnie nurtować. O co mu chodzi? Boi się o konsekwencje, że nie dopilnował? Może sam jest zamieszany we włamanie i kradzież? Czyżbym aż tak się pomylił w jego ocenie? Dopiero kilka dni temu się poznaliśmy, ale wyglądał na zwykłego, prostego wiejskiego chłopaka, którego w mundur ubrali i kazali pilnować. Tacy są przeważnie sumienni, z oczu też mu dobrze patrzyło. Nie, chyba bezpodstawnie go podejrzewam. To pewnie tylko jego obawa przed konsekwencjami za niedopilnowanie, za to, że nas okradziono w jego rewirze. A sprawa nie jest zwykłym włamaniem, poszkodowana

została zorganizowana grupa młodzieży z innego państwa, to i mocniej może dostać po głowie.

Przestałem dywagować. Od tego nic się nie zmieni, kradzież jest kradzieżą. Wyszedłem do młodzieży, aby choć trochę ich uspokoić. Była dalej bardzo wzburzona, niektóre dziewczyny ciągle pochlipywały. I jak tu je uspokoić, kiedy poginęły im nawet cenne pierścionki?

Próbowałem bez przekonania ich pocieszać, że sowchoz to nie miasto, tu wszyscy wszystkich znają, że może ukradzione rzeczy się odnajdą. Nic innego i tak na razie nie miałem do roboty, oprócz pilnowania, aby młodzież nie wychodziła z budynku. Niewiele moje pocieszanie pomogło. W przygnębiającym nastroju musieliśmy cierpliwie czekać.

Po półgodzinie wrócił milicjant Wania. Przekazał, że przedzwonił i zameldował, gdzie trzeba, tak jak chciałem. Mamy teraz czekać, ktoś z miasta jeszcze dzisiaj przyjedzie. Wskazałem mu drugie krzesło, aby usiadł. Nie było co robić, mogliśmy tylko oczekiwać przyjazdu ekipy dochodzeniowej. Wania stał się jakiś małomówny, na moje zapytania tylko odmrukiwał monosylabami. Czyżby aż tak bał się odpowiedzialności? Kradzież zawsze jest nieprzyjemna, ale jest przecież milicjantem. Dla niego to nie powinna być nowina. Dla mnie na pewno dużo gorsza, bo dotyczyła moich dzieciaków.

Przesiedzieliśmy jak dwa milczki dobre trzy godziny. Wreszcie usłyszałem odgłos zbliżającego się samochodu. No, chyba są śledczy z Nowosybirska! Zacząłem się już obawiać, że dzisiaj nie przyjadą. Wyszedłem z Wanią przed

barak. Podjechała czarna wołga, drzwiczki się otworzyły i wysiadło dwóch mężczyzn. Spojrzałem na nich i aż mnie zatkało. Myślałem, że śnię albo przeniosłem się w czasie kilkadziesiąt lat wstecz, do lat hitlerowskiej okupacji i Generalnej Guberni. Byli ubrani jak, wypisz wymaluj, prawdziwi gestapowcy! Jak tajna policja polityczna dyktatora z charakterystycznym wąsikiem. Któż to przyjechał? III Rzesza przetrwała w środku Azji, na głębokim terytorium ich śmiertelnego wroga, ponad czterdzieści lat po wojnie?

Musiałem zmienić się na twarzy, bo przyjezdni aż się skrzywili. Wyglądali rzeczywiście jak żywcem przeniesieni z historii do współczesności – czarne ceratowe płaszcze do pół łydki, czarne buty z cholewami, czarne skórzane kapelusze. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem i jaki jest już rok, naprawdę wziąłbym ich za prawdziwych gestapowców. Do tego byli tak ciepło ubrani w środku gorącego lata.

Opanowałem się jednak, pierwsze zaskoczenie już mi minęło. Zerknąłem na Wanię. Ten ledwie stał na drżących nogach, cały poszarzały na twarzy. Wyćwiczony odruch jednak zadziałał u niego i salutował do daszka służbowej czapki.

Co to za służba? Kryminalni? Nie, ci by mieli zwykłe milicyjne mundury lub ubrani by byli po cywilnemu. Cholera, chyba nie… Nie wierzyłem, ale na to wyglądało. Zgłoszenie kradzieży musiało wysoko zawędrować. W końcu jesteśmy grupą z zagranicy, w ramach wymiany

młodzieży. To nie przelewki, to nie jest zwykłe włamanie i kradzież.

Przybysze nie dali mi czasu na zastanawianie się. Podeszli do mnie, pierwszy wymamrotał swoje nazwisko i machnął mi przed nosem służbową legitymacją. Nie zdążyłem dobrze dojrzeć, ale chyba miałem słuszne podejrzenia. Służba KGB? Czyżby? O rany! Odechciało mi się prosić o dokładniejsze pokazanie dokumentu. Teraz zrozumiałem, dlaczego Wania na ich widok tak zszarzał na twarzy.

Opanowałem się. Nie było po co stać na dworze. Przedstawiłem się również i zaprosiłem ich do środka, do swojego pokoju. Opowiedziałem pokrótce, co zastaliśmy po powrocie z pracy, pokazałem wyłamane okna w pokojach. Musiałem jeszcze uspokajać młodzież, która wzajemnie siebie zagłuszając, głośno wykrzykiwała, co komu ukradziono. Przybysze oglądnęli pobieżnie pokoje, ze stoickim spokojem puszczali mimo uszu pretensje dziewcząt i chłopców. Na końcu kazali czekać milicjantowi na korytarzu i weszli ponownie do mego pokoju.

Jeden z nich zamknął za sobą drzwi. Wskazałem im milcząco krzesła i usiedliśmy. Wymownie spojrzeli na mnie. Co jest? Dlaczego nic nie mówią? Nie wytrzymałem i pierwszy zacząłem:

– Nie oglądnęliście jeszcze z zewnątrz, którędy złodzieje się włamali. Tam mogą być ślady. Zakazałem mojej młodzieży wychodzić, aby ich nie zadeptali.

– Nie nada.

– Kak, nie nada? Jak to?

– Tak, nie nada.

Mówił tylko jeden, ten, który mi się przedstawił. Pewnie był szefem. Drugi siedział w milczeniu, trzymając na kolanach pękatą teczkę. Zgłupiałem po odpowiedziach pierwszego. Co się dzieje, o co chodzi? Dlaczego nie chcą prowadzić normalnego śledztwa?

Ważniejszy jeszcze raz popatrzył na mnie przeciągle. Poczułem dreszcz od tego spojrzenia. Nie wiedziałem, co mam jeszcze mówić. Po chwili ważniak wstał, zdjął okrycie i kapelusz, położył porządnie na łóżku, wygładził zmarszczki na płaszczu. Usiadł i wreszcie jako pierwszy się odezwał:

– Nu szto, kamandir, nada pogawarić. Naprawdę chcecie zgłosić kradzież?

– Oczywiście, zostaliśmy okradzeni! Przecież zgłosiłem. Po to was wezwałem.

– Nie wy wzywaliście. To nie sprawa dla milicji. Powtarzam pytanie, dalej chcecie formalnie zgłosić kradzież?

– Do diaska, tak! Wpierw Wania, ten miejscowy milicjant, zadawał podobne idiotyczne pytania. Teraz wy. Powtarzam, zgłaszam formalnie kradzież…

– Padażdżi, kamandir, padażdżi. Nada było posłuchać Wani.

– To posłuchajcie mojej młodzieży! Spytajcie, czy nie było włamania i kradzieży.

– Nie my się spytamy, tylko najwyżej wy, kamandir. Jak będziecie chcieli.

– Co?!

Zamurowało mnie. O co tu chodzi? Była kradzież? Była. Sprawa prosta, kradzież jest kradzieżą. A oni chcą mnie również, tak jak Wania, odwieść od jej zgłoszenia?!

Aż się podniosłem. Pierwszy uspokajająco oparł dłoń na moim ramieniu i posadził ponownie na krześle:

– Poczekajcie, kamandir, nie unoście się. Przeczytam wam coś. Grigorij, podaj – zwrócił się do milczka.

Drugi z przybyłych bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął książeczkę w czerwonych okładkach, z tłoczonymi złotymi literami na wierzchu. Podał starszemu. Ten chwilę potrzymał ją w dłoni, jakby chciał zaznaczyć jej ważność. Wyraźnie dał mi czas na przeczytanie tytułu: „Kodeks Karny Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej”. Powoli naślinił palec i otworzył książeczkę na zaznaczonej stronie. Jeszcze raz spojrzał na mnie, a następnie monotonnym głosem zaczął czytać:

– Kto nielegalnie sprzedaje lub kupuje… podlega karze więzienia lub obozu pracy od lat dwóch do dziesięciu.

– Ale co to ma do zgłoszenia kradzieży? – przerwałem zniecierpliwiony. Oderwał wzrok od kodeksu, spojrzał na mnie spokojnie i zwrócił się znów do towarzysza:

– Grigorij, daj notatnik.

Drugi wyciągnął z teczki gruby notes i podał pierwszemu. Ten otworzył go i zaczął ponownie, głośno

i wyraźnie czytać:

– W dniu… o godzinie… w miejscu… grażdanin Polski Jan K… nielegalnie sprzedał Tamarze Iwanowiczowej M… spodnie koloru granatowego, marki… za kwotę… rubli. W dniu… o godzinie… w miejscu… grażdanka Polski Katarzyna S… nielegalnie kupiła od Iwana Siergiejewicza W… złoty pierścionek o wartości… rubli. W dniu… o godzinie… grażdanka Polski… kupiła… za kwotę…, grażdanin Polski… kupił… sprzedał… kupiła… sprzedała…

Wyliczanka trwała i trwała. Byłem oszołomiony. Każde wyczytane kolejne nazwisko mojej dziewczyny czy chłopaka uderzało we mnie jak obuchem. Poczułem strużki zimnego potu spływającego wzdłuż kręgosłupa. Mieli zapisane wszystko, cały handelek moich z miejscowymi. Ja się tylko dotąd tego domyślałem. Oni zaś mieli czarno na białym, spisane na kilku stronach, ze szczegółami.

Tylko do czego ten ważniak zmierzał? Co mnie obchodzi ich kodeks karny? Chce mnie nastraszyć, że sowchoźnikom handlującym z moimi grozi odpowiedzialność karna?

Przerwałem pierwszemu, starając się mówić spokojnie:

– Ale co to ma do kradzieży? Kupił, sprzedał. Nie wiem, nie jestem nadzorcą, nie podglądam moich ludzi w czasie wolnym. Może któryś coś sprzedał czy kupił od miejscowych. Miałem im grzebać po torbach jak jakiś strażnik? Nie po to tu jestem. Chcę tylko zgłosić fakt włamania i okradzenia mojej młodzieży. Tylko tyle.

Znów beznamiętnie spojrzał na mnie. Żadne emocje nie uwidoczniły się na jego twarzy. Robot jakiś czy co?

Otworzył ponownie czerwoną książeczkę i przeczytał:

– Kodeksowi karnemu podlegają osoby, które w momencie popełnienia czynu karalnego miały ukończone szesnaście lat. – Zamknął kodeks i retorycznie zapytał: – Wszyscy wasi ludzie mają ukończone szesnaście lat? Nie mylę się, prawda? Jak pewnie wiecie, prawo obowiązuje wszystkich na terytorium danego państwa, również obcokrajowców. No więc jak, kamandir? Dalej twierdzicie, że nastąpiło jakieś włamanie i kradzież w waszych pokojach? Chyba rozumiecie… – zawiesił na chwilę głos i kontynuował – Jeżeli okaże się, że była tu kradzież i formalnie ją zgłosicie, to w trakcie dochodzenia może wyjść na jaw jeszcze coś…

Przerwał i wymownie spojrzał. Dopiero teraz dotarło do mnie, co chciał zasugerować.

W moim pokoju zapadła cisza, ciężka jak cetnar ziemniaków trzymanych na ramionach. Powietrze stało się tak gęste, że nożem można było kroić. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w zupełnym milczeniu, nachyleni, opierając się mimowolnie rękoma o własne uda. Wyglądaliśmy jak zawodnicy sumo przed rozpoczęciem walki. Jeden w drugiego wbił wzrok, nikt z nas nie chciał uciec spojrzeniem. Jak długo to trwało, nie wiem. Może dziesięć sekund, może pięć minut. Dla mnie ten czas wydawał się wiecznością. Nawet bzyczenie muchy nie zakłócało ciszy. Najmniejszy szmer nie docierał również zza zamkniętych drzwi, z korytarza baraku. Widocznie moja młodzież też wyczuła, że coś jest nie tak.

W głowie miałem kłębowisko myśli, szukałem w pośpiechu wyjścia z patowej sytuacji. Im dłużej szukałem, im więcej używałem brzytwy Ockhama, tym coraz bardziej skłaniałem się ku myśli, że wyjście jest tylko jedno. Właściwie brak wyjścia. Postawili mnie pod ścianą. Rzucony z moją grupą w środek Azji, oddalony od domu i władz ponad cztery tysiące kilometrów, znikąd nie mogłem oczekiwać pomocy. Byłem tu i teraz, sam musiałem podjąć decyzję.

Zdecydowałem. Wstałem, starając się opanować nerwy, spojrzałem na mojego interlokutora i spokojnie powiedziałem:

– Muszę porozmawiać z moimi ludźmi. Potrzebuję chwili czasu.

Mojemu rozmówcy po raz pierwszy drgnął mięsień na twarzy:

– Rozumiem, kamandir. Poczekamy tutaj na ciebie.

Wyszedłem na korytarz. Obskoczyła mnie od razu cała grupa.

– No i co, panie komendancie? Co jest? Dlaczego nic nie robią? Czy zapłacą nam za ukradzione? Wiedzą już, kto nas okradł?

Tak jak przed chwilą panowała całkowita cisza, tak teraz wybuchł niesamowity hałas; wzajemnie się przekrzykiwali. Dałem im się wykrzyczeć. Poczekałem, aż przycichli, i starając się mówić cicho i spokojnie, odezwałem się:

– Zaraz wam wszystko powiem. Ale to nie do rozmowy na korytarzu. Weźcie krzesła i chodźmy wszyscy do jednego pokoju. Musimy porozmawiać na spokojnie, bez krzyków. Chodźcie.

W minutę wszyscy siedzieli już w sąsiednim pokoju na krzesłach, wpatrując się we mnie w napięciu. Kurde, jak zacząć? Dopiero się zacznie, jak im powiem. Nie było jednak co przedłużać, i tak trzeba powiedzieć. Jak trzeba, to lepiej od razu:

– No więc, po pierwsze, jesteśmy w środku Syberii, daleko od naszych. Po drugie, tutaj obowiązuje inne prawo niż u nas. Po trzecie, nieznajomość prawa nie uwalnia nikogo od odpowiedzialności. Po czwarte, tutejsze prawo zabrania nielegalnej sprzedaży czy kupna czegokolwiek. Po piąte, nie jest to wykroczenie, a przestępstwo i jest ścigane z kodeksu karnego. Po szóste, za nielegalny handel grozi od dwóch do dziesięciu lat więzienia lub obozu pracy na dalekiej Północy. Jaki tam jest klimat, przypomnijcie sobie ze szkoły. Spokój, jeszcze nie skończyłem! Po siódme, ich kodeksowi karnemu podlegają wszyscy, słuchajcie uważnie, wszyscy, którzy ukończyli już szesnaście lat. Po ósme…

Dłużej nie dali mi kontynuować:

– A co nas to obchodzi! Mnie to nie interesuje! Co z kradzieżą? Zapłacą nam czy nie?!

Umilkłem i dałem im się wykrzyczeć. Potrzebowali tego. Sam podobnie się czułem na początku rozmowy z kagebistą. Wreszcie po kilku minutach rwetes zaczął ucichać.

– Mogę mówić dalej? Po ósme, wielu z was handlowało z miejscowymi, prawda? Nie udawajmy przed sobą. Po dziewiąte, kto z was handlował, z kim, czym, kiedy i za ile, mają wszystko dokładnie zapisane. W szczególikach przeczytali mi. Wasi współhandlowcy w interesach… tu jednak nie Polska. Szczęka mi opadła, kiedy czytał tę litanię ze swojego notesu. Po dziesiąte i ostatnie, przyjechaliśmy tu razem i razem musimy wrócić. Wszyscy. Nie mam zamiaru kogoś tu zostawić. Podsumowując, najważniejsze. Kradzież jest kradzieżą. Straciliście rzeczy i pieniądze, dziewczyny też cenne pierścionki. Ale, powiedzieli mi prawie brutalnie prosto w twarz, że jeżeli zgłoszę włamanie i kradzież, to oni to przyjmą. Jednocześnie jednak będą zmuszeni rozpocząć śledztwo w sprawie nielegalnego handlu, prowadzonego przez większość z was. Jest chociaż jedna osoba oprócz mnie, która nie handlowała? Dobra, pytania nie było. Wracając do sprawy, jak mówiłem, za nielegalny handel grozi od dwóch do dziecięciu lat, więzienia lub łagru. Nieważne, miejscowy czy obcokrajowiec, znaczy my. Obce obywatelstwo nie chroni przed karą. Powtarzam, jeżeli zgłoszę oficjalnie kradzież, to wypłynie też handel. Jeżeli natomiast… – zawiesiłem na chwilę głos – jeżeli nie zgłosimy kradzieży, to oni zapomną o nielegalnym handlu. Sprawy nie będzie.

Myślałem, że najgorsze już mam za sobą. Srodze się pomyliłem. Dopiero teraz rozpętało się piekło.

– Coooo, mamy nie zgłaszać kradzieży?! Skandal! To jawny szantaż! Mamy udawać, że nic się nie stało?! Mamy

wrócić okradzeni?! Wracamy od razu! Gówno mnie obchodzi, co oni myślą o handlowaniu! Pierdolę ich prawo! Jebani Ruscy!

Siedziałem w milczeniu. W takich sytuacjach trzeba dać się wykrzyczeć. Niech wyrzucą to z siebie. Stopniowo się uspokajało. Tylko niektóre dziewczyny zanosiły się szlochem, inne pochlipywały cichutko. Wreszcie zapadła cisza. Wszyscy, ciągle wzburzeni, ale już milczący, z napięciem wpatrywali się we mnie. Chyba podświadomie odczuwali ulgę, że to nie oni muszą podjąć decyzję. Zawiodłem ich nadzieję, kiedy ponownie się odezwałem:

– Mogę dalej? Każdy już wie, na czym stoimy. Obojętnie, jaką bym podjął decyzję, będzie to decyzja zła. Mógłbym ją sam podjąć, bez pytania was. I nie uchylę się od tego. Ale wpierw chcę wiedzieć, co wy uważacie. Wasze postępowanie, handel z miejscowymi, doprowadziło do tego, że jestem pod murem. Daję wam pierwszeństwo wyboru. Albo zostawicie decyzję mnie, albo przegłosujcie, kto za, a kto przeciw zgłoszeniu kradzieży. Zapoznałem was ze wszystkim. To wasz test dorosłości. Przemyślcie w swoim gronie. Tylko nie poddawajcie się emocjom. Nie chcę was naciskać. Wrócę za pięć minut.

Wyszedłem przed barak i wciągnąłem głęboko w płuca powietrze. Tak tu cicho i spokojnie, nikt nawet nie przechodził ulicą. Słońce jeszcze grzało, ale już nie paliło. Z pobliskiego lasu dochodził świergot ptaków, wiatr wzbudzał lekki szmer w listowiu. Pustkowie, idylla jak w tanim melodramacie. Błogi spokój, gdyby nie kotłujące

się myśli i dochodzące przytłumione głosy młodzieży, które przywracały mi realność trudów życia na tym najpiękniejszym ze światów. Zauważyłem stojącego kilka metrów z boku milicjanta. Blady na twarzy Wania patrzył przed siebie, bał się nawet na mnie spojrzeć. No nic, też postoję. Odczekam te pięć minut.

Czas, który dałem młodzieży, minął; otrząsnąłem się z zamyślenia. Wszedłem ponownie do pokoju, gdzie czekała na mnie cała grupa. Spojrzałem po twarzach i od razu wiedziałem, co usłyszę. Odczekałem kilka sekund i spytałem:

– Jak zdecydowaliście?

Dłuższą chwilę trwała jeszcze cisza. Wreszcie jeden z samorządu uczestników hufca odezwał się:

– Głosowaliśmy. Wszyscy byli za. Nie zgłaszamy kradzieży.

Lekko odetchnąłem. Spojrzałem jeszcze raz po twarzach – chłopcy siedzieli z zaciśniętymi ustami, inni patrzyli nieruchomo przed siebie lub ze wzrokiem wbitym w podłogę. Niektóre dziewczęta jeszcze pochlipywały, inne wyglądały na spokojne, ale ich zapuchnięte oczy świadczyły o czymś innym. Nie tylko ja dzisiaj swoje przeżyłem. Na pewno zapamiętają ten dzień, po raz pierwszy w życiu poczuli brzemię dorosłości i odpowiedzialności za czyny.

– W porządku – odpowiedziałem. Odwróciłem się i wyszedłem.

Wróciłem do swojego pokoju. Kagebiści wpatrzyli się we mnie z napięciem. Widać było, że i oni nie marzyli w tym

czasie o niebieskich migdałach. Po treści i toku naszej wcześniejszej rozmowy domyślałem się, że przyjechali z konkretnym poleceniem od przełożonych. Poleceniem niepodlegającym dyskusji. Nikt w ich lokalnych władzach nie chciał rozgłosu, skandalu związanego z naszym pobytem.

Usiadłem i spokojnie powiedziałem:

– Przepraszam, panowie. Jednak nastąpiła pomyłka. Nie było włamania ani kradzieży. Moje zgłoszenie było pochopne, przedwczesne. Powinienem był wpierw sam dokładnie sprawdzić to, co zgłosiła mi moja młodzież. Ot, szutki się ich trzymają. Wiadomo, młodzi, to i czasem głupie pomysły ich nachodzą.

Ogromna ulga, jaka odmalowała się na twarzy pierwszego, nie pozostawiała wątpliwości. Szeroki uśmiech rozpromienił jego oblicze. Jednak poczucie obowiązku jeszcze go powstrzymywało:

– Chcecie powiedzieć, że zgłoszenie było pomyłką? Nie było kradzieży?

– Tak, to było nieporozumienie.

– No cóż, zdarza się. Ważne, że się wyjaśniło. Sprawy nie ma. Grigorij! Skocz do tego milicjanta, jak mu tam? Wania, tak? Wiesz, co masz mu powiedzieć. Daję mu dziesięć minut. Ani minuty dłużej!

Grigorij migiem wykonał rozkaz. Za minutę był z powrotem. Spojrzał pytająco na swojego szefa. Pierwszy aprobująco kiwnął głową. Grigorij usiadł i sięgnął po pozostawioną na krześle pękatą teczkę. Otworzył

i wyciągnął dwie butelki. Dwie litrowe butelki wódki. Sięgnął jeszcze raz i wyciągnął trzy kieliszki bez stopki. Znałem te kieliszki. Nazywali je stakanikami, mieściły ponad dwukrotnie więcej wódki niż nasze. Musiałem mieć dziwną minę, gdyż Grigorij uspokajająco odezwał się:

– Nie martwcie się, kamandir. Nie zabraknie. W razie czego Wania w minutkę doniesie.

Ale mnie uspokoił. Są „tylko” dwa litry na trzech, ale nie muszę się o to martwić. W razie czego Wania w try miga doniesie. Wpadłem jak śliwka w kompot. Teraz już nie mogłem się wycofać, ale wpierw musiałem zabezpieczyć jutrzejszy dzień:

– Przepraszam panów na chwilę. Muszę wyjść i coś załatwić.

– Tawariszcz kamandir, nie martwcie się o żarcie.

– Nie, nie. Sprawy służbowe. Za minutkę będę. Rozgośćcie się w tym czasie.

– A, to co innego. Służba nie drużba. Załatwcie, co musicie, i wracajcie szybko. Dzień był długi i czas nam odpocząć. Wszystkim.

– Jak rzekłem, za minutkę będę.

Wybiegłem i zapukałem do pokoju tłumaczki. Na szczęście już w nim była, nie musiałem wywoływać jej spośród młodzieży na stronę:

– Pani Aniu, nie idę dzisiaj na kolację. Jutro pani będzie dowodziła w pracy, ja muszę zostać w sowchozie. Pojedzie pani z młodzieżą w pole. Jest pani moim zastępcą i na pewno sobie poradzi. Miniony tydzień upewnił mnie, że jest

pani świetną organizatorką. Nie widzę więc żadnego problemu. Powinienem już dawno dać się pani wykazać. Mój błąd. Nie, nie, proszę nie zaprzeczać. Wierzę w panią. Zresztą nasza młodzież już sama wie, co ma w pracy robić. Na pewno przy pani doświadczeniu nie będzie żadnych problemów. Rano proszę mnie nie budzić, zobaczymy się przy obiedzie. Aha, jeszcze jedno, dzisiaj nie ma mnie już dla nikogo. Niech nikt nie przychodzi z jakimiś problemami. Jeżeli coś, to niech pani decyduje albo potrzebujący wstrzyma się do jutrzejszego popołudnia. Do jutra, pani Aniu.

Nie słuchałem już dalej jej trwożnych pojękiwań. Odwróciłem się na pięcie i prawie wbiegłem do pokoju, gdzie dalej siedział cały mój hufiec. Rzuciłem w pośpiechu:

– No, chyba załatwione. Teraz będę cierpiał za miliony. To znaczy, za wasze grzechy. Jutro do pracy jedziecie z panią Anią. Ja zostaję, zobaczymy się po waszym powrocie. Piotrek, odpowiadasz za wszystko, ee, to znaczy będziesz do pomocy mojej zastępczyni. I jeszcze jedno, jeżeli ktoś z was jutro w pracy narozrabia, będzie strajkował lub marudził, to lepiej niech nie wraca, bo nie ręczę za siebie. Zrozumiano?! No. Dzisiaj już mi nie przeszkadzać. Nie ma mnie.

Nie czekając na pytania, szybko wyszedłem z pokoju i wróciłem do siebie. W tym samym momencie wbiegł do baraku zadyszany milicjant Wania. Razem weszliśmy do pokoju. Moi goście siedzieli już wygodnie przy stole, rozparłszy się na krzesłach. Pierwszy, wyraźnie rozluźniony,

nalał trzy stakaniki. Podniósł swój do góry, znacząco spojrzał i wesoło stwierdził:

– Przełożyłem wasze papiery na komódkę, stół nam jest potrzebny. Nie gniewajcie się, co było, to się skończyło. Taka służba. No, kamandir Zdisław, trzeba nam się poznać. Mnie Michaił. Grigorija już znacie.

Usiadłem, podniosłem swój stakanik, stuknęliśmy się. Ostrożnie spróbowałem kropelkę płynu. Nie wiedziałem, czy czasem nie jest to ich siedemdziesiąt procent. Na szczęście nie; była to zwykła wódka, czterdziestka. Przechyliłem, łyknąłem duszkiem. Popijanie małymi łykami byłoby wielkim nietaktem.

Pierwsze koty za płoty. Poznaliśmy się. W tym czasie Wania porozstawiał na stole to, co przyniósł – słoninę dobrze podwędzoną i kruchą; poznałem po żółtawym zabarwieniu. Do tego ser, kiełbasę, cebulę dymkę z zielonym ogonem, chleb pokrojony w grube kromki. Przyniesione jedzenie pół blatu stołu zajęło. Na oko oceniłem, że drużyna żołnierzy spokojnie by się najadła. Wania postawił też coś, co dodało mi trochę otuchy – trzylitrowy słój z kiszonymi ogórkami. Woda z tych ogórków już wielu ludziom w takiej sytuacji ratowała życie po obudzeniu się na drugi dzień.

Miałem zresztą swoją metodę, dzięki której nigdy nie urwał mi się film na całonocnym weselu czy zabawie sylwestrowej. Prostą, a skuteczną – wypiłem, zagryzłem, zatańczyłem trzy kawałki z rzędu. Wypiłem, zjadłem, zatańczyłem znów trzy kawałki. Po kolejnym zjadłem już

porządnie, coś ciepłego. Jeżeli czułem, że następny kieliszek może mi zaszkodzić, odstawiałem go na pewien czas. Nikt mnie wtedy nie zmusił do wypicia. Wychodziłem na dwór, przespacerowałem się, pooddychałem głęboko, aby się dotlenić. Dopiero po dobrej godzinie brałem ponownie alkohol do ust. W ten sposób byłem przez całą noc tylko na rauszu i nic więcej. Bawiłem się do białego rana, wracałem do domu wytańczony i w wesołym nastroju. W domu wypijałem, ile tylko mogłem wody, i dopiero kładłem się spać. Rano głowa nie bolała.

Słyszałem o jeszcze lepszej metodzie, zwłaszcza jeżeli zanosiło się na większe picie przy szybszych powtórzeniach toastów. Należało przed wypić szklankę roztopionego smalcu.

Tym razem nie mogłem liczyć ani na swoją metodę, ani na tę zasłyszaną. Znałem sposób picia Rosjan. Mogłem tylko próbować spowalniać to, co było nieuchronne.

Kiedy milicjant postawił już wszystko na stole, Michaił głową wskazał mu wyjście. Wania odsalutował i, z widoczną ulgą na twarzy, znikł za drzwiami.

Sięgnęliśmy po kromki chleba. Rosyjskim zwyczajem powąchaliśmy je i odłożyliśmy na stół.

– No to abyśmy mieli jak najmniej takich problemów w pracy – zachęcił ponownie Michaił. Nalał ponownie, stuknęliśmy się, wypiliśmy, znowu tylko powąchaliśmy chleb. Zacząłem się niepokoić. Oby skończyło się wreszcie to wąchanie za trzecim razem. Odczuwałem nieodpartą chęć zagryzienia kromką chleba. Widziałem już Rosjan

wyznających zasadę: „Po pierwszym się nie zakąsza. Po drugim nie wypada zakąszać. Po trzecim już nie trzeba zakąszać”. Słabsi fizycznie nie byli już wtedy w stanie tego uczynić, nawet jakby chcieli. Tyle że pili pełnymi szklankami. My mieliśmy mniejsze szklaneczki, stakaniki. Dobre i to.

Michaił nie próżnował, jak dla mnie narzucał zbyt szybkie tempo. Próbowałem opóźniać, spowalniać rozmową częstotliwość podnoszenia stakaników. Chciałem przy tym przynajmniej spróbować załatwić sprawę, która jak kolec uwierała mnie dalej w niewymowne miejsce:

– Michaił, wiesz, jak już się poznaliśmy, porozmawiajmy jak Słowianin ze Słowianinem. Czuję, że jesteś bratnia dusza, zrozumiesz. Każdy z nas ma swoją robotę, ty swoją, ja swoją.

– Każdy ma swoją. Taki już los nasz.

– Wyobrażasz sobie, jak mam wrócić do domu po takim nieporozumieniu? My tu przyjechaliśmy do twoich w odwiedziny, poznać się. Wiesz, drużba. A tu takie coś. I jak mam wrócić?

– Zdisław, nie martwcie się dzisiaj niczym. Dzień był ciężki, trzeba odpocząć. Wypijmy za drużbę.

Na razie odpuściłem. Wyraźnie nie chciał podjąć tematu. Ja wiedziałem i on domyślał się, o czym chciałem rozmawiać. Odczekam, widocznie jeszcze za wcześnie. Tylko kiedy i jak go podejść? I czy będę jeszcze w stanie?

Tym razem pierwszy podniosłem stakanik. Wypiliśmy. Wreszcie Michaił zagryzł chlebem. Od razu zagłębiłem zęby

w swojej kromce, popiłem wodą. Trochę ulżyło memu gardłu, przestało w nim drapać. Zmieniłem temat. Zacząłem zachwycać się pięknem Syberii, jej ogromnymi przestrzeniami, gościnnymi ludźmi, ich szeroką, otwartą duszą. Michaił i Grigorij od razu się rozpromienili. Czyżbym trafił w ich słaby punkt? Zaczęły się wzajemne zachwyty, przerywane wznoszonymi toastami za gościnność i piękno syberyjskiej przyrody. Nie obyło się bez rozwlekłych rozmów o życiu, przeplatanych nostalgicznymi wspomnieniami, okraszanych przerywnikami o dupie Maryny. Jak to w męskim gronie.

Tempo podnoszenia pełnych stakaników, mimo moich prób spowalniania, jednak było zbyt ostre. Rozmowy, podśpiewywania, przekąszanie – to wszystko były tylko półśrodki. Nie było mowy o oszukiwaniu czy odstawianiu niedopitego stakanika. Współbiesiadnicy nie odpuszczali. „Trojka” musiała iść łeb w łeb. Mój zaś łeb powoli zaczął odczuwać skutki syberyjskiej gościnności. Brakowało mi przerywników w postaci potańczenia czy możliwości urwania się na godzinkę angielskim sposobem, wyjścia na spacer.

Po dłuższej chwili spróbowałem ponownie skierować rozmowę na sprawę, która ciągle uwierała mnie jak kolec. Grigorij zaczął nalewać już z drugiej butelki, więc czułem, że czas jest po temu najwyższy:

– Miszaaa, wiesz, mam peeewną sprawęęę. Moooi… yk!… moi ludzie przypadkiem poooniesli pewne straty. Przypadkiem. Jesteśmy tu pieeerwszy raz, wiele im

opowiadałem o syberyjskiej gooościnności. Dobrze by było, żeby wróóócili z takim przekonaniem. Na peeewno masz jakieś możliwości, żeby moi luuudzie z takim przekonaniem wróóócili.

Nie dał mi dokończyć, alkohol nie całkiem jeszcze go stępił.

– Zdisław, móóówiłem, dzisiaj jest wieczóóór na odpoczynek. Dobrze nam tu. Juuutro będziemy się martwić. Teraz wypijmy za mir!

Za mir? Jeżeli za mir, to mogę wypić. Nie wiem, za świat czy za pokój na tym świecie. Nie dopytywałem się. Jedno i drugie było dobre na wzniesienie toastu.

Powoli wszystko zaczęło mi się zlewać, mieszać. Problemy traciły swoją ostrość – oddalenie od domu, praca, włamanie i kradzież, szantaż Michaiła, grożące moim syberyjskie łagry. To wszystko odpływało gdzieś w dal, stawało się nieistotne; uwierający kolec już tak bardzo nie doskwierał. Na dnie świadomości żarzyła się iskierka nadziei, jaką Misza jednak rozpalił swoim wtrętem. Malutka jak główka szpilki, ale jednak widoczna, mrugająca do mnie.

Pierwszy na polu chwały padł Grigorij, zasnął z głową na stole. Ostatkiem sił, resztkami woli dotrzymywałem kroku Michaiłowi. Niedoczekanie, jam syn ojca z Wileńszczyzny, nie takie boje przodkowie tam toczyli i zwyciężali…

Z wyraźnym trudem, starając się nie uronić ani kropelki, Misza rozlał resztę drogocennego płynu do

stakaników. Rozglądnął się wokół, zmarszczył brwi i wychrypiał:

– Waaania! Dawaj tu!

– Spakojna, Misza. Wani tu niet – starałem się go uciszyć.

– Da? A gdzie on?

– Sam go odesłałeś.

– Ja?

– Tak, ty. Pamiętasz? Jadło przyniósł.

– A tak. Odesłałem. Ale…

– Starczy nam, Misza. Mnie nada rano do pracy. Służba nie drużba.

– Nu da. Służba.

Spróbował się podnieść. Za drugą próbą, z moją pomocą się podniósł. Podtrzymaliśmy się wzajemnie. Wspólnymi siłami wzięliśmy Grigorija pod ręce, i krocząc od ściany do ściany korytarza, dotarliśmy do wyjścia z baraku. Kierowca w ich samochodzie był służbistą, nie spał, czekał. Na nasz widok wyskoczył z kabiny, podbiegł i troskliwie ułożył Grigorija na tylnym siedzeniu.

Michaił odwrócił się jeszcze do mnie:

– Nu, Zdisław. Nam nada pajechać. Spasiba. A s tamtom… zawtra. Do swidanja.

Tląca się dotąd we mnie iskierka nadziei lekko rozbłysła. Czyżby? Wolałem jednak nie dopytywać się. Czułem, że to może jedynie zaszkodzić. Rozłożyłem tylko ramiona i padliśmy sobie w objęcia, wzajemnie wspierając

się dla utrzymania pionowej pozycji. Jeden misiaczek, drugi…

– Do swidanja, Misza. Spokojnej drogi.

Kierowca podobnie troskliwie pomógł wsiąść do samochodu swemu szefowi. Zawrócił na drodze i wreszcie odjechali. Mnie już nikt nie mógł pomóc, sam musiałem sobie radzić. Jakoś dotarłem do pokoju, w ostatnim przebłysku świadomości dobrnąłem do swojego łóżka. Padłem tak, jak stałem.

Rozdział 10.

Cuda się zdarzają

Auuuu!!! Co mi tak wali pod czaszką?! Skąd ten tętent końskich kopyt?! Musi być tak głośno?! Nie mają gdzie hałasować?! Ale boli! Głowa pęka! Wsadzili mnie do środka dzwonu Zygmunta i walą w niego?!

Obudziłem się. Co za oślepiające światło! Czy słońce musi mi świecić prosto w oczy?! Co mnie tak piecze w gardle, skąd ta suchość i drętwota? Na pustyni jestem? Pić… piiić!!!

Przetarłem zapuchnięte powieki, rozejrzałem się. Siedziałem na łóżku w jakimś pokoju. Nie jakimś, to przecież mój pokój, jestem na… Syberii. Dojrzałem przed sobą stół. Momentalnie wróciła mi pamięć wczorajszego wieczoru. Jest picie!

Na stole stał słój z niewyjedzonymi do końca ogórkami i wypełniony jeszcze do połowy wodą. Podniosłem się ociężale i zrobiwszy dwa chwiejne kroki, już byłem przy nim. Przechyliłem łapczywie słój do ust i poczułem, jak

woda od kiszonych ogórków cudownie zwilża i koi spierzchnięte gardło, spływa do żołądka, gasząc pieczenie i pragnienie. Piłem zachłannie, wysuszone ciało domagało się jeszcze i jeszcze.

Kiedy poczułem się trochę lepiej, odstawiłem słój. Odczułem lekką ulgę, już tak nie piekło w gardle, przestawało ssać w żołądku. Ale głowa dalej pękała z bólu. Jeszcze trochę, a rozpadnie się jak granat na kilkanaście odłamków. Do tego jeszcze za oknem na drodze ludzie hałasują! Muszą tak głośno gadać ze sobą, nie mogą chodzić w milczeniu? Mnie głowa pęka! Zaraz, miałem gdzieś tabletki z krzyżykiem, te od bólu głowy. Gdzie apteczka? Jest, och, jakie szczęście. Są tabletki? Są, i to dużo.

Chwyciłem jedną tabletkę, drugą, rozgryzłem, popiłem wodą. Czemu jeszcze nie działają? Dlaczego tak długo muszę czekać? Nie wytrzymam dłużej tego bólu. Nie pozwala ani leżeć, ani siedzieć, tylko chodzić mogę.

Wreszcie powoli ból zaczął się zmniejszać. Ustępował niechętnie, ale tabletki zaczynały działać. Wydałem z siebie głęboki oddech ulgi, najgorsze mijało. Byłem otępiały, ale zaczynałem kontaktować ze światem zewnętrznym. Przynajmniej na tyle, na ile ciężkawa jeszcze głowa pozwalała. Rozglądnąłem się wokół; w pokoju nie było na szczęście pobojowiska. Kulturalnie piliśmy, jak należało przy zapoznawczym spotkaniu przedstawicieli dwóch narodów.

Już bez pośpiechu wypiłem ze słoja resztę wody, nastawiłem czajnik na herbatę. Usiadłem przy stole, podjadłem. Łyki gorącego napoju też zmniejszały moją niedyspozycję. Żołądek się uspokajał. Chyba nie zrobi mi niespodzianki, nie wywróci się „na nice”?

Spojrzałem na zegarek. Już jedenasta?! Ach, przecież dzisiaj nie komenderuję w polu. To na szczęście dopiero jedenasta. Miałem jeszcze kilka godzin czasu do powrotu młodzieży z pracy. Jak tam idzie mojej zastępczyni? Przypomniałem sobie, z jaką trwogą, widoczną na jej twarzy, odebrała wczoraj moje polecenie. Pewnie po raz pierwszy w życiu została szefem, musiała odpowiadać za innych i podejmować decyzje. Dobrze, że poinstruowałem dodatkowo Piotrka. To rezolutny chłopak, nie powinien zawieść.

Wyszedłem wreszcie na zewnątrz. Na ulicy było już pusto i cicho. Doczłapałem do umywalki, nazwanej przez nas „wodopojem”, i ochlapałem twarz zimną wodą. Pomogło; poczułem się lepiej i wróciła trzeźwość umysłu. Co teraz? Przede wszystkim muszę się doprowadzić do normalnego stanu przed powrotem młodzieży. Zrzuciłem szybko ubranie, wszedłem pod prysznic na dworze i opłukałem się. Rześkość powróciła, zaczynałem funkcjonować.

Wróciłem do pokoju, sprzątnąłem ze stołu i zrobiłem porządek z łóżkiem. Położyłem się i na krótką chwilę przysnąłem. Po przebudzeniu spojrzałem na zegarek. Była

już czternasta. Za godzinę moi wrócą. Zdecydowałem się przejść i jednocześnie wyjść im naprzeciw.

Po drodze zaszedłem do biura milicjanta Wani. Zdziwiłem się, że jego pokój był zamknięty na cztery spusty. Gdzie on polazł? Wczoraj z nami nie pił, więc nie odsypia i powinien być w pobliżu. Pokręciłem się, szukając go w okolicy, ale nigdzie nie znalazłem. Gdzie się podział? Nie miałem więcej czasu, poszukiwania odłożyłem na popołudnie. Musiałem już wyjść na spotkanie mojej młodzieży.

Spacerkiem ruszyłem polną drogą, wychodząc poza budynki sowchozu. Słońce prażyło, ale głowa już nie bolała. Dobrze zrobiłem, przechadzka przywracała mi pełną sprawność. Po chwili dojrzałem w oddali rosnący kłąb kurzu. To pewnie moi już wracali z pracy. Machnąłem ręką i osinobus się zatrzymał. Zresztą trudno było mnie nie zauważyć, byłem jedyny na polnej drodze.

Wsiadłem, przywitałem się z Hansem, powitałem moją grupę:

– No jak tam dzisiaj?

– W porządku, panie komendancie – odpowiedzieli chórem.

Spojrzałem na zastępczynię Anię oraz Piotrka. Potwierdzająco kiwnęli głowami. Zażartowałem:

– Jeżeli tak dobrze dzisiaj było, to może sami od jutra będziecie jeździć? Przynajmniej będę miał czas na załatwienie innych spraw.

– O nie, dzisiaj to było wyjątkowo, wiedzieliśmy, o co biega. Ale pan komendant jakiś mocno zmizerowany.

– Jeszcze słowo, a… – znacząco zawiesiłem głos.

Od razu umilkli. Wpatrywali się we mnie z uwagą. Wreszcie Piotrek pierwszy odważył się mnie zapytać:

– No i co, panie komendancie?

– Jeszcze nie wiem, ale zapalili mi chyba iskierkę nadziei. Zobaczymy. Co mogłem, to zrobiłem. Hans, jedziemy.

Dojechaliśmy przed barak. Młodzież wysiadła i weszła do baraku. Ja jeszcze chwilę rozmawiałem z kierowcą, kiedy nagle w baraku rozległy się wrzaski chłopców i przenikliwe piski dziewcząt. Wyskoczyłem z szoferki samochodu i wbiegłem na korytarz.

– Co znowu?! Co się dzieje?!

Spojrzałem i zaniemówiłem. Pod ścianą korytarza leżały w równych rządkach rzeczy. Nasze skradzione rzeczy! Radioodbiorniki, wędki japońskie, małe telewizorki turystyczne, aparaty fotograficzne, spodnie dżinsowe, bluzki, sukienki. Były nawet „dyskotekowe” pantofelki dziewcząt. Z boku dwa ruloniki banknotów rublowych przewiązanych gumką. Przy nich leżało małe pudełeczko. Podniosłem je i otworzyłem – w środku było kilka złotych pierścionków.

Jasny gwint! Misza jednak załatwił! Szybciej niż myślałem i więcej niż się spodziewałem. Zaprezentował prawdziwe stachanowskie tempo. Jak on to zrobił? I jak zdążył ledwie w kilka godzin?

Moja młodzież rzuciła się hurmem szukać swoich rzeczy, co przywróciło mi jasność umysłu.

– Spokój! Na razie nic nie ruszać. Trzeba wszystko dokładnie sprawdzić. Pani Aniu, proszę popilnować.

Wbiegłem do swojego pokoju, wziąłem notatki z zapisem ukradzionych przedmiotów i szybko wróciłem.

– No dobra. Będę teraz po kolei odczytywał wasze nazwiska i co komu skradziono. Każdy będzie odszukiwał swoje rzeczy. Jeżeli jest, to zabiera. Jedziemy.

Powoli odczytywałem – nazwisko, co ukradzione. Po odszukaniu rzeczy przez wywołanego odfajkowywałem odzyskaną pozycję. Jedną, drugą, kolejną. Nazwisk i pozycji ubywało, przybywało haczyków na liście. Doszedłem do ostatniego nazwiska, do ostatniej pozycji przy nim. Nie brakowało ani jednej rzeczy, wszystko się zgadzało co do joty, włącznie z liczbą rubli.

Co najdziwniejsze, po wszystkim na podłodze pozostała superata. Leżało jeszcze dużo odzieży – sukienek, bluzek, dżinsów. Tego się nie spodziewałem. Czyżby moi nie podali mi do spisu wszystkich ukradzionych rzeczy?

Rozwiązanie zagadki superaty pozostawiłem na później. Teraz musiałem dowiedzieć się czegoś więcej o zaistniałym na naszych oczach cudzie od jedynego osobnika, do którego miałem dzisiaj dostęp. Od miejscowego milicjanta Wani. Wszedłem do pokoju chłopców:

– Piotrek, Kazik, Tomek. Później się nacieszycie tym, co odzyskaliście. Teraz skoczcie mi na jednej nodze i odszukajcie Wanię. Macie mi go znaleźć. Powiedzcie, że

muszę się z nim natychmiast widzieć. Pędźcie już. I nie wracajcie bez niego!

Chłopcy bez słowa wybiegli z pokoju. Ja zaś poleciłem wnieść nadwyżkę rzeczy, pozostałą na korytarzu, do mojego pokoju. Ledwie usiadłem na krześle, do pokoju już wszedł Wania. Tak szybko go znaleźli? Przecież ledwie minuta minęła. Spojrzałem pytająco na Piotrka. Krótko stwierdził, że nie musieli szukać, na milicjanta natknęli się zaraz na ulicy przed barakiem. Przypadkiem przechodził. Tak, przypadkiem; domyśliłem się, jaki to był przypadek.

Wysłałem chłopców do ich pokoju i zamknąłem za nimi drzwi od swojego. Wskazałem milicjantowi miejsce na krześle:

– Witaj, Wania. Przed południem szukałem ciebie i nie znalazłem. Jakbyś zapadł się pod ziemię. Za to przed chwilą znalazło się coś innego. Mów, jak?

– Co, jak?

– Słuchaj, nie kręć jak na tureckim kazaniu. Zabronili ci mówić?

– No nie.

– Co nie jest zakazane, jest dozwolone. Jako milicjant powinieneś o tym wiedzieć. Chociaż może u was jest inaczej?

– Za kogo nas uważasz? U nas wszystko po praworządnemu.

– To świetnie. Nie miałeś zakazane, to mów. Rozmowa zostanie między nami. To ci obiecuję, jeżeli się czegoś obawiasz.

Pomilczał chwilę. Wreszcie się przemógł.

– Nie zabronili. Nie zakazali. Chyba mogę powiedzieć. A więc… Wczoraj, chociaż nie jestem wierzący, to się modliłem. Modliłem się, abyś się jednak dogadał. No z nimi. Myślisz, że za niedopilnowanie, za to, że was okradli, groziła mi tylko kara dyscyplinarna lub wyrzucenie z pracy? To byłaby pestka. Inną robotę bym szybko znalazł. Groziła mi dziesiątka na dalekiej Północy. Wiesz, jak jest w łagrze w Jakucji? A tym, którzy was okradli, groziło jeszcze więcej. Dostaliby piętnastkę jak nic, a może i dwudziestkę. Zaostrzoną, bo sprawa międzynarodowa. Sowchoźnicy, którzy z wami handlowali, też dostaliby z przydziału po kilka lat wczasów za kołem podbiegunowym. U nas nie wolno handlować bez zezwolenia, to kosztuje drogo. Was by też kosztowało.

Przerwałem mu.

– Wiem już o tym. Poczytali mi wczoraj wasz kodeks karny, ze szczegółami. Wracaj do rzeczy.

Westchnął.

– Pamiętasz, Zdisław, jak wyszedł tawariszcz Grigorij i powiedział mi kilka słów? Już po tym, jak się dogadaliście? Wtedy, kiedy powiedziałeś, że nie będziesz zgłaszał kradzieży? Myślisz, że chodziło tylko o to żarcie, które później wam przyniosłem? Dostałem do wyboru. Albo do jutra, to znaczy do dzisiaj, wszystkie skradzione rzeczy się znajdą, i to jeszcze przed waszym powrotem z pracy, albo… Albo ja i inni pojedziemy na kilka lat bratać się z białymi niedźwiedziami. Złodziei też by szybko znaleźli. Tu naokoło

puste pola i lasy, wszyscy się znają. Obcych nie uświadczysz. No to jak mi to szepnął, to jakby przyłożył brzytwę do mego gardła. Przyniosłem wam jedzenie. Ty zacząłeś się bratać z towarzyszami, a ja w tym czasie latałem po chałupach tych, którzy z wami handlowali. Złodzieje musieli być wśród nich. Wszystkim mówiłem to samo, co powiedział mi towarzysz Grigorij. Później siadłem u siebie i czekałem. Przez długi czas nie wychodziłem na dwór. Po kilku godzinach wyszedłem, a pod posterunkiem leżało już wszystko to, co wam pokradziono. Nie dochodziłem, kto was okradł. Ważne, że wszyscy uratowaliśmy skórę. Dzisiaj, jak twoi pojechali do pracy, czekałem, aż wyjdziesz. Kiedy się umyłeś i oddaliłeś, to wszystko przyniosłem. Chyba niczego nie brakuje?

Uśmiechnąłem się z ulgą.

– Niczego nie brakuje, wszystko jest. A właściwie o jakiej kradzieży mówisz, Wania? Przecież niczego nie zgłaszałem. Tylko jakieś rzeczy leżały na korytarzu. Okazało się, że to nasze. Widocznie chłopcy zrobili psikusa dziewczynom. Wiadomo, młodzież się bawi.

Spojrzał na mnie, zdziwiony. Wreszcie zrozumiał i szeroki uśmiech wykwitł również na jego twarzy. Głęboko odetchnął i rozpromieniony odrzekł:

– Ja? Coś mówiłem o kradzieży? Tawariszcz Zdisław, musieliście mnie źle zrozumieć. Na moim terenie nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnej kradzieży. Żarty was się trzymają. Możecie wychodząc, zostawiać drzwi otwarte do wszystkich pokojów, a ręczę, że nawet zapałka ze stołu nie

zginie. I nic nie wiem o rzeczach, które leżą na korytarzu. Pewnie, jak mówicie, młodzież się wygłupia.

Zakończyłem z lekkim uśmieszkiem.

– Cóż, młodzież się bawi, jak zwykle. Czy my byliśmy inni w latach swojej młodości? No dobra. Dziękuję, Wania. Zapraszam na piątek wieczór. Teraz muszę jeszcze zaglądnąć do moich.

Pożegnaliśmy się. Milicjant wyszedł, a ja udałem się do pokoju dziewcząt. Od razu zostałem obskoczony. Nigdy przedtem ani potem nie byłem już tak obściskany i obcałowany jak wtedy. Należało mi się w pełni, po nocnej mordędze i porannych cierpieniach za nie swoje grzechy. Dobrze, że te cierpienia nie poszły na marne; przyniosły efekt i to prawie natychmiastowy. Tylko skąd ta superata?

Nie mogłem się skupić na rozważaniu pochodzenia nadwyżki. Całusy w lewy i prawy policzek rozkojarzały mnie, ale nie były niemiłe. Przecież nie chłopcy mnie całowali. Przyjemność przyjemnością, ale zdecydowałem się ją przerwać.

– Zadowoleni? Ja też, chociaż moje jestestwo tak by nie powiedziało. Nadwerężyłem je porządnie. Ale niech tam. Mam nadzieję, że już nic podobnego nas tu nie spotka. Solidną nadzieję, a nie zbudowaną na piasku. O szczegóły wczorajszego nie pytajcie mnie, bo i tak nie odpowiem. A teraz poważnie i do wykonania, zakazuję oficjalnie od dzisiaj jakiegokolwiek handlu z miejscowymi. Zresztą co mieliście, to już opchnęliście. Mamy wystarczającą nauczkę i niech każdy ją zapamięta. Dobrze, że się skończyła, jak

skończyła. Drugi raz taka sztuczka jak wczoraj może się nie udać. Konsekwencje znacie. Zrozumieliśmy się?

Popatrzyłem po twarzach zgromadzonych naokoło mnie. Wyglądało, że nie będę już musiał pilnować; szybko wydorośleli przez wczorajszych kilka godzin.

– Została nam jeszcze jedna sprawa. Jak widzieliście, została duża gromadka rzeczy, które nie były nam ukradzione, a jednak leżały na korytarzu. Czyje to są?

Ucichło. Jeden po drugim tylko spozierał, ale nikt nie otworzył ust. No tak.

– Mam rozumieć, że niczyje? Z nieba spadły? Czy też wyjaśnienia tego cudu mam szukać na naszej matce Ziemi? Chcę wreszcie odpocząć, nie czuję się jeszcze dobrze. Mam przypomnieć, z czyjej winy tak się czuję? Do cholery, otworzycie wreszcie buzie czy nie?! Tylko bajek mi nie opowiadajcie, zdążyłem oglądnąć kilka bluzek i sukienek. Metki są polskie, a tutaj takich w sklepach nie ma. Więc?

Jedna z dziewcząt westchnęła i wreszcie się odezwała:

– Panie komendancie, widziałam tam dwie moje bluzki. Chyba moje. Sprzedałam je w ubiegłym tygodniu.

– Kto jeszcze widział swoje rzeczy? Które tu z kraju przywiózł i sprzedał? Nie będę pamiętał, ale teraz muszę się zorientować.

Powoli zaczęły podnosić się ręce. Po chwili większość już stała z uniesionymi rękoma i opuszczonymi głowami. Tak jak przypuszczałem, nadwyżką były rzeczy sprzedane miejscowym sowchoźniczkom i sowchoźnikom. Widocznie Wania dostał polecenie, aby wróciły wszystkie rzeczy, w tym

nawet sprzedane. I to bez zwrotu pieniędzy. Możliwe też, że obchodząc domy, sam to dołożył od siebie, a może miejscowi tak się przestraszyli, że woleli wszystko oddać. Ależ tutaj ludzie jeszcze się boją! Trudno się właściwie im dziwić. Starsi pamiętają, co było jeszcze niedawno, kiedy za dowcipy polityczne dostawało się kilka lat łagru. Tu jest środek Syberii, stąd do Moskwy i gorbaczowowskiej „głasnosti" daleko, kilka tysięcy kilometrów. Wolą więc nie ryzykować.

Tak jednak sprawy nie mogłem pozostawić. Co jest zapłacone, to jest sprzedane, właściciela już zmieniło.

– Opuśćcie ręce. Udajcie się teraz do mojego pokoju. Niech każdy odszuka swoje rzeczy, które sprzedał, i najpóźniej w ciągu tygodnia odda je po cichu właścicielom. Nie będę się do tego mieszał. Powtarzam, macie je oddać po cichu. I tak miejscowi są już dostatecznie nastraszeni. Jeżeli ich nie spotkacie lub z obawy nie będą chcieli ich odebrać, to wieczorem po zmierzchu podłożycie je pod mieszkaniem lub domkiem właściciela. Tak samo jak nasze rzeczy się odnalazły. Rozumiemy się?

Potaknęli bez słowa głowami. Otworzyłem drzwi do swojego pokoju i wyszedłem przed barak. Po kilkunastu minutach wyszła jedna z dziewcząt.

– Już, panie komendancie.

Wróciłem do baraku. W pokoju nie została ani jedna z ponadplanowych rzeczy. Ulżyło mi, nie miałem już magazynu rzeczy znalezionych, nie musiałem szukać

właścicieli. Wreszcie… chyba będę mógł to cholernie nieprzyjemne zdarzenie „odfajkować” jako niebyłe.

Spać mi się nie chciało, potrzebowałem przede wszystkim psychicznego odpoczynku. Wyszedłem na dłuższy popołudniowy spacer, pooddychałem syberyjskim powietrzem. Nawet nie czułem tutejszego lipcowego gorąca. Uspokoiłem się.

Rozdział 11.

Spokojne dni

Po kolacji położyłem się wcześniej spać, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Pozbyłem się przygniatającego mnie wczoraj ciężkiego kamienia odpowiedzialności za młodzież. Rano wstałem jak nowo narodzony. Zebrałem młodzież i pojechaliśmy jak zwykle w pole. Dopiero po kilku godzinach pracy zauważyłem, że zmieniło się nastawienie moich do pracy; przynajmniej tych kilkorga, którzy codziennie stwarzali problemy – już nie łamały im się „przypadkiem” trzonki od narzędzi, nie mieli nieplanowanych przerw. Pod koniec dniówki przeliczyłem wykonaną pracę. O dziwo, po raz pierwszy wykonaliśmy prawie sto procent! Wydarzenia minionych dwóch dni widocznie wpłynęły pozytywnie na wszystkich. Przynajmniej ten kłopot mi odpadał. Aż dziwnie się poczułem z powodu braku dotychczasowych codziennych „atrakcji” podczas dnia roboczego. Przyzwyczajenie jest

drugą naturą człowieka, nawet do złego można przywyknąć.

Po pracy przyjechał Hans. Pojechaliśmy nad Zalew Obski, wykąpaliśmy się, poopalaliśmy. Sławuś nie wywinął żadnego nowego numeru, nawet dyżurni nie musieli go specjalnie pilnować. Nudnie się zrobiło, brakowało mi dotychczasowego dopingu w postaci codziennych niespodzianek.

Po powrocie do sowchozu czekała nas jednak pewna niespodzianka, na szczęście miła – wróciły nasze dwie dziewczyny, które pierwszego dnia pracy doznały porażenia słonecznego. Wreszcie wypuścili je ze szpitala w Nowosybirsku. Ucieszyliśmy się, byliśmy znowu w komplecie. Dziewczyny też już były stęsknione za nami. Piszcząc z radości, z wszystkimi się przywitały i wbiegły do baraku. Opowiadań do wysłuchania będą miały na wiele godzin.

Po obiedzie zdecydowałem się spróbować zadzwonić do Polski. Minął już tydzień, tak byłem umówiony z moim szefem w Toruniu. Przedzwoniłem do centrali telefonicznej w dyrekcji sowchozu i podałem służbowy numer telefonu komendy wojewódzkiej OHP w Polsce. Stwierdziłem z zadowoleniem, że miejscowe władze dotrzymały obietnicy o priorytetowym traktowaniu moich zleceń na połączenie – już po niecałych dwóch godzinach rozmawiałem z wojewódzkim komendantem w kraju. Nawet było dość dobrze słychać. Różnica kilku godzin strefy czasowej była

w naszym przypadku plusem – dzwoniłem po południu, a szef był przed południem w pracy.

Po przywitaniu i zwyczajowych uprzejmościach zrelacjonowałem pokrótce nasze dotychczasowe doświadczenia z pracy i ogólnie z pobytu. Uważałem na słowa i oględnie zreferowałem wynikłe dotąd problemy. I tak szef na odległość nie pomoże; zresztą chyba najgorsze dni już minęły. Wojewódzki komendant jednak domyślił się, co chciałem przekazać – że nasz pobyt nie wyglądał na „lekki, łatwy i przyjemny”. Wyczuwałem w jego głosie, że niezbyt mi jednak wierzył; pewnie przypuszczał, że w zbyt ciemnych barwach opisywałem naszą rzeczywistość. Nie dziwiłem się, też na jego miejscu chyba bym podejrzewał relacjonującego o konfabulację. Każdemu, kto nie ruszał się z Europy, kto nie znalazł się nagle w miejscu o innej mentalności kulturowej, kto nie doświadczył tego osobiście, trudno by było uwierzyć w takie sprawozdanie.

Szybko zrezygnowałem z dalszej relacji. Na dokładny opis będę miał czas po powrocie. Kończył się też czas przeznaczony na rozmowę. Poprosiłem szefa o przekazanie pozdrowień rodzicom moich chłopców i dziewcząt, że wszyscy są zdrowi, że tęsknią, ale czas nam szybko mija. Na szczęście akurat dzisiaj dwie dziewczyny już wyleczyły się z udaru słonecznego, więc nie skłamałem szefowi. Pożegnałem się i rozłączyłem. Dobrze, że rozmowy nie musiałem przeprowadzać kilka dni temu. Dzisiaj, po ponad tygodniu, już nie było tak źle. Zostały niecałe trzy tygodnie pobytu. Miałem nadzieję, że będą dla nas dużo lżejsze.

Kolejny dzień i następne nie przyniosły już nam nieprzyjemnych zdarzeń, sensacje nas omijały. Wpadliśmy w rytm codzienności, jeden dzień był podobny do drugiego. Młodzież nadmiernie nie narzekała, normy pracy prawie wykonywaliśmy. Posiłki na stołówce nie były już torturą dla żołądków. Dalej dożywialiśmy się zakupionym jedzeniem ze sklepu, ale i posiłki na stołówce stały się bardziej strawne. Pomogła pomoc naszych dziewczyn w kuchni – pokazały kucharkom, że z miejscowych produktów też można wypichcić smaczne posiłki. Wystarczyło trochę inwencji i właściwe użycie przypraw. Miejscowe kucharki wpierw się trochę boczyły, ale później nawet podziękowały dziewczynom:

– Wiecie, nawet nie wiedziałyśmy, że można tak jedzenie zrobić. Tyle lat kucharzymy, a tu coś nowego.

– Bo robicie tylko dla swoich, tak jak lubią.

– A co mają nie lubić? Jeszcze by wybrzydzali, niedoczekanie. Ma być dużo, aby głodni nie chodzili.

– Ale z tego samego można lepsze zrobić, smaczniejsze. Tylko troszkę po nowemu.

– A bo my mamy na to czas? Trza tylko dać dużo, to ludzie nie marudzą. Dostajemy też, co tanie i stąd, bo co z daleka przywiozą, to drogie jest.

– Ale z taniego też można, pani Maszo.

– No można, można. Oj, jaki ten świat wielki, a wszędzie inaczej robią.

– To teraz troszkę jedzenia po polsku będziecie umiały.

– Hi hi, tyle lat żyję, nigdzie daleko nie byłam, a teraz po polsku.

– To coś zostanie po nas, jak wyjedziemy.

Wolne popołudnia spędzaliśmy jak dotychczas – kąpiel w Morzu Obskim, obiad i potem czas wolny dla młodzieży. Odczuliśmy, co to znaczy mieszkać na wsi, gdzie nie ma rozrywek dostępnych w mieście. Było dość nudnie, zacząłem więc organizować różne konkursy i turnieje. Zagospodarowywałem moim chłopcom i dziewczynom wolny czas, w dobrze pojętym interesie, ich i moim. Nuda jest złym doradcą, wolałem nie ryzykować po przeżytych doświadczeniach, wyniesionych z kilkuletniej, codziennej pracy z młodzieżą w internacie.

Ten tydzień był czasem zżycia się naszej grupy. Dobrze poznaliśmy się też z miejscowymi. Moje dziewczyny samorzutnie zaczęły organizować konkursy również dla uczniów z sąsiedniego baraku. Stało się tak spokojnie, że nic mi nie zostało, tylko odliczać dni pozostałe do końca naszego wyjazdu.

W piątek po obiedzie znowu pojechaliśmy do Nowosybirska. Trochę pozwiedzaliśmy starsze centrum miasta, pospacerowaliśmy. Nie obyło się bez nieodłącznego punktu wyjazdu – zakupów. Ciągle nie mogłem się przyzwyczaić do zderzenia dwóch rzeczywistości – półki w sklepach z artykułami przemysłowymi były zastawione towarami, w tym nowoczesnym sprzętem elektronicznym, sprowadzanym z Japonii. Sprzedawczynie natomiast dalej zliczały zapłatę na dużych drewnianych liczydłach.

Pamiętałem takie, ale były używane w naszych sklepach gdzieś do końca rządów Gomułki. Na początku lat siedemdziesiątych szybko poznikały, zastąpione przez kalkulatory elektroniczne. Dlaczego ich tutaj jeszcze nie używali? Przecież to już prawie dwadzieścia lat później… Tyle mieli japońskiego sprzętu, a na kalkulatory żałowali? Widocznie, jak zwykle w gospodarce centralnie planowanej, liczyła się przede wszystkim produkcja i sprzedaż „tysięcy sztuk, milionów ton". Wyposażenie branży usługowej w potrzebny sprzęt zostawało na szarym końcu priorytetów władz. Czym by się miały chwalić? Jakimiś małymi kalkulatorami? Ani to waży, ani oszałamia wielkością.

Ten miejscowy folklor spowodował, że czułem się, jakbym zawisł miedzy teraźniejszością a własnym dzieciństwem.

W sklepach spożywczych uzupełniliśmy nadwątlone już zapasy słodyczy, zwłaszcza chałwy i orzeszków ziemnych w polewie z lukru. Tych produktów zazdrościliśmy miejscowym, do tego były bardzo tanie. U nas w Polsce były rzadkością, więc nie było dziwne, że to, co kupiliśmy w Nowosybirsku tydzień temu, w czasie kilku minionych dni zniknęło już w naszych żołądkach. Sam kupiłem z dwa kilogramy tych orzeszków, z myślą o przywiezieniu do domu. Myśl myślą, ale, jak siebie znałem, wiedziałem, że za tydzień będę musiał znowu zakupić orzeszki „do domu"…

Jedyne, co nam przeszkadzało w spacerze, to wysoka temperatura powietrza kontynentalnego klimatu. Upał utrzymywał się od początku naszego przyjazdu. W mieście

odczuwaliśmy go w dwójnasób, gdyż dochodziła duchota i smród rozgrzanego asfaltu, zmieszanego ze spalinami samochodów. Mieliśmy już na to wypróbowany sposób, całkiem przyjemny – co chwila zaglądaliśmy do większych sklepów i kupowaliśmy schłodzone soki. Do tego delektowaliśmy się wspaniałymi lodami. Dlaczego u nas takich nie robią, w wielu smakach i z różnymi dodatkami? Tylko mogliśmy zazdrościć miejscowym i korzystać z tych frykasów, dopóki tu byliśmy.

Syci wrażeń i obkupieni wróciliśmy wieczorem do sowchozu. Poszedłem do baraku uczniów naprzeciwko i zaprosiłem do siebie ich komendanta. Sąsiad już mnie gościł, należał się rewanż, nie mogłem być nieużytym gburem, korzystającym tylko z gościnności miejscowych. Wysłałem też „umyślnego” po milicjanta Wanię. Jemu też należało się podziękowanie; nie upilnował wcześniej naszych pomieszczeń przed kradzieżą, ale nie byłem pamiętliwy, nie zwracałem uwagi na zaszłości. Później sprawił się dobrze, nieważne, że pod groźbą bratania się z białymi niedźwiedziami. Liczyło się późniejsze – to, że solidnie popracował. Odzyskaliśmy wszystkie skradzione rzeczy? Odzyskaliśmy. Należało się więc jemu ode mnie podziękowanie, w imieniu całego naszego hufca.

Po jego przybyciu w trójkę spędziliśmy miły wieczór, nawet trochę pośpiewaliśmy. Nie baczyłem na moje mniej niż skromne możliwości wokalne; skutecznie zagłuszałem gości, nie pozwalając im w pełni błysnąć talentem śpiewaczym.

Długo nie posiedzieliśmy, w sobotę mój hufiec znów miał zaplanowany całodzienny wyjazd. Rano wyruszyliśmy osinobusem. Program przygotowany dla nas był bardzo podobny do poprzedniej soboty – opiekunowie obwozili nas po kolejnych obozach pionierskich oraz obozach młodzieży szkolnej, „dobrowolnie” pracujących na polach sowchozowych. Nie obyło się bez tradycyjnych wymian plakietek – ja im herby i metaloplastykę z panoramą naszych miast, gospodarze dociążali moją pierś nowymi odznaczeniami. Przewidywałem to, dlatego przed sobotnim wyjazdem zdjąłem większość wcześniej już mi przyznanych. Było to rozsądne. Inaczej materiał mojej koszuli mundurowej mógłby nie wytrzymać dodatkowego obciążenia. Z wolnym miejscem na piersi też by były kłopoty, a sam wyglądałbym jak choinka bożonarodzeniowa lub jakiś latynoski dyktator w generalskim mundurze. Na samą myśl o tym aż się uśmiechnąłem; dobrze zrobiłem, że byłem przewidujący.

Po odfajkowaniu wizyt w przewidzianych na sobotę obozach na nasze specjalne życzenie pojechaliśmy jeszcze odwiedzić znanych nam już studentów. Nie jechaliśmy tym razem z gołymi rękoma, po drodze zakupiliśmy trochę wiktuałów na wspólne ognisko. Przywitali nas z radością. Znów spędziliśmy wspaniały wieczór wśród normalnych, luzackich młodych Sybiraków. Pośpiewaliśmy Bułata Okudżawę, Włodzimierza Wysockiego. Szeroka słowiańska dusza jest gościnna i otwarta, kiedy tylko nie jest tłamszona.

Wróciliśmy późno w nocy. Moi młodzi mieli jednak jeszcze chęć i siły na dyskotekę. Nie było wyjścia, musiałem się z nimi ponownie wybrać do sowchozowego domu kultury. Ufność ufnością, ale „strzeżonego…”. Wolałem sam przypilnować. Nie mogłem wymówić się od kilku tańców. Z moimi dziewczętami bym nie zatańczył? Do tego byłem proszony, miałbym odmówić? To byłoby skrajne samolubstwo z mojej strony. Aż takim egoistą nie byłem.

Rano, po spokojnie przespanej nocy, pojechaliśmy nad Zalew Obski. Niedzielę mieliśmy wyłącznie dla nas. Żadnych obowiązkowych wizyt, tylko wypoczynek, kąpiel w rzece i opalanie. Przyjemny dzień, zakończony we własnym łóżku. Przed zaśnięciem, przed nowym tygodniem pracy, po głowie kołatała mi się tylko jedna myśl – czy tak spokojnie będzie już do końca naszego pobytu? Czy zdarzenia z pierwszego tygodnia to już tylko niemiłe wspomnienie? Oby tak było, nie miałem nic przeciwko temu. Przeciwnie, to było moje pragnienie – dotrwać do końca już bez problemów.

W poniedziałek rozpoczęliśmy kolejny tydzień. Minęła już połowa czasu pobytu na Syberii. Przyzwyczailiśmy się do odmiennych warunków życia. Naprawdę człowiek oderwany od swojego środowiska potrafi się przystosować. Może nie wszyscy, ale my tak. Byliśmy nieodłącznymi przedstawicielami naszego gatunku. Potrafił on opanować całą Ziemię, a my nie opanujemy na miesiąc kawałka Syberii? Do tego w ciepłej porze roku?

Minął poniedziałek, potem wtorek i kolejne dni tygodnia. Nic się nie zdarzyło, żadnych problemów. Zacząłem dziwnie się czuć, brakowało mi dopingu, zastrzyku adrenaliny. Co się dzieje? Właściwie dlaczego nic się nie dzieje? Czyżby naprawdę limit niespodzianek na nasz cały pobyt wyczerpaliśmy już w pierwszym tygodniu? Skłamałbym przed samym sobą, że aż tak bardzo brakowało mi nieprzyjemnych zdarzeń. Jednak, mimo wszystko, nawet do złego człowiek potrafi się przyzwyczaić. Po pewnym czasie to „złe” traktuje jako normę. I tego mi brakowało – niespodzianek wynikłych ze zderzenia dwóch jednak odmiennych światów, innych kultur. Wyraźnie wtopiliśmy się w tutejsze warunki. Ta lokalna normalność już mi przeszkadzała. Odczuwałem typowy syndrom kombatanta – dla wielu z takich to wojna była normą, a okres pokoju odstępstwem od niej.

Minął trzeci tydzień pracy, bez żadnych prawie zdarzeń. W piątek po południu pojechaliśmy do miasta, w sobotę znowu objechaliśmy miejscowe obozy dziecięce i młodzieżowe. Mieli ich dużo, w żadnym nie byliśmy dwa razy. Wieczorem przyjechali znajomi studenci. Tym razem my ich w sowchozie przyjęliśmy ogniskiem. Wzmocniliśmy nici wzajemnej sympatii, razem poszliśmy jeszcze na wiejską dyskotekę. Żadnych kłótni, bijatyk, nawet o dziewczynę nikt się nie pobił. Naprawdę tak miło i spokojnie ma już być do końca pobytu? A własne natrętne myśli sprzed tygodnia? Widocznie moje przeczucie nie było nic warte.

Upalną niedzielę spędziliśmy nad Obem. Rozpoczął się ostatni tydzień. Popołudniami, w poniedziałek, wtorek i środę, warowałem już w swoim pokoju przy telefonie. Bez większych problemów, po godzinie lub dwóch oczekiwania, otrzymywałem połączenie z moim szefostwem w Polsce. Zapewniali, że nie będziemy już mieli żadnych problemów w powrotnej drodze do kraju. Wolałem jednak dmuchać na zimne i nie dawałem im spokoju. Nie chciałem przeżywać podobnych przygód jak przy przyjeździe. O dziwo, już w środę wszystkie sprawy z tym związane były pomyślnie załatwione – rezerwacje, bilety, zgodność w czasie połączeń lotniczych i kolejowych. Tym razem wojewódzka komenda nie nawaliła.

W spokoju przepracowaliśmy czwartek. Szybko minął i piątek, ostatni dzień naszej pracy. Bez sensacji, całe ostatnie dwa tygodnie bez sensacji!

Po powrocie do sowchozu usiadłem na chwilę w swoim pokoju. Jeszcze nie dowierzałem, jeszcze nie byliśmy w domu. Czyżby naprawdę moje przeczucia sprzed już dwóch tygodni miały się nie sprawdzić? Wsiądziemy do samolotu, polecimy do kraju, potem koleją dojedziemy do domu i… to wszystko, co nas jeszcze czeka? Bez przygód? Tak po prostu?

Przestałem wyobrażać sobie złe scenariusze. Nic ich nie zapowiadało, więc nie było potrzeby ich tworzyć. Średniowieczny mnich Ockham miał rację, aby odrzucać niepotrzebne „byty”. Tutaj, na miejscu, zostało mi jeszcze kilka rzeczywistych spraw do załatwienia.

Po obiedzie udałem się do budynku dyrekcji sowchozu. Nasza ciężko zapracowana wypłata była już przygotowana w kasie. Pracę różnie wykonywaliśmy, były na początku nieporozumienia, ale w drugiej połówce miesiąca pracowaliśmy już całkiem dobrze, nie odstawaliśmy od lokalnych wymagań. Wypłata pewnie będzie mniejsza, ale nie powinna być aż tak obniżona, jak obawiałem się po pierwszym tygodniu pobytu.

Dyrektor już na mnie czekał. Po przywitaniu wyciągnął z szafki butelkę koniaku, nalał do lampek, wzniósł toast:

– No, kamandir Zdisław. Za co wypijemy? Wypijmy za to, że potrafiliśmy się dogadać. Trudne były początki, ale koniec dużo lepszy. I niech tak zawsze będzie.

– Koniec wieńczy dzieło i pozostaje w pamięci. U nas mówią – co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Wypijmy.

Stuknęliśmy się szkłem, wychyliliśmy lampki. Dyrektor spojrzał na mnie, uśmiechnął się i powiedział:

– Żebyście nas źle nie wspominali. Rozmawiałem wczoraj z moimi władzami. Otrzymałem pozwolenie na wypłacenie waszej grupie podwójnej zapłaty za wykonaną pracę. Razem będzie to około 150 procent przeciętnego zarobku dla każdego.

– O kur… To wspaniała niespodzianka. Bardzo dziękuję.

– Tylko mała prośba, niech wasi ludzie nie rozpowiadają tego moim ludziom. Wiecie, co by się w sowchozie działo po waszym wyjeździe. Pracownicy by mnie zjedli żywcem. Moje księgowe oczywiście wiedzą, ale zakazałem im

rozpowiadać, jeżeli chcą otrzymać przyszłą premię. To najlepiej działa na ludzi.

– Oczywiście, towarzyszu dyrektorze. Jeszcze raz dziękuję.

Wiadomość o aż podwójnej wypłacie dla nas trochę mnie zamurowała, spodziewałem się czego innego. Zaskoczenie szybko mi minęło, domyśliłem się przyczyny – tak jak dyrektor napomknął, wyraźnie miejscowej władzy zależało, abyśmy wyjechali w dobrym nastroju, bez złych wspomnień.

Chwilę jeszcze porozmawialiśmy. W międzyczasie przyszła kasjerka i wypłaciła mi całą wypłatę dla hufca. Podpisałem odbiór pieniędzy i wróciłem do swoich. Dzisiejsza ostatnia kolacja miała być wspólną, małą uroczystością, więc z dyrektorem jeszcze się nie żegnałem.

Młodzież czekała już na mnie z niecierpliwością. Starałem się zachować poważną minę, ale gęba sama mi się śmiała. Jednak jeszcze się wstrzymywałem z powiadomieniem o niespodziance:

– Mam dwie wiadomości. Jedną złą, drugą dobrą. Którą chcecie pierwszą?

– To lepiej złą, panie komendancie. Lepsza niech będzie na koniec.

– No dobra, to wpierw ta zła. Wypracowaliśmy jako hufiec ledwie siedemdziesiąt pięć procent normy miesięcznej.

– Ee tam, myśleliśmy już, że kogoś do łagru wyślą…

– Który to powiedział?! Maciek, oby ci język sczerniał! Wypluj to słowo!

– Przecież żartowałem, panie komendancie…

– Przecież wiem. Ale lepiej nie przypominaj mi tego. Nie chciałbym już drugi raz w życiu czegoś podobnego przeżywać. Cholera, mało nie osiwiałem wtedy przez was.

– Panie komendancie…

– A niech cię! No, dobra już.

– Panie komendancie, ale ta druga wiadomość? Ta dobra? – jedna z dziewczyn przytomnie przypomniała mi o tym, czego jeszcze nie dopowiedziałem.

– Ta dobra? Noo, jakby to powiedzieć… Hmm…

– Niech pan już powie!

– Już mówię, nie poganiajcie mnie. Każdy dostanie wypłatę za te siedemdziesiąt pięć procent wyrobionej normy… razy dwa.

– O rany!

Na wieść o podwójnej wypłacie ze wszystkich gardeł jednocześnie wydobyły się głośne okrzyki radości. Musiałem ich szybko uciszyć:

– Przestańcie krzyczeć! Ciszej… ciszej! Macie to zachować w tajemnicy. Żebyście się nie wygadali przy pożegnalnej kolacji, czy gdzie indziej. Ani mru-mru miejscowym. To prośba dyrektora, nie chce mieć kłopotów ze swoimi pracownikami po naszym wyjeździe. Teraz każdy otrzyma swój zarobek. Potem macie wolny czas do kolacji. Nacieszcie się wypłatą, ale popakujcie też to, co już możecie. Mniej zostanie na rano.

Wyjąłem otrzymane pieniądze i wszystkim po kolei je wypłaciłem. To była bardzo przyjemna chwila. Ponownie przypomniałem o zakazie rozpowiadania o otrzymaniu podwójnej stawki zapłaty. Kiedy już wszyscy wyszli, sam wziąłem się za pakowanie rzeczy.

Wieczorne pożegnanie z naszymi gospodarzami przeciągnęło się do kilku godzin. Było dużo wspominek, śmiechów z pierwszych nieporozumień. Jednak przeżyliśmy wspólnie z miejscowymi cały miesiąc. To dużo czasu, zwłaszcza kiedy człowiek jest daleko od kraju. Ważne, że wszystko kończyło się dobrze. Podwójna wypłata też nas podbudowała, nie tylko materialnie. Chyba najbardziej zadowolone były dwie dziewczyny, które po udarze słonecznym w pierwszym dniu przeleżały cały tydzień w szpitalu. Nie dość, że ich nieroztropność nie skończyła się gorzej, to jeszcze otrzymały całą wypłatę, taką jak inni.

Wspólna kolacja upłynęła w bardzo przyjemnej atmosferze. Przed północą pożegnaliśmy się z gospodarzami i udaliśmy na nocny spoczynek. To miała być już nasza ostatnia noc na Syberii.

Rozdział 12.

Powrót na Ojczyzny łono

Ostatni poranek na Syberii powitał nas tak samo, jak przez wszystkie minione dni lipca – upałem i słońcem na bezchmurnym niebie. Zjedliśmy ostatnie śniadanie, potem spakowaliśmy resztę rzeczy. Czas się już było rozstać, nadszedł koniec naszego miesięcznego pobytu. Pożegnaliśmy się z gospodarzami i współmieszkańcami w sowchozie. Różnie bywało, ale w momencie odjazdu nikt już o tym nie pamiętał.

Podjechał „nasz” Hans. Znowu się wyelegancił. Zżyliśmy się z nim przez miniony miesiąc, polubiliśmy; zawsze był do naszej dyspozycji, niezależnie od pory dnia. Tym razem wiózł nas po raz ostatni…

W Nowosybirsku mieliśmy jeszcze kilka godzin wolnego czasu, więc pobuszowaliśmy po sklepach i zrobiliśmy ostatnie zakupy. Niektórzy ledwie je pomieścili w swoich przepastnych, ale już wcześniej wypełnionych torbach; każdy wolał wydać zarobione ruble na miejscu, niż wieźć

pieniądze do Polski. Takiego towaru jak w Nowosybirsku nie było u nas w kraju gdzie kupić. Do tego, co bardzo ważne, mieliśmy zaświadczenie o zarobku i pozwoleniu na przewóz zakupów przez granicę w wysokości wypłaty. Nie musieliśmy się więc martwić o odprawę celną, żadnych nerwów i obaw. Można rzec, że przystąpimy do odprawy prawie jak dyplomaci czy VIP. Chyba że któryś celnik byłby zbyt dociekliwy…

Nadszedł już czas odlotu. Hans dowiózł nas na lotnisko i serdecznie się z nim pożegnaliśmy. Wręczyłem mu drobny upominek w imieniu całej naszej grupy. Był rozradowany naszym prezentem. Na odchodne życzyłem mu jeszcze osobiście:

– Może uda ci się dostać to pozwolenie na stały wyjazd i pojedziesz do siostry do Niemiec. Życzę ci tego. Wtedy do… może zobaczenia? Świat mimo wszystko jest mały, a Niemcy są u mnie pod bokiem. Trzymaj się, Hans. Szerokich dróg i gumowych drzew. Cześć.

– Obym dostał. Dziękuję. Spokojnej podróży. Ech, szkoda, że już lecicie… – i uściskał się ze mną serdecznie na pożegnanie.

Tak, trochę szkoda, że już lecimy. Jest jednak czas powitań, jest i czas rozstań. Na nas nadszedł czas powrotu.

Mieliśmy lecieć linią wewnątrzkrajową Nowosybirsk–Moskwa. W tym czasie nikt u nich jeszcze nie słyszał o porwaniach samolotu, nie było drobiazgowej kontroli, więc odprawa na lotnisku przeszła sprawnie. O nadbagażu też na szczęście nie było jeszcze słychać… inaczej

mielibyśmy się z pyszna. Wystarczyło spojrzeć na ogromne torby i walizy, które większość z nas dźwigała.

Wsiedliśmy do samolotu. Popularny TU-154, „Tutką” zwany, wzniósł się w powietrze i obrał kurs na Moskwę. Tam mieliśmy się przesiąść do polskiego samolotu. Po raz ostatni zobaczyliśmy w dole szeroko rozlaną wstęgę rzeki Ob, zaporę i całe rozrzucone między lasami półtoramilionowe miasto. Trochę z nostalgią opuszczaliśmy tę ogromną krainę, gdzie „sto gramów to nie wódka, sto wiorst to nie odległość, sto rubli to nie pieniądz”. Zakosztowaliśmy na początku namiastki średniowiecza, niezrozumienia, ale także i syberyjskiej gościnności. Niektórym dziewczynom nawet łezka się w oku zakręciła. Dla większości z nas, a może i dla wszystkich, był to pierwszy i pewnie ostatni pobyt na Syberii.

Przez cały lot mieliśmy słoneczną i bezchmurną pogodę. Znowu mogliśmy podziwiać z góry wspaniałą syberyjską przyrodę. Rozparłem się wygodnie w fotelu. Pod nami kilometrami ciągnęła się zielona tajga, przecinana wstęgami rzek; z rzadka widać było wioski czy przysiółki.

Przelecieliśmy nad górami Ural. Tym razem, w przeciwieństwie do pierwszego lotu, nie były przykryte chmurami. W dole majestatycznie przesuwały się łagodne wierzchołki gór i doliny, pokryte lasami lub stepem. Piękny plastycznie obraz, prawie jak na oleodrukowym landszafcie. Jedynie czerwonej linii, oddzielającej geograficznie Azję od Europy, znowu nie dojrzeliśmy…

Nie miałem w czasie lotu nic do roboty. Wygodnie siedząc w fotelu, kontemplowałem widoki, z wolna przesuwające się kilka kilometrów pod nami. Samolot z każdą godziną zbliżał się do Moskwy. Po minięciu łańcucha Uralu lecieliśmy już nad Europą. Odetchnąłem głęboko, wreszcie byliśmy na rodzimym kontynencie. Cała druga połowa pobytu na Syberii minęła bez sensacji, moje przeczucia okazały się tylko niepotrzebnym niepokojem. Nawet „ukochany" Sławuś, sumiennie przez dyżurnych pilnowany, nie sprawiał nam później większych kłopotów. Mogłem teraz odpocząć, rozluźnić się. Za chwilę wylądujemy w stolicy tego ogromnego kraju, rozciągającego się przez dwa kontynenty. W Moskwie przesiądziemy się do samolotu LOT-u i jednym skokiem znajdziemy się w Warszawie. Potem kilka godzin jazdy koleją i będziemy w domu. Niedługo więc koniec moich obowiązków, już nic nie powinno mnie zaskoczyć. Uczciwie zapracowałem przez miesiąc na ten wypoczynek w powrotnej drodze.

Wreszcie w dole pojawiło się ogromne miasto. Moskwa. Samolot zniżył lot i wylądowaliśmy na krajowym lotnisku Wnukowo. Zabraliśmy nasze bagaże i oddaliśmy je do przechowalni. Dopiero teraz przyjrzałem się dokładnie, ile pękatych toreb i walizek mieli niektórzy. Tego „podręcznego" bagażu przybyło im chyba w trójnasób. Kwitki o zarobku miałem przy sobie, będę więc miał czym się okazać przy kontroli celnej mojej młodzieży. Jedyny kłopot byłby, gdyby nadgorliwy urzędniczyna zechciał

skontrolować oddzielnie jakąś osobę z mojej grupy. Przy dokładnym sprawdzeniu i podliczeniu wartości wywożonych towarów mogłaby wyjść zbyt duża nadwyżka w stosunku do zarobku.

Starałem się o tym nie myśleć. Będę się kłopotał, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Może jednak nie będzie tak źle – zorganizowana grupa, do tego oficjalna, w ramach wymiany młodzieży, zawsze była dużo łagodniej traktowana na granicy. Liczyłem, że będzie tak i tym razem.

Zostawiłem hufiec w hali przylotów, a sam poszedłem sprawdzić nasz samolot do Warszawy. Wszystko tym razem było w zupełnym porządku. Bilety były już dla nas zabukowane. Mieliśmy odlecieć z międzynarodowego lotniska Szeremietiewo 2 dopiero wieczorem, za prawie dziesięć godzin. Zaoszczędziliśmy czas, lecąc ze wschodu na zachód, i w ten sposób uciekając przed Słońcem. Co straciliśmy przy przylocie na Syberię, to teraz odbieraliśmy. Dzięki temu mieliśmy prawie cały dzień w Moskwie dla siebie.

Odciążeni już od bagaży, wybraliśmy się całą grupą do centrum Moskwy. Szkoda było zmarnować taką okazję na zwiedzanie, mieliśmy jeszcze dużo wolnego czasu. Metro! W pierwszej kolejności przejechaliśmy się podziemną kolejką. Moskiewskie metro było wykopane bardzo głęboko, przynajmniej w centrum. Jego budowę rozpoczęto w latach trzydziestych, z podwójnym przeznaczeniem – jako tunel dla kolejki, a jednocześnie jako schron przeciwlotniczy na wypadek wojny. Spełnił tę drugą funkcję pod koniec 1941

roku, kiedy Niemcy bombardowali miasto. (Później, już w latach istnienia nowej Rosji i rządów Jelcyna, Rosjanie ujawnili, że w metrze była zbudowana dodatkowa odnoga – tajny tunel prowadzący na podziemny peron w obrębie Kremla. Stał tam ciągle specjalny pociąg, do wyłącznej dyspozycji Stalina, w każdej chwili gotowy do wyjazdu w przypadku jakiegoś zagrożenia.)

Wysiedliśmy z metra przy placu Czerwonym, nazwanym tak już w średniowieczu ze względu na czerwony kolor murów kremlowskich. Chcieliśmy zobaczyć mauzoleum Lenina, ale kolejka oczekujących była tak długa, że szkoda nam było marnować czas na zwykłe stanie. Tej przyjemności długiego stania w kolejkach (chociaż nie w celu oglądania kogoś lub czegoś, tylko zakupów deficytowych towarów) mieliśmy aż w nadmiarze w domu. Wybraliśmy się więc na spacer po centrum miasta. Odległości były ogromne, nogi schodziliśmy, ale czasu mieliśmy jeszcze sporo. Pogoda też sprzyjała, było słonecznie, ale na szczęście nie tak gorąco jak w Nowosybirsku.

Przechadzaliśmy się dalej po centrum, zaglądając czasem do sklepów. Oglądaliśmy architekturę, zarówno przedrewolucyjną, jak i socrealistyczną, oraz mnóstwo pomników z dawniejszej i nowszej historii państwa. Na ulicach i domach nie brakowało propagandowych plakatów i obrazów. Na jednym z placów królował pośrodku ulicznego ronda obraz przedstawiający popiersie dawniejszego „genseka”, to znaczy sekretarza generalnego

KPZR Leonida Breżniewa. Obraz miał duże wymiary, mierzył z dwa na trzy metry. Przypatrzyłem się mu uważniej, bo coś mnie w obrazie zastanowiło. Nieżyjący już gensek przedstawiony był w cywilnej marynarce, ale z pełną galą orderową na niej, jak to u nich było w zwyczaju. Nie to mnie zastanowiło; w pierwszej chwili nie wiedziałem, co mi w obrazie nie pasowało. Nagle zajarzyłem – lewa połowa postaci Breżniewa była wyraźnie szersza niż prawa. Wszystko stało się jasne, ledwie powstrzymałem się od głośnego wybuchu śmiechu. Zakrztusiłem się, ale opanowałem skurcze przepony.

Młodzież spojrzała na mnie zdziwiona, nie widząc naokoło nic, co mogło mnie tak rozśmieszyć. Wskazałem na obraz i zagaiłem:

– Przypatrzcie się uważnie.

– O rany, malarz był pijany czy co?!

– Pijany, nie pijany, ale ja bym mu nie zapłacił za robotę. Sknocił ją dokumentnie lub… chyba się domyślam. Wiecie, kto tam jest namalowany?

– Eee…

– Nie żadne „eee”. Nie znam nikogo w dziejach o nazwisku „Eee”. Wie ktoś czy nie? Zmarł dopiero pięć lat temu. Przyjrzyjcie się uważnie. Na pewno widzieliście go w podręczniku do historii. Te ogromne krzaczaste brwi, ta mina…

– To Breżniew!

– No. Lońka we własnej osobie. Mocno niewymiarowy z jednej strony, ale to on.

Dłużej już nie pytałem, tylko zrobiłem mały wykład z historii najnowszej kraju, w którym spędziliśmy miniony miesiąc – kiedy Breżniew w roku 1964 został władcą państwa, prawie w każdym następnym otrzymywał nowe ordery, które ogromnie uwielbiał. W rocznice Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, po naszemu II wojny światowej, otrzymywał kolejne Ordery Lenina, których nazbierał aż osiem. Nadawano mu także najważniejszy order wojenny ZSRR – Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego – pierwszą, drugą, potem trzecią i czwartą. Wszystkie ordery „za zasługi” w dawno minionej wojnie. Do tego order Bohatera Pracy Socjalistycznej i wiele, wiele innych. Według ich zwyczaju w święta państwowe odznaczeni orderami czy medalami przypinali najważniejsze z nich nie tylko na mundurach, ale i na cywilnych marynarkach. Na portrecie Breżniew miał je więc również namalowane na swojej marynarce.

Zmarły gensek wyglądał na obrazie dość młodo. Malarz musiał chyba namalować go dawno, za jego życia, pewnie jeszcze w końcu lat sześćdziesiątych lub wczesnych siedemdziesiątych. Kiedy Breżniew otrzymywał kolejne Złote Gwiazdy czy Ordery Lenina, plastyk po prostu domalowywał je. Nowych nie mogło zabraknąć na portrecie w samym centrum Moskwy. Przecież o każdym takim odznaczeniu rozpisywały się tutejsze najważniejsze gazety na trzy czwarte szpalty pierwszych stron. Malarz szybko więc uzupełniał obraz o kolejne ordery. W pewnym momencie musiało mu zabraknąć miejsca na lewej piersi

Breżniewa. Nie ryzykował podmiany, zamalowania mniej ważnych. Wszystkie najważniejsze były ważne. Nie mógł też zmniejszyć wymiarów odznaczeń. Co więc pacykarz zrobił? Nie mógł przecież namalować kolejnego orderu na lewym rękawie. Wpadł na genialny pomysł i rozwiązał kwadraturę koła. Podobnie jak Aleksander Wielki Macedoński, malarz rozwiązał swój gordyjski węzeł w najprostszy sposób.

W jaki? Przemalował część obrazu, poszerzając znacznie lewą część marynarki i korpusu Breżniewa. Miał już wolne miejsce i mógł swobodnie uzupełniać portret o kolejne ordery. Przewidująco zostawił jeszcze dość miejsca na następne. Powinien namalować obraz od nowa, ale widocznie nie lubił się przepracowywać. Poszedł na łatwiznę i przemalował tylko jedną stronę malowidła, z zapasem na kolejne lata. Nie mógł przecież wiedzieć, jak długo gensek jeszcze pożyje. Malarz trochę przedobrzył i taki już zdeformowany obraz pozostał na rondzie. Jak znam życie, pewnie pacykarz po każdym domalowaniu gwiazdki brał zapłatę jak za cały nowy obraz.

Po moich wyjaśnieniach dziewczęta i chłopcy wybuchnęli głośnym śmiechem. Uciszyłem ich, ale sam uśmiechnąłem się na wspomnienie własnych problemów z moją lewą „piersią orderową”, po kolejnych odwiedzinach zakładów i obozów dziecięcych w Nowosybirsku i w jego okolicy. Na szczęście to ja decydowałem, które odznaki mogę schować, aby zrobić miejsce dla kolejnych. Zostawiałem najładniejsze i najbardziej szykowne, resztę pakowałem do torby podróżnej.

Teraz wiozłem je wszystkie do domu, schowane głęboko na jej dnie. Nie musiałem już ich nosić na oficjalne wizyty; nie wracaliśmy w koszulach mundurowych, tylko w swoich prywatnych koszulach i bluzkach. Na podróż powrotną pozwoliłem wszystkim schować „mundurki”, inaczej niż przy przyjeździe. Po miesiącu znałem już na pamięć wszystkie twarze i sylwetki moich podopiecznych, jak na fotografii listu gończego. Nie zgubię ich w tłumie, nawet Sławusia. Chociaż przezornie i teraz wyznaczyłem kolejnych dwóch dyżurnych do jego pilnowania.

Czas na zwiedzanie centrum Moskwy powoli się kończył. Odszukałem przystanek komunikacji miejskiej, wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy na lotnisko. Odebraliśmy z przechowalni nasze bagaże i udaliśmy się spokojnie do terminalu międzynarodowego lotniska Szeremietiewo 2. Do odlotu mieliśmy jeszcze prawie dwie godziny, mnóstwo czasu na spokojne przejście przez odprawę paszportową i celną.

Weszliśmy do ogromnej hali odlotów dworca lotniczego. W środku była podzielona wysokimi na ponad dwa metry szklanymi ściankami na oddzielne boksy i przejścia do właściwych wyjść na płytę lotniska międzynarodowego. Popatrzyłem w górę na tablice informacyjne i odszukałem drogę do naszego wyjścia. Całą grupą zaczęliśmy się przepychać przez kłębiący się tłum podróżnych różnych narodowości i ras. Gwar był bardzo duży, uszy atakowała kakofonia wielu języków świata. Dobrze, że nie musiałem nikogo pytać o drogę – informacje były wyświetlane nad

głowami, wystarczyło się tylko nimi kierować. Bez błądzenia szybko dotarliśmy do naszego celu. Bramka nie różniła się od typowych wejść i wyjść na lotniskach – była wąskim przejściem dla jednego człowieka. Z boku był umiejscowiony transporter dla bagażu i skaner z monitorem do jego prześwietlania. Za przejściem stało kilku celników.

Jednak nie byliśmy pierwsi. Przed naszym wyjściem kłębił się tłum kilkudziesięciu ludzi o smagłej cerze. Z dochodzących do moich uszu głośnych rozmów między celnikami zrozumiałem, że pasażerowie byli Hindusami. Zmarkotniałem nieco, będziemy musieli swoje odstać w kolejce. Że też Hindusi musieli wychodzić tym samym przejściem co my. Byliśmy jednak przyzwyczajeni w kraju do kolejek. Nie ma się czym martwić, mieliśmy jeszcze dużo czasu. Po prostu będziemy krócej czekali w samolocie na start.

Po kilkunastu minutach zacząłem się jednak powoli niepokoić. Rzeczywistość zaczęła skrzeczeć, dokładniej – wrzeszczeć. Może nie tyle rzeczywistość, co przedstawiciele tego samego gatunku homo sapiens co my. Kolejka przez ten czas prawie się nie przesunęła. Hindusi stojący z samego przodu właśnie wrzeszczeli, wymachiwali rękoma, łapali się za głowę. Za nimi inni ich pobratymcy, niecierpliwie przestępujący z nogi na nogę, też nie próżnowali, wtórowali tym z przodu we wrzaskach i gwałtownej gestykulacji. Nie pomagało to ani trochę

w zmniejszaniu się liczby oczekujących przed wyjściem na płytę lotniska. Co się dzieje?!

Przepchnąłem się z boku trochę bliżej, aby się przypatrzyć i zorientować w sytuacji. Na stole za bramką piętrzył się stos wysypanych rzeczy z kilku waliz i toreb krzyczących pasażerów. Celnicy pokazywali na niektóre z nich, głośno dyskutując z Hindusami i kręcąc przecząco głowami. Nie mieli wyraźnie najmniejszego szacunku dla podróżnych reprezentujących drugą najliczniejszą nację świata. Ci zaś w odpowiedzi wrzeszczeli jeszcze głośniej, ich ręce kręciły młynka jak skrzydła wiatraka przy porywistym wietrze, głowami kręcili charakterystyczne ósemki, które tylko oni sami rozpoznawali jako przeczenie lub potwierdzenie.

Nic nie pomagało, celnicy byli niewzruszeni. Wyraźnie nie chcieli ułatwić powrotu do domu przybyszom zza Himalajów. Może chcieli odegrać się za syberyjskie mrozy spowodowane wbiciem się indyjskiego subkontynentu w Azję. Przecież Himalaje ciągle rosną i rosną, odcinając dopływ bardziej na północ ciepłych i wilgotnych mas powietrza znad Oceanu Indyjskiego. Wiadomo, akurat w tym wypadku nie była to wina cyklistów ani masonów. To była wyłączna wina Hindusów. Nikogo innego.

Mało mnie jednak zajmowała ich awantura z celnikami. Natomiast czas upływający nam w nieprzesuwającej się kolejce interesował jak najbardziej. Długo ten rozgardiasz jeszcze potrwa? Czasu do odlotu naszego samolotu było jeszcze dużo, ale bezproduktywnie zmniejszał się z każdą

minutą. Upływał powoli, ale nieubłaganie, jak przesypujący się piasek w klepsydrze przed oczami skazańca, odmierzając każdym ziarenkiem ostatnie chwile jego życia. Nie byliśmy skazańcami, ale coraz bardziej się denerwowałem. Dość już miałem wszelkiego rodzaju niespodzianek. Chciałem tylko spokojnie powrócić do domu.

Odczekałem jeszcze chwilę, mając ciągle złudną nadzieję, że wreszcie kolejka zacznie się przesuwać w kierunku bramki. Przecież celnicy muszą coś zrobić z tymi Hindusami, nie mogą blokować odprawy innych pasażerów. Niestety, szybko potwierdziło się znane powiedzenie, że nadzieja matką głupich. Awantura, zamiast się zakończyć, przybierała na sile. Przybył nawet, pewnie zwabiony hałasem, nowy celnik o wyższej szarży, widocznie ich kierownik. Sytuacji jednak nie rozładował. Przeciwnie, rozżarzała się do czerwoności jak podgrzewana stal w martenowskim piecu. Twarze Hindusów były tak rozgorączkowane z emocji, że utraciły nawet swoją naturalną śniadość. Kolejne minuty upływały, a my dalej staliśmy. Spojrzałem na zegarek – zostały jeszcze trzy kwadranse. Sekundnik nieubłaganie odmierzał uciekające sekundy.

Nie było już na co czekać, należało działać. Zdecydowałem się. Zacząłem przepychać się do przodu przez tłum Hindusów, używając w potrzebie łokci i nie zważając na ich pełne oburzenia okrzyki. Przecież i tak ich nie rozumiałem. Dotarłem do bramki i zakrzyknąłem do

celników, próbując się dowiedzieć, kiedy wreszcie zaczną nas odprawiać. Nawet nie zareagowali, jakby mnie nie słyszeli. Byli całkowicie zaaferowani kłótnią z Azjatami. Głos jednak miałem donośny. Krzyknąłem jeszcze raz. Z podobnym skutkiem – żadnej reakcji. Co jest?! Nie raczą nawet odpowiedzieć? Traktują mnie jak powietrze?!

To już nie były przelewki. Mogliśmy nie zdążyć z odprawą przed odlotem samolotu. Co mam zrobić? Co tu wymyślić? Przecież nie zostaniemy na lodzie, to znaczy na lotnisku w Moskwie. Mamy nie odlecieć przez durną kłótnię, która nas w ogóle nie dotyczy? A tak jeszcze niedawno byłem spokojny i rozluźniony; przecież na drogę powrotną mieliśmy wszystkie dokumenty i zaświadczenia w najlepszym porządku.

Zrezygnowałem z dalszego bezowocnego wykrzykiwania do celników. Odwróciłem się i znów się przepchałem między Hindusami do swojej grupy. Nie chciałem ryzykować dalszego czekania. Nie można po naszemu, to trzeba po ichniemu. Na chama, z góry! To u nich działa.

Moja młodzież była już także bardzo zaniepokojona, widziała nieprzesuwającą się kolejkę podróżnych przed nami. Zakreśliłem ręką w powietrzu krąg, pokazując, aby wszyscy się zgromadzili wokół mnie. Przekrzykując hałas, zakomenderowałem:

– Widzicie, co się dzieje? Przez tych Hindusów możemy nie odlecieć. Nie ma czasu na dalsze czekanie w kolejce. Przebierajcie się natychmiast w nasze koszulki mundurowe.

Szybko! Nie pytajcie po co. I nie szukajcie przebieralni. Przebierać się tutaj.

– Ale panie komendancie, ja ją mam na samym dnie torby. Nie myślałam, że będzie jeszcze potrzebna – odezwała się płaczliwie jedna z dziewcząt.

– Ja też.

– I ja… I ja… – zawtórowały inne.

– To nie marnujcie czasu na gadki, tylko się pośpieszcie z ich wyciąganiem. Chcecie tu zostać? No. Chłopcy, zróbcie krąg plecami do środka i zasłońcie sobą dziewczyny, żeby mogły się przebrać. Szybciej! Kiedy się przebierzecie, ustawcie się karnie w dwuszeregu. Równiutko pod linijkę stanąć, piersi wypięte, ruki pa szwam i ani mru-mru! Piotrek, odpowiadasz za ustawienie. To ma być pokaz dyscypliny, rozumiesz? Pani Aniu, pani staje na początku. Reszta to moja głowa. Może się uda. Przebierać się, ale już!

Sam wyciągnąłem z torby swoją mundurową koszulę. Przebrałem się szybko, wygładziłem fałdy. Na lewym rękawie godło Polski, nad lewą kieszenią dystynkcja komendanta hufca – trzy gwiazdki i pod nimi belka. Od razu widać, że ważna szarża. Teraz najważniejsze – z namysłem, tym razem bez zbytniego pośpiechu, zacząłem wybierać najbardziej okazałe i błyszczące odznaki oraz odznaczenia spośród tych, którymi byłem tak obficie dekorowany przez cały miesiąc pobytu. Jak ja się podśmiewałem z tej maniery odznaczania. Teraz w duchu sam sobie podziękowałem, że jednak nie zostawiłem tych blaszek, błyszczących różnymi kolorami w świetle lamp, w sowchozie. Miałem taki zamiar,

bo do czego miały mi się przydać w Polsce? Wrzuciłem je w ostatniej chwili do torby; dużo miejsca nie zajmowały, chociaż razem prawie kilogram ważyły. Teraz mogły się okazać naszym wybawieniem.

Wreszcie, z pomocą kilku dziewcząt, gdyż co damskie oko, to damskie, wybrałem najładniejsze dwadzieścia odznak. Poprzypinały mi je na lewej i prawej piersi. Najokazalsze umieściły wyżej; na samej górze najwspanialszy okaz, ten ze startującą na słupie ognia rakietą. Poprosiłem o lusterko, przyjrzałem się uważnie, poprawiłem, co trzeba. Chyba wszystko w porządku. Wyglądałem jak prawdziwy bohater, który lata młodości spędził na wojnie. Wojnie spędzonej na pierwszej linii frontu, a wszystkie kolejne awanse i ordery zawdzięczał osobistemu męstwu i roztropnemu dowodzeniu, a nie służalczości wobec przełożonych.

Ściągnąłem mocniej pasek w spodniach. Byłem gotowy, czas było ruszyć do decydującego boju. Zerknąłem na moich – prawie wszyscy już zdążyli się przebrać i ustawiali się w dwuszeregu.

Czas! Zacząłem ponownie przepychać się przez tłum Hindusów, tym razem wrzeszcząc władczo. Pomagało, nie musiałem zbytnio posiłkować się łokciami i kuksańcami. Na widok żywej, błyskającej w świetle jarzeniowych lamp choinki, która do tego gromko krzyczała z wysokości słusznego wzrostu, chwilowo milkli i skwapliwie usuwali się z drogi. Wybijając na posadzce rytm obcasami – raz dwa,

raz dwa, raz dwa! – szybko doszedłem do upragnionej bramki. Nie czekając na reakcję celników, ryknąłem:

– Kto tu dowodzi?! Gdzie naczelnik?! Natychmiast muszę z nim rozmawiać! Natychmiast! Zrozumiano?!

Zadziałało. Co kraj, to obyczaj. Kto nie wie, jak to wykorzystać w potrzebie chwili, przegrywa. Kto wie, wygrywa. Jeden z celników spojrzał zaskoczony na mnie, potem na moją „waleczną" pierś obwieszoną medalami i odznaczeniami i… w podrygach pobiegł na zaplecze. Drugi celnik usłużnie pokazał mi z boku puste miejsce, przed szklanym przepierzeniem:

– Tutaj, towarzyszu, poczekajcie chwileczkę. Kolega właśnie pobiegł zawiadomić.

Wolnym już krokiem, z założonymi z tyłu rękami, spokojnie udałem się we wskazane miejsce. Nie zapomniałem o utrzymywaniu gradowej miny. Znalazłem się w centrum zainteresowania. I o to mi chodziło, efekt osiągnąłem, ale nie mogłem wypaść z przybranej roli. Inaczej z góry mogliśmy się pożegnać z odlotem do Polski.

Nie minęła nawet minuta, a drzwi zaplecza otworzyły się i wytoczyła się z niej postać. O jasna cholera!

Osobnik, który ukazał się moim oczom, mógłby swoją posturą i wyglądem porządnie przestraszyć zwykłego zjadacza chleba, gdyby trafił jeden na drugiego w jakimś ciemnym zaułku. Wyższy był ode mnie, też przecież nie ułomka, o dobre pół głowy. Nie miał na głowie służbowej czapki, która i tak nie zmieściłaby się na ogromnym kłębowisku zmierzwionych włosów, ułożonych przemyślnie

w dziwaczne konfiguracje wymyślone chyba przez szalonego fryzjera. Potężna postać, dłonie wielkie jak bochny wiejskiego chleba. Jeszcze oblizywał językiem resztki jedzenia, kiedy wściekłym wzrokiem rozglądnął się po hali. Był wyraźnie rozdrażniony. Mało powiedziane – był rozjuszony, jak ruszony z legowiska tur w ostępach biebrzańskiej puszczy. Kto śmiał mu przerwać spokojną urzędniczą sjestę za biurkiem?! Wściekłość o mało co nie rozsadzała jego nabrzmiałej twarzy. Wcześniej nie ruszyły go z miejsca odgłosy awantury z Hindusami, które niewątpliwie dochodziły do jego spokojnego zaplecza. Widocznie nie była to dla niego pierwszyzna. Nic takiego, co mogłoby osobnikowi przeszkadzać w spokojnym urzędowaniu. Teraz zaś ktoś śmiał zakłócać jemu święty spokój? Jemu?!

Pierwszy raz poczułem się dość niepewnie. Czyżbym trafił na większego franta? Patrzył na mnie prawdziwy olbrzym. Dwa metry wzrostu, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Po prostu Schwarzenegger z lat jego największych triumfów. Gdzie mi do niego z moimi mikrymi dziewięćdziesięcioma kilogramami. Do tego musiałem nawet lekko zadrzeć głowę. O kurde! Ale kolos!

Sto pięćdziesiąt żywych kilogramów spojrzało wściekle na mnie przez szybę. Lekko jednak odetchnąłem. Ta potężna postura to nie były mięśnie. Co najmniej trzydzieści kilo ważył sam nadprogramowy brzuch. Kolejne kilogramy bujały się na potężnym torsie przy każdym świszczącym sapnięciu – dwa potężne melony, schowane pod

dopasowanym mundurem celnika. Kobieta! Naczelnikiem okazała się kobieta. Ruska baba. Ale jaka baba! W obwodzie musiała mieć pewnie tyle samo co wzrostu. Prawdziwa matrioszka powiększona do olbrzymich rozmiarów. Tyle że nie wytoczona z drewna, a żywa i nie tak dobrotliwie usposobiona. Prawdziwa burza gradowa z piorunami.

Mimo ulgi, że to tylko nadwaga u matrioszki, a nie stalowe mięśnie rosyjskiego siłacza, dalej czułem się nieswojo. W co ja się wpakowałem, ale też wpadłem na pomysł. Przecież ona jest tu władzą, a ja tylko zwykłym podróżnym…

Nie było już jednak odwrotu. W grę nie wchodziło zniknięcie angielskim sposobem, nie miałem też zamiaru koczować na moskiewskim lotnisku nie z naszej winy. Byliśmy u nich miesiąc i wystarczy. Poznaliśmy ich obyczaje i tęskniliśmy już do normalności. Jaka była ta normalność, taka była. Była jednak swojska i obłaskawiona. A najważniejsze to oczekujące na nas z utęsknieniem rodziny. Nie dam się!

„Burza gradowa” już otwierała wierzeje swoich usteczek, ukazując czeluść okraszoną blikami błyskającymi na złotych zębach. Byłem na szczęście o ułamek sekundy szybszy. Już otrząsnąłem się z zaskoczenia, wywołanego pierwszym wzrokowym kontaktem. Co ja jestem, od macochy czy co? Sroce spod ogona w maleńkości nie wypadłem. Zgodnie z zasadą, że najlepszą obroną jest atak, błyskawicznie zareagowałem. O ten ułamek sekundy szybciej. Na najgłośniejszym diapazonie głosu

wykrzyczałem, co chciałem, prawie prosto jej w twarz. Szklana przegroda nie stwarzała w tym problemu:

– Towarzyszka tu odpowiada za porządek?! To jest burdel na kółkach, a nie międzynarodowe lotnisko, wizytówka Kraju Rad! Hałas, rwetes, nie wiadomo, kto za co odpowiada! Nikt nic nie wie, nie wiadomo, kto tu rządzi. Wiecie, jaka opinia pójdzie w świat?! Nie pogłaszczą was za to, już moja w tym głowa! Złożę meldunek moim władzom po powrocie! Co wy sobie wyobrażacie, dupsko w fotelu w czasie pracy grzejecie, a my, polski oddział młodzieży, nie możemy się przez was do samolotu dostać?! Wiecie, co tu robiliśmy? Cały miesiąc pracowaliśmy w ramach międzynarodowej wymiany, wasz zaś oddział był u nas. Pogłębialiśmy więzi przyjaźni polsko-radzieckiej, a wy jak jakiś sabotażysta chcecie to zniszczyć waszą nieudolnością w pracy?! Całkowita niekompetencja, wasi ludzie nie wiedzą, co robić, za chwilę odleci nasz samolot, a my ciągle stoimy przed bramką! Zobaczcie, towarzyszko, jak pracowaliśmy u was, jakie medale otrzymałem za wzorową pracę i umacnianie więzów przyjaźni. Nie przerywajcie mi, teraz ja mówię! Tu patrzcie, widzicie to odznaczenie z rakietą? Czy myślicie, że każdy je otrzymuje? Byle kto wpuszczony byłby do takiego zakładu? Nie podnoście mi tutaj, towarzyszko, głosu! Patrzcie tam, widzicie? To stoi mój hufiec, zdyscyplinowany oddział polskiej młodzieży. Wybrani z setek chętnych. Najlepsi. Widzicie? Wszyscy naokoło wrzeszczą, czas ucieka, a oni dalej stoją karnie, bez słowa. Tak się dowodzi i utrzymuje dyscyplinę wśród ludzi,

za których się odpowiada. A wy? To są wasi celnicy? To ma być przykład porządku? Kto za ten syf odpowiada? Wy, osobiście! Daję wam ostatnią szansę – albo mój oddział zostanie natychmiast odprawiony, bez zbędnych ceregieli, i zdążymy na samolot, albo…

Skłamałbym, gdybym rzekł, że naczelniczka stała cichutko jak trusia. Przeciwnie. Spóźniła się z początkiem swojej tyrady o ten ułamek sekundy, o który ja byłem szybszy, jednak w najmniejszym stopniu nie straciła rezonu. Widać było, że nie raz radziła sobie w takich sytuacjach. Pewnie nawet nie odbierała świadomie tego, co na pełen głos wykrzykiwałem. Była skupiona na swoim wrzeszczeniu. Ja zresztą także nie wsłuchiwałem się w jej wrzaski. Nie o to przecież chodziło, aby siebie słuchać. To była drugorzędna sprawa, właściwie bez znaczenia. Liczyło się tylko to, kto kogo przekrzyczy i nie spuści z tonu. Kto kogo? Kto pierwszy zrezygnuje, a kto zostanie zwycięzcą tego specyficznego pojedynku na siłę głosu, wytrzymałość i władczość.

Wrzeszczeliśmy tak na siebie dobre pięć minut. Oddzielało nas jedynie szklane przepierzenie, i dobrze, że oddzielało. Nie wiadomo, czym by się skończyła nasza bezpośrednia bliskość, przy tych emocjach, w które sami się zapędzaliśmy. Autentycznie byłem już wściekły, a przeciwniczka nie ustępowała.

Coś wreszcie krzyknąłem takiego, że na chwilę zamilkła. Nawet nie wiedziałem co, w takim byłem

zapamiętaniu. Rozum już wtedy jest wyłączony, działają tylko emocje i pierwotny instynkt. Ważne, że poskutkowało.

Wiedziałem już, że wygrałem. Naczelniczka zamilkła. Rozglądnęła się wzburzona po sali, sapnęła, zagulgotała i machnęła ręką. Babochłopskim głosem wrzasnęła w stronę swoich celników:

– Zostawić tych Hindusów! Usuńcie ich na bok! Odprawcie mi natychmiast towarzyszy z Polski. Ale już! Jak nie zdążą na samolot, to możecie pożegnać się z premią!

Na celników podziałało to jak bat na konia. Skoczyli wypełniać polecenie swojej szefowej. Nie zważali na krzyki Hindusów i zaczęli odpychać ich od bramki.

Uff! Opadło ze mnie całe napięcie. Otarłem pot z czoła; byłem cały mokry. Udało się. W ostatnim momencie, ale udało się. Mamy jeszcze szansę na odlot. Teraz szybka odprawa i pozostanie już tylko spokojny lot samolotem do Polski. Tam już czekają nasi bliscy.

Nie miałem jednak teraz czasu na odpoczynek. Odwróciłem się i starając się utrzymać marsową minę, wróciłem do swojej gromadki. Tym razem nie musiałem się przeciskać przez tłum Hindusów, skwapliwie ustępowali mi z drogi. Dopiero teraz ponownie doszedł mnie gwar tłumu zapełniającego terminal. Gwar dochodził z innych stanowisk odpraw celnych. Przy naszym zrobiło się cicho. Hindusi, tak przed chwilą rozwrzeszczani, przestali krzyczeć. Naokoło hałas, wszystko wrze, a u nas, jak w oku cyklonu, zapanowała dziwna cisza.

Moja trzódka stała w ordynku w milczeniu. Piotrek dobrze się sprawił, wszyscy się sprawili. Tylko dziwnie na mnie spoglądali. Niektórzy z chłopców i dziewcząt rozdziawili otwory gębowe, jakby zamiast mnie zobaczyli jakiegoś dziwoląga. Nic nie mówili, tylko tak stali z opuszczonym szczękami. Co im się stało? Ech, jeszcze ich przez miesiąc dobrze nie wychowałem. Przecież nie wypada tak prostacko ukazywać zawartości jamy ustnej przy obcych. Rodzice ich tego nie nauczyli? A może tylko są głodni? Nie szkodzi, zjedzą w samolocie. Teraz nie ma czasu, musimy się pośpieszyć.

Celnicy odsunęli już od bramki Hindusów, nawet bez zbytnich protestów z ich strony. Jedni i drudzy też na mnie dziwnie patrzyli. Co jest, róg mi wyrósł na czole? A może nagle stałem się kosmaty? Przestałem się zastanawiać. Zacząłem znów działać:

– Udało się. Słuchajcie mnie teraz wszyscy uważnie. Mamy już naprawdę mało czasu. Wszystko więc z naszej strony musi pójść sprawnie. Stawajcie jedno za drugim, każdy ma trzymać w ręku swój dokument tożsamości. Pani Aniu, pani staje jako ostatnia. Ja idę pierwszy. Podchodzimy do bramki po kolei, toboły na taśmę transporterka, dokument podajemy celnikowi, ja odhaczam na zbiorczej liście. Po kontroli każdy przechodzi na drugą stronę, bierze swoje rzeczy i czeka na pozostałych. Kiedy wszyscy przejdą, szybko idziemy do samolotu. Zdążymy, jeżeli nikt nie będzie marudzić. Wszystko zrozumiałe? To idziemy.

Poszło sprawnie, szybko utworzyliśmy długi rząd. Podeszliśmy do bramki. Podałem celnikowi zbiorczy paszport z moim nazwiskiem i listą uczestników, pokazałem zaświadczenie z sowchozu o zarobionych przez nas pieniądzach i zgodę na przewóz zakupionych za nie towarów. Nie obawiałem się już o to, że jakiś nadgorliwy celnik zacznie zliczać sumę ich wartości u kogoś z moich ludzi. Nie będzie takiego odważnego, wiedzą, że zostało nam mało czasu do odlotu. Do tego szefowa ich pogoniła, zagroziła odebraniem premii.

Przeszedłem przez bramkę, moje torby przejechały na transporterku przez prześwietlający bagaże skaner. Tak jak przypuszczałem, celnicy nie zaglądnęli do środka. Nawet sami mi je podali; stali się bardzo uprzejmi. Jak to stereotypy mogą wprowadzać w błąd. Ileż to razy słyszałem narzekania i skargi na służby graniczne, na ich nieuprzejmość i opryskliwość? Teraz miałem przykład, że to były bardzo krzywdzące uogólnienia. Chociaż, mówiąc szczerze, tak grzecznych celników jeszcze w życiu nie widziałem. Widocznie poprzednie moje kontakty z nimi były właśnie wyjątkami, a teraz widzę ich normalne zachowanie. Oni tak ciężko pracują, w służbie narodu i państwa, a ja ich wcześniej tak źle oceniałem. Postanowiłem od teraz marnego słowa na nich nie mówić, tylko bronić przed nieuzasadnionymi, uproszczonymi opiniami.

Przez bramkę zaczęli przechodzić moi ludzie. Piotrek pierwszy pokazał celnikom dokument tożsamości. Ja pokazałem jego nazwisko na liście wklejonej do zbiorowego

paszportu. Odhaczony. Następny proszę. Przechodzi, odhaczony. Kolejny. Idzie bardzo sprawnie. Spojrzałem na zegarek i już prawie całkowicie się uspokoiłem. Jeżeli nie będzie żadnego zahamowania przy odprawie, to zdążymy. Celnicy nie marudzili, nie zaglądali do sunących po taśmie bagaży; patrzyli tylko w monitor urządzenia prześwietlającego. O to byłem spokojny, przecież żadnej ukrytej broni nie przewoziliśmy. Celnikom musiało bardzo zależeć na premii, nie chcieli przez jakichś Polaczków jej stracić. Odprawiali moich szybko, jednego po drugim. Przed bramką liczba oczekujących zmniejszała się w oczach, przy mnie rosła liczba po odprawie. Większość już przeszła, zostało dziesięcioro.

Wśród tej reszty stał też nasz ukochany Sławuś. Dobrze się postarał w pierwszych dniach pobytu o to, abyśmy się z jego powodu nie nudzili, z braku innych atrakcji. Ale teraz to już nie był ten sam zapominalski duży miś, dojrzał przez miesiąc. W końcówce nie stwarzał nam już prawie żadnych problemów. Przyjechało trzpiotowate wyrośnięte dziecię, wracał już mężczyzna, odpowiedzialny i przewidywalny.

Coś mnie jednak w jego zachowaniu zaniepokoiło. Wyglądał na zmieszanego, klepał się po kieszeniach, otworzył nawet swoją podręczną torbę i zaczął w niej czegoś niecierpliwie szukać. Jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe. Ki diabeł? Co znowu? Czego on szuka? Teraz, przy odlocie, kiedy się tak śpieszymy? Chyba nie zgłodniał? Jadł najwięcej ze wszystkich, ale teraz nie pora. O jasny gwint, czyżby szukał… Jeżeli szuka dokumentu

tożsamości, to ja go chyba zabiję. Przecież wszyscy mieli trzymać swój od dawna w ręku!

Nie było na co czekać:

– Sławek, podejdź – starałem się mówić spokojnie. I tak był już spanikowany, ręce mu się trzęsły. – Co się stało?

– Nie mam swojego dowodu! – jego głos dobitnie świadczył, w jakim już znajdował się stanie. Jeden kłębek nerwów. Gorący pot i na mnie uderzył, ale zmusiłem się do normalnego mówienia:

– Spokojnie, Sławuś, spokojnie. Wszyscy pozostali mają swoje dokumenty? Macie? Dobrze, to dalej przechodźcie po kolei przez bramkę. Sławek, dowód na pewno masz, bo sprawdziłem u wszystkich przed wylotem z Nowosybirska. Gdzieś go wsadziłeś, w torbę lub w kieszeń. Gdzie wkładałeś, przypomnij sobie.

– Do kieszeni koszuli.

– Której?

– No tej, co mam w torbie. Zdjąłem ją, jak pan komendant kazał ubrać mundurki.

– Nie przełożyłeś?

– Nie, zapomniałem. Ale teraz jak pan komendant kazał wziąć dowody, to sobie przypomniałem, i chciałem z tej koszuli wyjąć. Ale nie było dowodu w koszuli!

– Pokaż tę koszulę…

Wyjął ją z torby. Sprawdziłem. Dokumentu nie było.

– A resztę rzeczy sprawdziłeś? W innych koszulach, w portfelu? W mundurku czy spodniach, które masz na sobie? W bocznych kieszeniach toreb?

– Wszystko sprawdziłem, i to dwukrotnie.

Jeszcze chwila i ten duży chłop się rozpłacze. Spojrzałem w drugą stronę – wszyscy już przeszli przez bramkę. Oczywiście oprócz Sławka. Spojrzałem w bok – moja niedawna wrzaskliwa rozmówczyni, szefowa celników, wyraźnie się zainteresowała i podeszła bliżej. Nie odezwała się jednak, tylko dziwny uśmieszek wykwitł na jej twarzy. Zerknąłem ukradkiem na zegarek – mieliśmy najwyżej pięć minut. Jeżeli nie zdążymy w tym czasie przejść przez odprawę, później nie będziemy musieli już się śpieszyć. W tym momencie usłyszałem komunikat nadawany przez megafony na lotnisku, że jakaś grupa polska ma się pośpieszyć do samolotu odlatującego do Warszawy. Jakbym sam o tym nie wiedział.

W oczach moich ludzi już zauważyłem trwożne, niewypowiedziane pytanie. Nie znałem jeszcze na nie odpowiedzi. Zawołałem z powrotem do pomocy dwie dziewczyny:

– Sławek gdzieś wsadził swój dowód tożsamości. Nie możemy znaleźć. Sprawdźcie dokładnie jego torby.

Sam zająłem się tym, co Sławuś miał na sobie. W pierwszej chwili zaprotestował:

– Wszystko już sprawdzałem, panie komendancie!

Nie zwróciłem na jego protesty uwagi, nie miałem czasu ani ochoty na dalsze dyskusje.

– Wyciągaj po kolei wszystko z kieszeni, ale już!

Nie oponował więcej. Opróżnił boczną kieszeń spodni, potem drugą, na końcu tylną. Spodnie opróżnione. Wyjął

jakieś szpargały z prawej kieszeni koszuli mundurowej, sięgnął do drugiej i… zamarł w bezruchu jak żona Lota. Nie czekałem, tylko sam szybko sięgnąłem do jego kieszeni i wyciągnąłem, co miał tam schowane. W dłoni trzymałem tymczasowy dowód osobisty. Zaglądnąłem do środka – dokument był Sławka. Szukaliśmy dokumentu w jego torbach, a on był schowany w kieszeni mundurka! Tego, który miał na sobie! Musiał przełożyć przy zmianie koszul i nawet tego nie zapamiętał. Do tego zapewniał, że sam dwukrotnie sprawdził. A niech go kule biją! Oto żywy przykład, że zagubiona rzecz czasem leży prawie na widoku, a nerwowo szukający właściciel nie może jej znaleźć. Mimo że Sławuś szukał, jak się zapierał, również w kieszeniach mundurka. I to dwukrotnie.

Nie było czasu na psychologiczne dywagacje dotyczące złożoności psychiki Sławka oraz umiejętności właściwego odbioru i kojarzenia sygnałów docierających do jego mózgu z otoczenia.

– Szybko! Bierz swoje toboły i wrzucaj na taśmę!

Popchnąłem go przed sobą do bramki, pokazałem jego dokument tożsamości celnikowi. Odkreśliliśmy wspólnie na mojej liście. Ostatni. Zwróciłem się do celnika:

– Czy to już wszystko? Możemy iść do samolotu?

Ten z uśmiechem kiwnął głową. Krzyknąłem do mojej gromadki:

– Biegusiem, musimy zdążyć! Odpoczniemy w samolocie! Sławek, biegniesz przede mną!

W przelocie zauważyłem cień zawodu na twarzy naczelniczki, ale momentalnie uśmiechnęła się i powiedziała:

– Spokojnego lotu – machnęła ręką na pożegnanie, błysnęła złota obrączka na prawym serdecznym palcu. Mężatka! Nigdy bym nie przypuszczał. Jak mąż z nią wytrzymuje? Po przeprawie, jaką z nią przed chwilą miałem, mogłem sądzić, że biedak ma bardzo ciężkie życie. Chyba że jest mikrusem i jakoś się dogadują. Podobno małżeństwa dobrane na zasadzie przeciwieństw są często bardzo zgodne.

Wszystkie te myśli błyskawicznie przeleciały mi przez głowę, ale nie zapomniałem o biegu. Odkrzyknąłem: „Dziękuję!” – i pobiegłem za moją grupą. Do wyjścia na płytę lotniska mieliśmy ledwie kilkanaście metrów. Zostało tylko kilkadziesiąt metrów do stojącego samolotu LOT-u. Ciężko dysząc od biegu i ciężaru bagaży, dobiegliśmy do trapu. Mechanik jeszcze stał przy otwartym luku bagażowym. Wrzuciliśmy do wnętrza swoje torby. Pierwszy wszedłem po schodach i pokazałem bilety stojącej w drzwiach stewardessie. Powitała mnie z pretensją w głosie:

– Dzień dobry. Macie szczęście, zdążyliście w ostatniej chwili. Za minutę mieliśmy już zamknąć. Wchodźcie szybko, siadajcie na swoich miejscach i proszę zapiąć pasy. Już czas na start.

Sprawdziła bilety i oddała je. Nie miałem siły odpowiadać jej ani się tłumaczyć. Poczekałem, aż wszyscy

weszli do samolotu, i wszedłem jako ostatni. Byliśmy już na terytorium Polski, nareszcie z powrotem w ojczyźnie. Rozejrzałem się, wszyscy już siedzieli i zapinali pasy. Odnalazłem swoje miejsce i ciężko opadłem na fotel przy przejściu. Nawet nie spojrzałem, kto siedział obok mnie i po drugiej stronie przejścia. Miałem chwilowo wszystkiego powyżej uszu. Zapiąłem pasy, usłyszałem narastający szum, przechodzący w gwizd. To silniki samolotu wchodziły na coraz wyższe obroty, zwiększając moc. Teraz już wszystko było wreszcie za nami. Został lot do Warszawy i powrót pociągiem do domu.

Przymknąłem oczy, uspokoiłem oddech i rozluźniłem się. Nareszcie chyba prawdziwy koniec kłopotów i niespodzianek, które tak nam uprzyjemniały pierwszą część pobytu, a i przed chwilą mało brakowało, a zatrzymałyby nas w Moskwie. Sławek znowu mnie zaskoczył, nie dał na zakończenie o sobie zapomnieć. Jak zaczynał, tak i kończył. Czy w domu też ciągle stwarzał problemy? Był tylko jeden z trzydziestu, a starczył mi za stu. Nawet nie mogłem się na niego gniewać, przecież kłopotów nie stwarzał złośliwie. Po prostu taki był. Właściwie w ostatnich dwóch tygodniach nie było z nim aż tak źle. Ostatnie zdarzenie to był też mój błąd. Mniej już go pilnowałem, a powinienem dmuchać na zimne. Gdybym go sprawdził wcześniej, czy ma dokument przygotowany, nie byłoby tych nerwów na kontroli granicznej. Za wszystko odpowiada szef, mogłem mieć pretensje wyłącznie do siebie. Dobrze, że skończyło się szczęśliwie.

Samolot wreszcie ruszył z miejsca, łagodnie oderwał się od pasa startowego i wzniósł na wysokość przelotową. Pogoda dalej utrzymywała się piękna, niebo było czyste, widoki jak na kolorowych pocztówkach. Kiedy tylko pojawił się właściwy komunikat, odpiąłem pasy i wreszcie rozejrzałem się po współpasażerach. Siedziałem w prawym rzędzie, obok zażywnego jegomościa, zatopionego w lekturze gazety. Wyraźnie nie był zainteresowany nawiązywaniem rozmowy. Rzuciłem wzrokiem w lewo. Za przejściem siedział opalony facet w średnim wieku, obok niego blondynka, nawet seksowna, mimo że nie była już nastolatką. Wyglądali na urlopowiczów wracających z wypoczynku w cieplutkim miejscu. Podobnie jak ja. Przecież również przebywałem przez miesiąc w cieplutkim miejscu, na… urlopie. Jedyną różnicą, malutką, ale jednak dość znaczącą, był sposób jego spędzania. Mój był na pewno dużo ciekawszy i dostarczył mi niezapomnianych wrażeń. Tego byłem pewien.

Urlopowicz rozmawiał z towarzyszką. Był do mnie odwrócony plecami, więc nie widziałem jego twarzy. Mówił cicho, ale dość słyszalnie. Jego tembr głosu brzmiał mi dziwnie znajomo. W pewnym momencie odwrócił się i spojrzał na mnie. O kurczę, to Fronczewski! Piotr Fronczewski we własnej osobie.

Spojrzał na moją pierś i roześmiał się. Miał z czego się śmiać. Byłem obwieszony medalami i odznaczeniami, wyglądałem jak przyozdobiona świąteczna choinka. Nie było kiedy ich odpiąć – Hindusi przyczynili się do

zawieszenia odznak, a potem Sławuś nie dał czasu na ich zdjęcie.

Fronczewski odezwał się pierwszy:

– Widzę, że pan szefuje tej grupie młodzieży. To chyba na was tak długo czekaliśmy.

– Podwójnie tak. W pierwszym i drugim przypadku. Szefować ktoś musi, a opóźnienie nie wynikło z naszej winy. Tyle że nasze były nerwy, czy zdążymy.

– Mało brakowało, a byście zostali w Moskwie. Piotr Fronczewski – przedstawił się i uśmiechnięty wyciągnął rękę.

– Miło mi – również się przedstawiłem i uścisnąłem wyciągniętą dłoń.

Ucięliśmy sobie pogawędkę. Jednocześnie pozdejmowałem odznaczenia z mundurka. Od razu poczułem się lepiej, nie wyróżniałem się już tak z tłumu. Zostawiłem jedynie rakietę, pięknie się na mojej piersi prezentowała.

Okazało się, że dobrze przypuszczałem – aktor wracał z towarzyszącą mu kobietą z urlopu nad Morzem Czarnym. Z kolei ja krótko opowiedziałem o przyczynie takiego mego wystrojenia. Wybuchnął śmiechem. Zachęcony, zacząłem opowiadać o niektórych ciekawszych momentach z naszego pobytu na Syberii. Fronczewski śmiał się coraz głośniej, wtórowała mu partnerka.

– Przepraszam, panie Zdzisławie, za ten śmiech, ale tak pan opowiada, że nie mogłem się powstrzymać. Domyślam

się, nie było wam wtedy zbytnio do śmiechu. Ale tak już jest. Dopiero po czasie można sobie pożartować.

Okazał się naprawdę miłym i bezpośrednim facetem, swobodnym i naturalnym. Nie było w nim nic z pozerstwa lub arogancji czy pyszałkowatości, które to cechy okazują niektórzy ze znanych ludzi. Nieraz ledwie co zaistnieją tacy w mediach, a już nos zadzierają wyżej czubka głowy. Fronczewski okazał się innym człowiekiem, co było przyjemnym zaskoczeniem.

Dłuższy już czas prowadziliśmy rozmowę, kiedy stewardessy podały nam jedzenie. Po posiłku zaproponowały stugramowe buteleczki polskiej wódki Wyborowa. Tu już musiałem interweniować. Poprosiłem, aby moja młodzież dostała napoje bezalkoholowe. Niektórzy z chłopców mieli już ukończone osiemnaście lat, ale byli jednak uczniami i odpowiadałem za nich. Sam swoją buteleczkę schowałem do podręcznej torby. Nie mogłem pozwolić sobie na wypicie, dopóki byliśmy jeszcze w podróży. Będzie okazja dopiero w domu, po szczęśliwym powrocie.

Dalej z przyjemnością rozmawiałem z Fronczewskim. Chyba z wzajemnością. Długo jednak to nie trwało; zaczęły przychodzić do mnie dziewczyny. Jakby się zmówiły, jedna po drugiej. Co chwila nam przerywały rozmowę. Żeby chociaż było to coś poważnego. Gdzie tam – przychodziły z nic nieznaczącymi sprawami i pytaniami. A to to, a to tamto, a panie komendancie, a wie pan… I tak w kółko. Zacząłem się irytować. Nie dadzą nawet porozmawiać. Nie

mogą poczekać z tymi duperelami? Nie mogą spokojnie usiedzieć na fotelach? Zachowują się jak rozkapryszone małe dzieci, które nie dają chwili odpoczynku swojemu rodzicielowi. Czy mnie nie należy się taka chwila?

Wreszcie się domyśliłem przyczyny tych ciągłych ekskursji dziewcząt. Niby przychodziły do mnie, niby mnie o coś pytały, a zerkały na Fronczewskiego. Dosłyszałem też z tylnych rzędów przytłumione piski rozradowanych dziewczyn. Te z przodu ciągle odwracały głowy, mało karku sobie nie skręcały. Przeprosiłem pół żartem, pół serio rozmówcę za zachowanie dziewcząt. Fronczewski roześmiał się:

– Cóż, takie to i mam prywatne życie. Rzadko gdzie mogę być incognito. To jest ta druga strona zawodu aktora.

Sam zaproponował, że da mi swój autograf. Z przyjemnością się zgodziłem i podsunąłem to, co miałem pod ręką – swój bilet lotniczy. Napisał i oddał. Przeczytałem: „Zdzisiowi – serdeczności. P. Fronczewski”. Dużymi kanciastymi literami, na podobieństwo pisma runicznego, wykuwanego w kamieniu przez Wikingów. Podziękowałem i schowałem bilet. Będę miał miłą pamiątkę.

Kiedy to moi zobaczyli, dopiero się zaczęło! Dziewczyny i chłopcy nie dali nam już dalej rozmawiać. Aby mieć wreszcie spokój, za zgodą rozmówcy poleciłem zebrać bilety lotnicze od chętnych z mojej grupy. Nie było niezainteresowanych. Fronczewski podpisał wszystkie z uśmiechem na twarzy. Widocznie urlop mu się udał. Kiedy

oddał bilety ze swoim autografem, mogliśmy wreszcie wrócić do naszej rozmowy.

Pozostały czas lotu upłynął już w spokoju. Wczesnym wieczorem zobaczyliśmy Warszawę. Samolot łagodnie obniżył lot i wylądowaliśmy na Okęciu. Odprawa paszportowa, w przeciwieństwie do moskiewskiej, przeszła bez kłopotów. Pożegnaliśmy się serdecznie z Piotrem Fronczewskim i jego towarzyszką. Z lotniska pojechaliśmy na kolejowy Dworzec Centralny. Stamtąd, po krótkim oczekiwaniu, wyjechaliśmy pociągiem już prosto do Torunia, skąd z hufcem rozpocząłem przed miesiącem wyprawę na Syberię. Mieliśmy teraz wykupione miejscówki, więc jechaliśmy w normalnych, ludzkich warunkach. Przypomniałem sobie nasz wyjazd w tamtą stronę i przeżyte przygody. Nie było co porównywać. Wtedy jechaliśmy w warunkach podobnych do tych, w jakich dawniej podróżowali emigranci w trzeciej klasie na statkach do Stanów Zjednoczonych. Teraz wracaliśmy jak ówcześni pasażerowie pierwszej klasy.

Późnym wieczorem byliśmy na miejscu. Tutaj już niecierpliwie oczekiwali na większość dziewcząt i chłopców ich rodzice. Nastąpiły powitania, rzucania się w ramiona, całusy, nawet łzy. Jakbyśmy wrócili po roku niebytności, a nie po ledwie miesiącu. Nie dziwiłem się, przecież najukochańsze dzieci wróciły. Matki wreszcie znowu mogły schować swoje pociechy pod opiekuńcze skrzydła.

Chwilę jeszcze trwały moje pożegnania. Zostałem obcałowany przez dziewczyny od stóp do głowy; mówiąc

dokładniej, to tylko moja głowa była w obrocie. Stopy zostały zostawione w spokoju. Ale i tak było tego nadto. W tym momencie zakończyła się definitywnie moja odpowiedzialność za hufiec. Skończyło się komandowanie.

Z kilkoma osobami z mojego miasta zdążyliśmy na nocny pociąg. Późno w nocy dojechaliśmy do domu. Tam, mimo bardzo późnej pory, czekały nasze rodziny. Moja żona i córka również. Przecież i ja byłem cały miesiąc poza domem. Stęskniliśmy się za sobą. Wreszcie wróciłem. Cały, chociaż lżejszy o prawie dziesięć kilogramów.

Epilog

W domu miałem tylko dzień na odpoczynek i nacieszenie się rodziną. Już następnego udałem się do wojewódzkiej komendy. Wpierw rozliczyłem się z finansów. Nie trwało to wiele czasu, bilans się zgadzał. Dużo dłużej zeszło mi u szefów, którzy czekali na mnie z niecierpliwością. Nasze dwie telefoniczne rozmowy z Syberii, mimo że przeprowadzane dość oględnie z mojej strony, musiały ich zaniepokoić. Domyślali się, że nie mogłem stamtąd przez linię telefoniczną wszystkiego mówić. Wystarczyło im jednak tego, co usłyszeli.

Na wstępie poinformowali mnie, że po tych telefonach rozmawiali ze stroną syberyjską i udało im się zmienić program pobytu dla kolejnego naszego hufca. Grupa ta już wyjechała, dwa dni temu. Według pierwotnych ustaleń mieli też pracować w sowchozie. Po zmianach ostatecznie skierowano ich do pracy pod dachem, w spożywczym zakładzie przetwórczym przy taśmie produkcyjnej. Do tego nie na wsi, tylko w mieście. Byłem trochę usatysfakcjonowany, przynajmniej moje informacje oględnie przekazane przez telefon nie poszły na marne.

Teraz jednak szefowie chcieli wiedzieć ze szczegółami, jak było, czy nie konfabulowałem, czy nie przyczerniłem prawdziwego obrazu naszego pobytu na Syberii. Rozmowa trwała ponad dwie godziny. Zrelacjonowałem dokładnie nasze przeżycia, położyłem nacisk na różnice mentalnościowe, które tak uprzykrzyły życie na początku zarówno nam, jak i Sybirakom. Nic nie opuściłem, tylko przy sprawie handelku uprawianego przez naszą młodzież i okradzeniu nas uważałem na to, co mówię. Nie było zbytnio czym się chwalić.

Po minie szefa i jego zastępców widziałem, że jednak dalej niezbyt mi wierzyli. Widocznie uważali, że nie było aż tak źle, jak przedstawiałem. Nie byli na Syberii w sowchozie, nie widzieli warunków pracy i odpoczynku, zwłaszcza w pierwszych dniach. Inaczej się słucha relacji w gabinecie przy kawie, inaczej samemu przeżywa. To dwa różne światy. W końcu szef polecił złożyć mi dokładne sprawozdanie na piśmie. Podziękował za pracę, ale wyczuwałem, że niezbyt szczerze. Cóż, nic na to nie mogłem poradzić. Zobaczę, z jakimi wrażeniami wróci za miesiąc grupa, która wyjechała jako druga. Chyba że gospodarze przygotują im dużo lepsze warunki niż nam. Wtedy miałbym kłopot, szef uznałby, że zawiodłem, że nie poradziłem sobie. Do tego zaś wcale się nie poczuwałem, uznałbym to za krzywdzącą mnie ocenę.

Wróciłem do domu. Po kilku dniach pojechałem ponownie do województwa, z przygotowanym obszernym sprawozdaniem. Zapisałem kilka stron kancelaryjnego

papieru. Opisałem ze szczegółami wszystkie ważniejsze zdarzenia i problemy, które uważałem za stosowne wymienić. Szef uważnie przeczytał moje spisane spostrzeżenia, skrzywił się, spojrzał na mnie i kwaśno stwierdził:

– Co wyście tu napisali? Że w Związku Radzieckim nie ma podpasek? Że nawet nie znają takiego czegoś? Że jeszcze szmat używają? Albo o tym jedzeniu. Chwasty były na metr wysokie? Dlaczego nie napisaliście od razu, że na dwa metry? No, tak nie można. Mam napisać sprawozdanie do Warszawy. Tak daleko jak my nikt jeszcze nie nawiązał wymiany młodzieży. I co, myślicie, że napiszę takie coś? Weźcie to wasze sprawozdanie, przemyślcie i jeszcze raz napiszcie, ale już porządnie.

Nie przekonałem więc szefa. Dalej uważał, że konfabulowałem albo co najmniej zbytnio ubarwiłem nasze przeżycia. Nie spierałem się, wziąłem z powrotem swoje pismo ze sprawozdaniem. Chce szef nowe, to napiszę jeszcze raz, bardziej szczegółowo. I zrobię to jak najszybciej; chciałem wreszcie pójść na wymarzony normalny urlop, pobyć z długo niewidzianą rodziną.

Już na drugi dzień zawiozłem szefowi poprawione sprawozdanie. Okazało się, że dla szefa jest ono jeszcze gorsze niż pierwsze:

– Co to jest? Co wyście teraz napisali?! Mieliście przecież poprawić.

– Poprawiłem, szefie. Przypomniałem sobie jeszcze to i owo, to uzupełniłem i dopisałem w sprawozdaniu.

– Wy nie mieliście dopisywać, tylko pewne rzeczy inaczej napisać. A tu dalej te podpaski i złe jedzenie.

– To znaczy jak? Mam w sprawozdaniu nakłamać, napisać nieprawdę? Oszukiwać? Przecież bym pana oszukał. Jakby się pan czuł i co zrobił, szefie, wiedząc, że podwładny pana oszukuje? Nie, tego nie zrobię. Napisałem, jak było naprawdę. Co zaś szef napisze do Warszawy, to już nie moja sprawa. Przecież szef nie wysyła do komendy głównej mojego sprawozdania, tylko swoje. To samo można opisać różnymi słowami. Mój opis zostaje przecież tutaj, u szefa.

– Nie wiem, czy ci wierzyć, czy nie. Naprawdę tak tam było?

– Naprawdę.

– Dobrze, idź już na ten urlop. Wierzę, a jednocześnie ciężko mi dalej uwierzyć. Sam nie wiem. Zobaczymy po powrocie grupy, która teraz pojechała.

Dalej więc szef niezbyt mi wierzył, co sam jasno stwierdził. Oby jego wątpliwości nie odbiły się na wysokości mojej kwartalnej premii, a zwłaszcza opinii. To było jednak późniejsze, może niepotrzebne zmartwienie. Teraz przede wszystkim cieszyłem się z otrzymanego wreszcie prawdziwego urlopu.

Pod koniec sierpnia wróciłem do pracy. Po następnych dwóch dniach wróciła z Syberii druga grupa. Minęło jeszcze kilka dni i cała kadra opiekuńczo-wychowawcza z województwa spotkała się na odprawie, przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Po zakończeniu

„nasiadówki” zostałem wezwany do wojewódzkiego szefa. Wskazał mi krzesło naprzeciw swojego biurka. Przez chwilę milczał, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Wreszcie odezwał się:

– Yyy, no, miałeś jednak rację. Komendant drugiej grupy napisał podobne sprawozdanie. Dobrze, że choć trochę był już uprzedzony co do warunków, jakie może zastać. No i pracowali pod dachem, a mieszkali w mieście. Mieli więc już lżej niż wy. Nie dziw się, że nie za bardzo wierzyłem w to, coś napisał. Teraz dostałem potwierdzenie.

Zwrócił się do mnie tak, jak dawniej – „ty”, a nie „wy”. Wreszcie uwierzył. Czekał wpierw na powrót drugiego hufca. Nie miałem zbytnich pretensji. Gdybym był na jego miejscu, też chyba bym powątpiewał w to, co napisałem i zrelacjonowałem. Przecież nie wyjechaliśmy do pracy w środku afrykańskiej dziczy, gdzieś w głębi przepastnej dżungli odciętej od współczesnego świata. A jednak znaleźliśmy się niespodziewanie w innej cywilizacji.

Najważniejsze, że dostałem całą premię. Solidnie na nią zapracowałem. Natomiast efektem sprawozdań, mojego i komendanta drugiej grupy, było zakończenie ledwie rozpoczętej wymiany międzynarodowej, nawiązanej „najdalej ze wszystkich wojewódzkich komend w Polsce”. W następnym roku już nie kontynuowano tej wymiany i nie było kolejnego wyjazdu młodzieży do „obłasti nowosibirskoj”. Kolejny zaś rok był już rokiem Okrągłego Stołu, wielkich zmian w kraju i w konsekwencji w mojej

pracy. To już jednak materiał na inną, całkiem nową opowieść.

POSTSCRIPTUM

Moja koszula mundurowa, z przypiętą większością odznaczeń przywiezionych z Syberii, przez rok wisiała na honorowym miejscu w pracy. Potem zabrałem ją do domu. Po kilku latach wypłowiała w szafie i wyrzuciłem ją, a odznaczenia gdzieś zaginęły. Teraz, niestety poniewczasie, żałuję, że się nie zachowały. Tak jak żałuję, że nie robiłem zdjęć zakupionym w Nowosybirsku aparatem fotograficznym. Zostało mi tylko jedno grupowe zdjęcie z podpisami uczestników na odwrocie i powrotny bilet lotniczy z wpisem Fronczewskiego. Na szczęście pozostały też niematerialne, ale dla mnie ważniejsze wspomnienia. Teraz już utrwalone.

Nie wyrzucajcie pamiątek z szaf. Nie wyrzucajcie wspomnień z głowy. To nasze życie i nasza osobista historia. Po latach wraca się do nich z sentymentem. Musi jednak upłynąć tych lat dość dużo, aby je docenić. Nie wyrzucajcie tego, co przeżyliście, abyście mieli później co wnukom opowiadać. Ręczę, że ciekawych opowieści rodzinnych będą słuchać z wypiekami na twarzy.

REDAKCJA: Edyta Malinowska-Klimiuk
KOREKTA: Hubert Korczyc
OKŁADKA: Piotr Blechacz
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Zdzisław Brałkowski i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-671-3

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.